

**Rob  
MacGregor  
GENEZA  
POTOPU**

*Indiana Jones*

Czy rzeczywiście sądzisz, że nie zdołamy uzasadnić naszego stanowiska nawet wtedy, kiedy szczątki Arki Noego ukazały się w krainie Kurdów?

Epifanus z Salamis (IV  
wiek po Chrystusie)

Nie wszystko jest możliwe na tym świecie, ale jeśli są rzeczy nieprawdopodobne w archeologii, to na pewno należy do nich ta sprawa.

Archeolog Frolich Rainey  
o istnieniu Arki Noego

## PROLOG

### *Piotrogród, Rosja — październik 1917*

Pierwszy śnieg w tym sezonie zaczął padać nie wcześniej niż godzinę temu, zanim Wadim Popow pogalopował w dół lesistą dróżką. Lina przywiązana do strzemienia jego siodła szarpnęła innego konia, na którym siedział jeniec Wadima, porucznik Białej Armii. Z zawiązanymi oczami i zakneblowany, z rękami związanymi z tyłu, pojmany żołnierz zakolysał się na grzbiecie wierzchowca.

Jechali już wiele godzin i Wadim był wyczerpany. Ale młody bolszewicki żołnierz wiedział, że stanowisko dowodzenia było niedaleko i chciał tam dotrzeć, zanim zrobi się ciemno. Dopóki nie dojedzie do dowództwa, może spotkać Białych na drodze i zostać przez nich pojmany. Jak do tej pory natknął się tylko na parę furmanek i kilku milczących wieśniaków. Wszyscy wiedzieli, że rewolucja rozprzestrzeniła się, więc nie patrzyli na jeńca tak natarczywie, jak to było jeszcze rok temu.

Wadim był kurierem, przewoził listy do dowództwa. Zeszłej nocy zatrzymał się w gospodzie, gdzie powinien spotkać innego kuriera, który miał mu przekazać dodatkową wiadomość dla przywódców rewolucji. Ponieważ Wadim zjawił się tam bardzo późno, nie mógł odszukać tego mężczyzny, o którym wiedział jedynie, że ma na imię Jurij.

Następnego ranka Jurij przyłączył się do Wadima w czasie

śniadania. Gdy zjedli, opowiedział mu, że zeszłej nocy rozmawiał z człowiekiem, którego wziął za Wadima. Wypili kilka kieliszków wódki i wkrótce nieznajomy opowiedział Jurijowi, że jest porucznikiem Białej Armii i jedzie zobaczyć się z carem.

Wadim wiedział, że na spotkanie z carem może jechać jedynie kurier, ktoś taki jak on.

— A gdzie teraz jest ten Biały? — spytał.

— Tutaj. Śpi, jak sądzę. Wypił za dużo zeszłej nocy — powiedział Jurij ze śmiechem.

— Złóżmy mu wizytę — zaproponował Wadim.

Gdy Biały otworzył drzwi, był jeszcze zaspany. Wadim wcisnął pistolet w żołądek porucznika i razem z Jurijem związali go i zakneblowali. Odnaleźli jego dyplomatyczną torbę i przejrzeeli jej zawartość. W pierwszej chwili, przyglądając się zdjęciom i bezużytecznym kawałkom drewna, nie rozumieli, co mają w ręku. Wadim próbował dowiedzieć się czegoś od oficera, ale ten powiedział tylko, że jest członkiem czternastego batalionu stacjonującego w Turcji. W tym czasie Jurij czytał znalezione dokumenty i podniecony zaczął wyjaśniać znaczenie tego, co mężczyzna miał przy sobie.

Właśnie wówczas Wadim zdecydował, że weźmie jeńca do dowództwa na przesłuchanie. Był pewien, że wodzowie podziękują mu osobiście, a wtedy jego przyszłość nabierze świetlanych odcieni. Porucznik zrozumiał, że został pojmany, zaczął więc opowiadać jakąś fantastyczną historię, ale to tylko spowodowało, że Wadim z coraz większą niecierpliwością myślał o zabraniu go do dowództwa.

W końcu powiedział Jurijowi, iż popełnił poważny błąd rozmawiając z Białym, gdyż kurierom nie wolno wdawać się w konwersacje z obcymi ani pić na służbie. Obiecał jednak, że nie doniesie na niego, jeśli przysięgnie, iż nie powie nikomu o tym, co się tutaj wydarzyło. Jurij rozważył to, co

powiedział Wadim, niechętnie zgodził się z nim, po czym udał się do swoich zajęć.

To wszystko wydarzyło się kilka godzin temu. Teraz Wadim był przemoczony i zziębnięty od śniegu. Pragnął jedynie dojechać do miejsca przeznaczenia. Gdyby powracał sam, nie byłoby mu tak zimno i nie bałby się.

Coś wydawało się nie w porządku.

Obejrzał się przez ramię.

— Matko Boska — jęknął.

Więznia nie było na grzbiecie konia. Nie widział też śladu po nim na drodze. Pociągnął mocno wodze, zawrócił i pogalopował z powrotem. Przejechał około pięćdziesięciu jardów\*, zanim zobaczył coś na pokrytej śniegiem drodze, gdzie żołnierz spadł z konia.

Skoczył na ziemię i rzucił się ku drzewom. Zauważył Białego. Wadim był zaskoczony widząc, jak zręcznie poruszał się pomiędzy drzewami i krzakami. Nagle zbieg wydostał się na pole i Wadim dostrzegł, że uciekinier ściągnął opaskę zasłaniającą mu oczy. Wadim odbezpieczył pistolet.

— Stój!

Żołnierz zignorował go. Wadim wycelował i strzelił. Kula postrzępiła pień brzozy i przeleciała parę cali od porucznika. Wadim zaklął i ruszył śladami uciekiniera. Jeśli nie pochwyti swego jeńca, nie ma co marzyć o zaszczytach. Może nawet zostać ukarany za umożliwienie Białemu ucieczki.

Zbieg zaczął utykać. Wadim doganiał go. Już miał złapać uciekiniera, gdy usłyszał odgłosy strzału. Padł na ziemię. Skąd ten s...syn wziął broń? Jeszcze minutę temu miał związane ręce.

Usłyszał głosy.

\* W książce pozostawiono miary długości zgodnie z oryginałem: stopa — 30,48 cm, jard — 91,44 m, mila - 1609 m

Poczołgał się do przodu i zobaczył pięciu lub sześciu żołnierzy, którzy otaczali ciało leżące z twarzą w śniegu. Przez chwilę myślał, że natknął się na oddział Białej Armii. Ale wtedy dostrzegł ich postrzępione płaszcze i wytarte futrzane czapki i zrozumiał, że są to bolszewicy, jak on, i to oni strzelali do Białego.

— Towarzysze! — zawołał i wstał. Żołnierze zawrócili i unieśli broń. — Ten człowiek to mój więzień.

Sierżant zbliżył się do niego.

— Kim jesteście?

Wadim przedstawił się.

— Co kurier robi z więźniem? — spytał sierżant podejrzliwie.

— Prowadzę go do dowództwa. Wiózł dokumenty do cara.

— Jakie dokumenty? — warknął sierżant.

Wadim pokazał skórzaną torbę, którą niósł na plecach.

— Mam je tutaj — odpowiedział autorytatywnym tonem. — Muszę jak najszybciej dostać się do dowództwa.

— Słucham — sierżant odpowiedział surowym głosem.

Wadim wiedział, że czekają na hasło, ale tak dużo wydarzyło się tego dnia, że przez chwilę nie mógł go sobie przypomnieć.

— *Mir* — odpowiedział w końcu przekonany, że wymie nił odpowiednie słowo, które oznaczało wioskę, pokój... zależnie od kontekstu.

Sierżant zerknął na teczkę i polecił mu iść za sobą.

Kiedy znaleźli się na drodze, Wadim dosiadł konia. Towarzyszył mu sierżant. Jechali w dół ścieżką. Nie dalej niż milę od miejsca, w którym uciekł Biały, zawrócili. Dojechali do bramy, przy której stało kilku żołnierzy. Sierżant powiedział coś do strażnika, który przyjrzał się uważnie Wadimowi, po czym skinął głową.

Zsiedli z konia i skierowali się drogą pokrytą śniegiem. Na końcu trawnika stał dwupiętrowy budynek. Dym unosił się z dwóch kominów, a wokół kręcili się żołnierze. Wadim zwrócił uwagę na to, że dowództwo ukryło się w majątku, którego właściciel uciekł przed zbliżającymi się grupami rewolucjonistów.

Przy drzwiach stała inna warta licząca o dwóch żołnierzy więcej. Zaprowadzono ich do dużego pomieszczenia, gdzie palił się ogień pod wielkim kominkiem... Wadim oczyścił płaszcz ze śniegu, podczas gdy sierżant rozmawiał z kapitanem w "pobliżu podwójnych drzwi w rozległym hallu. Zauważył oficerów siedzących wokół stołu. Pomyślał, że prawdopodobnie planują atak na Piorrogród. Kapitan, wysoki mężczyzna o długiej twarzy, spoglądał na Wadima. Wziął skórzaną torbę i polecił jemu i sierżantowi, aby poczekali.

— Co jest w tej torbie? Możesz mi teraz powiedzieć? — zapytał sierżant.

— Nie twój interes — odburknął.

Biała Armia dokonała ogromnego odkrycia w Turcji. Było coś tak niesamowitego, że... mogło nawet spowodować nawrócenie Wadima. Ale on był bolszewikiem i wiedział, że religia to kłopotliwa siła. Może Bóg istniał, lecz to nie było ważne. Rewolucja zmierzała do obalenia bogatych dostojników duchownych i zniszczenia kościołów. A tak w ogóle to religia nie przynosiła nic poza zmną; miała trzymać proletariat w posłuchu.

Wadim czekał około czterdziestu pięciu minut. Kapitan wrócił i spytał sierżanta, czy obejrzał dokumenty, które przyniósł kurier, i czy Wadim cokolwiek mu o nich powiedział. Ten potrząsnął głową przecząco, a kapitan odesłał go. Sierżant spojrzał ostro na Wadima i odszedł.

Miał nadzieję, że dostanie nagrodę za swoją pracę — pomyślał Wadim patrząc, jak się oddala.

— Chodź ze mną — powiedział kapitan.

Wadim zszedł za nim na dół do hallu, skąd przeszli do biblioteki, która miała ściany pokryte książkami. Ogień buzował pod kominkiem, na którym znajdował się mahoniowy ornament ze złotymi inkrustacjami. Obok stało krzesło z wysokim oparciem, odwrócone w kierunku ognia. Kiedy zbliżyli się do biurka, kapitan chrząknął. Krzesło obróciło się. Siedzący na nim człowiek miał sumiaste wąsy i przenikliwe ciemne oczy. To wódz rewolucji, Trocki.

W rękę trzymał fotografie i dokumenty.

— Sierżant Popow? ◆

— Tak jest — Wadim służyście zasalutował mu,

— Powiedz mi, jak zdobyłeś te papiery?

Wadim stojąc opowiedział swą historię. Upiękzył ją, usiłując zaznaczyć swą odwagę, i nie powiedział ani słowa o roli Jurija. Mówił, że po tym jak odkrył, iż w gospodzie znajduje się białogwardzista, wtargnął do jego pokoju i znalazł dokumenty. W czasie gdy oglądał papiery, oficer wrócił do pokoju. Zaczęli walczyć i pokonał Białego.

— Świetna robota, sierżancie Popow. Czy ktoś jeszcze widział te dokumenty?

— Tylko ja. — odpowiedział i dodał w myślach: Jurij niech lepiej trzyma język za zębami, jeśli wie, co jest dobre dla niego.

— Czy mówiliście o nich komukolwiek?

— Nie!

— I nie domyślacie się, co może być na tym zdjęciu?

— Tak, towarzyszu. Arka Noego na Górze Ararat.

— Wierzycie w to?

Wadim popatrzył mu w oczy. Nie był pewien, co powiedzieć. Pytanie o autentyczność papierów w ogóle nie przyszło mu do głowy. Chciał, aby fotografia była prawdziwa. Chciał, aby odkrycie było ważne.



— Myślę, że to jest to, co być powinno. Tak, to warzyszu.

Trocki skinął głową.

— Przechwyciliście niezwykle ważny dokument i gratuluje wam. Dość niefortunne jest jednak to, że widzieliście papiery i tak moono wierzycie w nie.

Wadim zorientował się, że powiedział coś niewłaściwego. Ciepły wyraz zniknął z twarzy Trockiego. Jego oczy stały się ciemne i zimne.

— Tak, towarzyszu... Wierzę w rewolucję. To jest właśnie to, w co wierzę.

Trocki nie zwracał już na niego uwagi. Jego oczy przeniosły się na kapitana, któremu lekko skinął głową.

Kącikiem oka Wadim zobaczył karabin. Odwrócił się i podniósł rękę. Kapitan pociągnął za spust i kula przeszła rękę Wadima, przedziurawiła oko i wbiła się głęboko w mózg. Zatoczył się do tyłu, zadrżał i zwałił na podłogę.

# 1

## CELTYCKA PARADA

*Londyn — Wiosna 1927*

Na tablicy w sali wykładowej widniał rysunek przedstawiający dwie pionowe linie z poprzeczkami jakieś zakrętasy oraz prostokąty umieszczone po obu stronach linii. Młody wykładowca Indy Jones objaśniał coś, posługując się drewnianym wskaźnikiem. Piętnastu studentów słuchało wykładu o celtyckim *ogham*. Wyglądali na zmęczonych, inni byli oczarowani, pracowicie notując w zeszytach. Dwie dziewczyny siedzące z przodu darły jakieś kartki i uśmiechały się chytrze.

Pełne nazwisko profesora brzmiało Henry Jones, ale on wołał, by go nazywano Indy. Właśnie skończył rozważania o pięciu literach narysowanych z prawej strony pionowej linii i teraz zapukał wskaźnikiem naprzeciw znaku z jedną poprzeczką wysuniętą z lewej strony linii.

— *Huathe* to nazwa litery H. Znak jest wyrażony przez drzewo głogu. Celtowie pojmowali go jako oczyszczenie i ochronę, kojarząc z okresem oczekiwania, w czasie którego powstrzymywali się od walk i wszelkiej aktywności.

Indy mógłby odnieść to do siebie. Czuł się tak samo. Czuł się tak, odkąd wrócił do Londynu zeszłego lata po stracie najważniejszej osoby w jego życiu.

Przesunął wskaźnik na kolejną literę...

— Znak T jest nazywany *linne*. Symbolizuje go wiecznie

zielona choinka. Oznacza wolę i możliwość pokonania wrogów, nawet największych. Starodawna nazwa choinki to *holm* i stanowi źródło nazwy Holmsdale w Surrey. To mogło być nawet inspiracją dla Artura Conan Doyle'a, gdy wymyślał postać Sherlocka Holmesa. Jak wiemy, Holmes dzielnie zwalczał swych wrogów. — Odwrócił się do tablicy. — Litera C to *coli*...

— Profesorze Jones? — Student z ołówkiem za uchem podniósł rękę. — Zapomniał pan o literze D, tej z dwoma pałeczkami. Ominął pan ją.

Indy chwycił klapę marynarki i spojrział zza okularów w czarnych metalowych oprawkach. *Duir*, dąb. Symbol solidności i mocy. Było coś w tym, że zapomniał albo nie chciał pamiętać — pomyślał.

Odwrócił się od tablicy.

— Wie pan, interesującą rzeczą w alfabecie *ogham* jest to, że każda litera może być wyrażona gestem ręki. Można było w ten tajemniczy sposób porozumiewać się w obecności innych, na przykład Rzymian, którzy wówczas nie mieli pojęcia, o czym się mówi. — Indy zerknął na dwie dziewczyny w pierwszym rzędzie. — To także oszczędza papier.

Klasa zareagowała śmiechem i wydawało się, że nawet czaszki w glinianych naczyniach śmieją się z żartu profesora. Studentki zaczerwieniły się.

— Czy te tajemnicze gesty Celtów nie irytowały Rzymian? — zapytał chłopak siedzący w drugim rzędzie.

— Oczywiście, że tak. Nikt nie lubi rozmów za swoimi plecami. Szczególnie gdy stoi w tym miejscu.

Indy znów zmarszczył brwi, spoglądając na dziewczyny, które kręciły się.

Kiedy rozpoczynał swą nauczycielską karierę, był oczarowany wrażeniem, jakie sprawiał na niektórych studentach. Widocznie spodziewały się, że wykładowca archeologii

będzie chodzącym antykiem, a nie młodym i przystojnym mężczyzną. Ale to molestowanie przez flirciarki trwało tylko rok. Zdecydowanie nie życzył sobie być wplątany w tego rodzaju historie. Ciągłe cierpiał po stracie Deirdre, miłości swego życia. Zmarła w tydzień po ich ślubie.

— Rzymianie w końcu mieli dość tego i zabronili używać gestów — kontynuował.

Atrakcyjna, ciemnowłosa dziewczyna podniosła rękę.

— Czy ktoś do tej pory używa języka znaków?

Pytanie zaskoczyło go, jeśli nawet odpowiedź była oczywista.

— Co pani ma na myśli?

— Myślę o druidach, którzy wędrowali do Stonehenge w czasie letniego przesilenia. Czy oni też dawali sygnały rękami?

— Nic o tym nie wiem.

— Mam wuja, który jest członkiem grupy druidów — powiedziała atrakcyjna, nieśmiała, czarnooka dziewczyna.

— Och? Co mówił o sygnałach ręcznych? — ' Ta dziewczyna nigdy nie dorówna Deirdre — pomyślał. Żadna z nich.

— Nic. Ale powiedział, że druidzi zakładali kolonie w Ameryce bardzo dawno temu i niektórzy z nich żyją do dzisiaj. Czy myśli pan, że to może być prawda?

Dlaczego właśnie ona zadała to pytanie? — zastanowił się i powiedział:

— Dzisiaj tematem jest *ogham*. Zajmijmy się tym i nie traćmy czasu na fantastyczne idee, które ludzie nie znający spraw druidów uznają za prawdę.

Dziewczyna usiadła. Podczas całego kursu nie odezwała się ani raz, a teraz, gdy wreszcie zdecydowała się coś powiedzieć, on ją zaatakował. Odwrócił się i wbił wzrok w tablicę, jakby się przygotowywał do wykładu o literach.

Czuł się źle, pytanie zaniepokoiło go. Zaczął znowu

myśleć o Deirdre i wspólnych poszukiwaniach w Amazonii pułkownika Fawcetta, angielskiego podróżnika, który myślał, że starożytni druidzi osiedlili się w Ameryce Południowej. Stracił Deirdre, gdy samolot, którym leciała, rozbił się w dżungli. Wiedział, że dopóki będzie nauczać o Celtach, dopóty prześladować go będą wspomnienia. Była jego najlepszą studentką, Szkotka o celtyckim rodowodzie. Mówiła płynnym językiem gaelickim. Nie miała jeszcze dyplomu, a wiedziała więcej o archeologii celtyckiej niż kandydaci na doktorów w tej dziedzinie.

— Okay. Na czym skończyliśmy? Racja, zapomniałem o literze C, *coli*. Odnosi się ona do twórczości, wyobraźni, inspiracji i intuicji. Możecie się nad tym zastanowić, zanim napiszecie końcową pracę na wtorek.

Studenci zaśmiali się, zadzwonił dzwonek.

— Jesteście wolni.

Gdy opuszczali salę, Indy popatrzył na dziewczynę, która odezwała się podczas wykładu.

— Panno Wilkens? — zwrócił się do niej. Dwie przechodzące dziewczyny rozdziawiły usta. — Przepraszam, jeśli panią uraziłem swoim komentarzem. Nie miałem takiego zamiaru.

Dziewczyna skrzyżowała ręce na książkach, które przyciskała do piersi. Wyglądała na zmieszaną.

— Wszystko w porządku. Wiem o tym... to musi być ciężkie dla pana czasami. Wszyscy wiemy o Deirdre. Nie powinnam zadawać tego pytania. Nie pomyślałam o tym.

Indy zdjął okulary i schował je do kieszeni marynarki.

— Nie było nic złego w tym pytaniu. To wszystko dlatego, że nie czuję się dzisiaj zbyt dobrze — rzucił okiem na zegar nad drzwiami — to chyba wszystko.

— Profesorze Jones, czy mogę pana o coś zapytać? — zagadnęła dziewczyna.

Indy zebrał swoje notatki.

— O co chodzi?

— Czy pan myśli, że warto, aby dziewczyna, to znaczy kobieta, została archeologiem?

Wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie?

— Mój ojciec uważa, że to nie jest zajęcie dla damy. Wie pan, kopanie w ziemi i brudzenie się. Jego zdaniem powinnam wyjść za mąż, mieć dzieci i zapomnieć o studiowaniu.

Znów nie mógł powstrzymać się przed wspomnieniem Deirdre. Spojrzał na nią i odwrócił się.

— Może ma rację.

Wyszedł z klasy i szybko podążył do swego gabinetu. Nie rozumiał, dlaczego śmierć Deirdre tak mocno dzisiaj nim wstrząsnęła. Minął rok od tego tragicznego wypadku i myślał, że uporał się z przeszłością. Może lektura *ogham* otworzyła drzwi do niepamięci.

Drzwi, *duir*. Coś w świecie *ogham* przypominało mu o incydencie prowadzącym do śmierci Deirdre. Ale nie był pewien, co to było. Miał lukę w pamięci, skutek katastrofy lotniczej. Nie mógł sobie przypomnieć wiele z tego, co się stało w dżungli i to mu dokuczało, ponieważ nie pamiętał o ostatnich dniach z Deirdre. Jedyne obrazy, który pojawił się bez względu na to, jak bardzo próbował odtworzyć wydarzenia, to niewyraźny zarys indiańskiej wioski.

Przeszedł przez dziedziniec, pozdrowił sekretarkę, ufryzowaną studentkę, która pracowała dla trzech asystentów profesora.

— Nie chcę nikogo widzieć.

Skinęła głową.

— Nikt nie .chce się z panem widzieć... Nie teraz. Wszedł do swego gabinetu i zamknął drzwi. Pewnego dnia doczeka się swojej własnej sekretarki i ona nie będzie

tak diabelnie bezczelna. Oparł się o drzwi i potarł twarz rękami. Przyjrzał się uważnie swoim rękom, gdy usiadł przy biurku, które zajmowało najwięcej przestrzeni w jego ciasnym pokoju. Sterta czasopism leżała na rogu biurka. Korespondencja porządnie poukładana znajdowała się na drugim końcu. Nie zapłacone rachunki leżały pośrodku biurka, a te załatwione pozostawiono po lewej stronie. Ale ani papiery, ani czasopisma, ani poczta nie wzbudziły jego zainteresowania.

Indy przyglądał się dwom glinianym figurkom. Jedna przedstawiała kobietę z dużymi piersiami i szerokimi biodrami, a druga mężczyznę z członkiem w czasie erekcji... Skąd się to tutaj wzięło?

Tę parę dostał od Deirdre, która odłączyła ją od większej kolekcji figurek. Prawdopodobnie służyły one do celtyckich obrzędów związanych z płodnością. Indy zapamiętał, jak Deirdre uśmiechnęła się i powiedziała: „One reprezentują naszą miłość”.

Ale teraz nie miały nic wspólnego z rytuałem. Wyśmiewały się z niego, więc miał powód, aby je zrzucić z biurka. Wszedł do następnego pokoju i zobaczył otwarte drzwi, i pudełko, w którym przechowywał figurki. Było wyciągnięte z szufladki i rzucone na podłogę.

— Francine! — ryknął i popędził do pokoju, w którym urzędowała sekretarka. — Czy szukałaś czegoś w moim gabinecie?

— Nie warcz na mnie, Jones. Nie byłam tam dzisiaj.

— Więc skąd się tam wzięła moja poczta?

— Jacyś studenci szukali cię dziś rano. Przeszkadzali mi swoimi rozmowami, więc powiedziałam im, żeby poczekali u ciebie. Dałam im pocztę i poprosiłam, by ją ułożyli na twoim biurku.

— Jak wyglądali?

Zadzwonil telefon i Francine podniosla sluchawke. To niewazne. Czul, ze to byly te dwie chichotki, ktore rwały notes w czasie wykladu. Odwiedzily go w zeszlym tygodniu. Zadawaly mnostwo niewaznych pytan na temat kursu, pozniej probowaly dowiedziec sie czegoś o jego zyciu prywatnym.

Wrócił do swego pokoju, podniósł figurki, włożył z powrotem do pudełka i zamknął drzwi gabinetu. Potrząsnął głową zdegustowany i zatrzymał się przed półką z książkami. Przyjrzał się tytułom i odnalazł książkę *Spalone skarby Chińskiego Turkiestanu*. Przekartkował ją i odłożył z powrotem na półkę. Potrzebował zmiany, nowego wyzwania. Czegoś, co by mu nie przypominało Deirdre.

Ale gdzie mógł znaleźć coś takiego? Nie może teraz odejść z uniwersytetu... Semestr zbliżał się ku końcowi i oczekiwano, że będzie uczył podczas letnich zajęć w następnym tygodniu. Tak wchodził w to coraz głębiej. W kulturę Celtów.

Musi porozmawiać z Pencroftem. To wszystko, co może zrobić. Musi poprosić o urlop naukowy. Może wyjedzie do Egiptu lub Grecji czy Indii? A może zajmie się odkopywaniem spalonych skarbów Chińskiego Turkiestanu? Nie wiedział, co chciałby robić, ale musi zająć się czymkolwiek i Pencroft może mu pomóc.

Poczuł się trochę lepiej. Przejrzał pobieżnie pocztę, zatrzymał się na chwilę, gdy zauważył list od Jacka Shannona, swego starego przyjaciela i dawnego współlokatora z col-lege'u. Włożył list do kieszeni, schował resztę korespondencji do plecaka i ruszył ku drzwiom.

Przypomniał sobie, że Pencroft radził mu, aby plecak zachował na wyprawę, gdyż na uczelni bardziej odpowiednia będzie aktówka. Już miał go odłożyć, ale zmienił zamiar. Ten plecak był częścią jego osobowości, sposobem kontak-



towania z rzeczywistością, a to było bardzo ważne i nic nie poradzi, jeśli Pencroft myśli inaczej.

— Wychodzisz? — zawołała za nim Francine.

— Mam nadzieję.

Na końcu hallu spotkał sekretarkę dziekana wydziału, kobietę w średnim wieku o okrągłej twarzy. Opiekowała się Pencroftem jak matka.

— Dobry wieczór, panno Jenkins. Czy dziekan jest u siebie?

— Tak, ale nie może się pan z nim widzieć teraz. Odpoczywa. Za pół godziny ma spotkanie.

— To jest ważna sprawa. Muszę się z nim zobaczyć.

— Przykro mi, profesorze Jones. Musi się pan umówić. Co pan myśli...

— Indy, co mogę zrobić dla ciebie — Pencroft stał w drzwiach gabinetu. Był wątłym, łysym mężczyzną w wieku sześćdziesięciu paru lat.

Oparł się na lasce i przyglądał mu się bacznie przez grube, w czarnej oprawie okulary, które powiększały jego oczy.

— Doktorze Pencroft, byłoby to narzucaniem się, gdy byśmy porozmawiali przez parę minut?

— Mówiłam mu, że pan odpoczywa.

Pencroft machnął ręką.

— W porządku, Rito. Proszę, chodź Indy. Wejdz do środka.

Indy nie zawahał się. Szybko podążył za profesorem i zamknął drzwi. Śmiał się pod nosem z sekretarki, która skrzyżowała ręce i kiwała głową z dezaprobatą.

Pencroft przekuśtykał wokół biurka i usiadł na krześle. Spędził więcej niż czterdzieści lat na studiowaniu ludzi paleolitu i został kierownikiem wydziału po tym, jak Victor Bernard przypuszczalnie zniknął bez śladu w czasie wyprawy do Gwatemali.

Indy wiedział, że Bernard nie zginął w Gwatemali, lecz w Brazylii. Było to jedno z ostatnich wspomnień z Amazonii, zanim wszystko zamazało się w jego pamięci. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie uwierzyłby mu nikt. Nawet jego stary przyjaciel Marcus Brody myślał, że to było złudzenie związane z wypadkiem samolotowym. To Marcus poradził mu, aby trzymał tę niewiarygodną historię w tajemnicy. Nie powiedział ani słowa, chociaż był pewien, że Bernard nie tylko nie zginął z rąk Indian, ale miał powiązania z zamachem na życie Indy'ego.

— Proszę usiądź — powiedział Pencroft i zmarszczył brwi, gdy Indy postawił swój plecak na podłodze. — Cóż mogę zrobić dla ciebie?

Nagle Indy poczuł, że ma związany język.

— Doktorze Pencroft, nie chodzi o to, że nie lubię tego, co robię. Jestem zadowolony z pracy tutaj, ale coś się stało i nie jestem pewien... to znaczy... wydaje mi się, że nie mogę kontynuować tego, co robię i chciałbym... czuję, że urlop naukowy mógłby mi pomóc.

— Urlopy naukowe są dla urzędujących profesorów. Może za parę lat zdobędzie pan takie uprawnienia, ale nie teraz — potrząsnął głową Pencroft.

— Nie myślałem o urlopie naukowym w dosłownym sensie. Miałem na myśli jakąś krótką nieobecność.

Ręka Pencrofta zaszeleściła nagle wśród papierów.

— To interesujące, że podnosi pan temat swojej przyszłości w tej instytucji. Rozumiem to jako rozmowę o rzeczach najbardziej aktualnych.

— Tak?

— Tak. Widzi pan, zarząd akademicki interesuje się pana kwalifikacjami do nauczania kultury celtyckiej.

— Co? Uczę tego już prawie trzy lata.

Pencroft znalazł plik notatek i kartkował je.

— To jest podstawa — powiedział, wypowiadając każde słowo tak, jakby Indy mógł ich nie zrozumieć. — Nie uważają, żeby pan był w nie wystarczający sposób przygotowany do wykładania, ale, mówiąc między innymi, wcale nie pomaga panu to, że jest pan Amerykaninem.

Indy wiedział, że miał dużo szczęścia, zatrudniając się na Uniwersytecie Londyńskim. Uświadomił sobie, że oferta była związana z odkryciami w Delfach i badaniami w Stone-henge. Ale wszystko minęło. Doświadczenia przeważały nad niedostatkiem studiów... t,

— Kwalifikacje albo zdolności nie są powodem. Jestem już znużony. Potrzebuję przerwy, aby spróbować czegoś innego.

— Proszę pozwolić mi skończyć — przerwał Pen-croft. — Władze skrytykowały pańskie badania w zeszłym roku. Zanim doktor Benard zniknął zeszłego lata, skrytykował pańską pracę o Tikal.

— Ale to nie miało żadnego powiązania z moim nauczaniem o Celtach. — Miał ochotę powiedzieć Pencroftowi wszystko o Bernardzie, ale się powstrzymał.

— To tylko część problemu. Pańska akceptacja oferty doktora Bernarda, dotyczącej pracy nad Tikal, świadczy o tym, że pan nie jest skoncentrowany na historii Celtów. A teraz pan mi mówi, że czuje się znużony.

— I co w związku z tym?

Pencroft przełknął ślinę.

— Jeśli mogę coś dodać, to chciałbym powiedzieć, że pańskie obecne samopoczucie wiąże się z wydarzeniami w Amazonii zeszłego lata.

— To tylko część problemu.

Stary profesor skinął głową zamyślony.

— Pan wie, że byłem bardzo zaprzyjaźniony z matką Deirdre. Jej strata bardzo mnie dotknęła. Więc oczywiście

rozumiem pańskie uczucia i faktycznie brałem pod uwagę te nieprzyjemne okoliczności.

Indy nie miał ochoty na rozmowę o swoich uczuciach i nie docenił niewyraźnej próby pocieszenia go. Czekał na konkluzję.

— Jestem pewien, że przypomina sobie pan, iż na początku semestru zaproponowałem panu spędzenie akademickiego roku na tłumaczeniu goidelskiego manuskryptu z drugiego roku przed Chrystusem.

— Pamiętam. — Goidelik był odłamem języków celtyckich i chociaż Indy czynnie znał ten język, ciągle był daleki od tego, by czuć się ekspertem. To nie tego szukał; ani wtedy, ani teraz.

— Zaofiarowałem panu to, ponieważ myślałem, że nie chciał pan uczyć po tych nieszczęśliwych wypadkach lotniczych.

— Wiem o tym.

Pencroft skrzyżował ręce.

— Więc dam Panu następną szansę pracy nad manuskryptami. Jestem pewien, że mogę wystąpić do władz uczelni o fundusze na pańskie badania w ciągu lata. Później ocenimy postępy, jakie pan poczyni i zadecydujemy o dalszym ciągu.

— Doceniam pańską ofertę, doktorze Pencroft. Ale, jak wcześniej powiedziałem, wydaje mi się, że są lepsi do tej pracy. Widzi pan, wiele myślałem o tym. Muszę wyjechać na trochę...

— Tłumaczenie nie zawsze jest szkolnym ćwiczeniem. — Pencroft powiedział to ostrzegającym tonem. — Niech pan przyjrzy się Henry'emu Rawlinsonowi. Uczepił się jedną ręką klifu i kopiował babilońskie pismo klinowe. Gdyby ten chwyt zawiódł, zabiłby się.

— Ale goidelski tekst, o którym pan mówi, znajduje się na dole w bibliotece.

— Czy odrzucasz moją propozycję?

Indy zastanowił się przez moment. Doskonale wiedział, jakie mogą być konsekwencje tego, jeśli się zgodzi.

— Myślę, że tak. Muszę wyjechać.

Pencroft skinął głową.

— Przypuszczam, że rozumiesz, iż twoja praca na uniwersytecie potrwa tylko do końca roku akademickiego.

## OCZEKIWANIE

W czasach Chaucera Londyn był wioską wielkości jednej mili kwadratowej, otoczoną murem romańskim. Wkrótce wokół powstały małe miasteczka, takie jak: Chelsea, Mayfair, Marylebone, Soho i Bloomsbury i stopniowo miasto stało się zlepkiem tych miejscowości. Hampstead miało najwięcej otwartych przestrzeni i najwyższy punkt w Londynie, znany jako Wzgórze Parlamentu.

Po wyjściu od Pencrofta Indy udał się prosto do Hampstead Heath, jak nazywał się miejscowy park. Szedł otwartymi polami i wśród kęp sosen, uwolniwszy się od klas, studentów i kolegów. A gdy Wzgórze Parlamentu wyrosło przed nim, zaczął się tam wsninać. Wycieczka była próbą poradzenia sobie z frustracjami i uspokajała go. Zamierzał zobaczyć z góry całe miasto i, być może, zastanović się nad swoim życiem.

Gdy doszedł na szczyt, spojrział w dół na sieć krętych ulic wyznaczonych przez rezydencje i domki z tarasami. Niektóre były zbudowane z czerwonej cegły, inne pokryte białym stiukiem, a większość zdobił bluszcz i ostrokrzewy. Dostrzegł Wentworth Place, gdzie John Keats napisał *Odę do greckiej urny*, *Odę do Psyche*, *Do jesieni* i inne poematy. Rzucił spojrzenie na odległe iglice wież i budynki i zauważył, że Londyn wyglądał teraz inaczej. Patrząc na miasto z góry,

myślał o dawnych czasach. Jego pobyt w Anglii dobiegał końca jak ostatni rozdział książki. Będzie tęsknił za ludźmi i za tym miejscem, ale zdecydował się wyjechać stąd. Opuści miasto w czasie lata i nie wróci na zajęcia.

Gdy usiadł, aby odpocząć, wypadł mu z tylnej kieszeni list Shannona. Jack wrócił do Chicago półtora roku temu, po śmierci swego ojca. Indy nie znał szczegółów, ale przypominał sobie, że Shannon wspomniał, iż śmierć ojca nie była ani naturalna, ani też ojciec nie zginął w wypadku. Rodzina Shannona miała powiązania z grupami gangsterskimi i śmierć od kuli była ich zawodowym ryzykiem.

Indy pisał do Shannona wiele razy, ale otrzymał jedynie parę listów. Ten był pierwszy, który dostał, po tym jak Shannon złożył mu kondolencje w związku ze śmiercią Deirdre. Shannon wspominał trochę o swoim życiu w Chicago, a ponadto o tym, że grał regularnie w jazz-bandzie w nocnym klubie w South Side.

Otworzył kopertę i rozłożył list, który miał datę drugi maja, i szybko przeczytał go.

„Drogi Indy

Przepraszam, iż tak rzadko piszę. Wiem, że nie ma dla mnie wytłumaczenia. Jestem bardzo zajęty muzyką i innymi rzeczami. Gram właśnie pięć nocy w tygodniu w Nest na Trzydziestej Piątej Ulicy. Powinieneś zobaczyć dzisiaj Chicago. Stare miasto zostało opanowane przez jazz i blues. Miałbyś okazję stwierdzić, że jazz zasługuje na szacunek. Ale to chyba trochę za dużo powiedziane.

Jak już wspomniałem, powinieneś to zobaczyć. Problem polega na tym, że >rodziny« stają się bezlitosne. Odkąd zabito ojca, nastąpiła chwiejna równowaga. Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby mieć czyste ręce, ale jest coraz trudniej. Należę do braci Shannonów, a Shannonowie zajmują się »interesami«.

Nie wiem, dlaczego Ci to wszystko piszę. Może to jest spowiedź. Chodzę trudną drogą i muszę szukać pomocy u Najwyższego,

rozumiesz chyba, co mam na myśli. Jeśli to się nie sprawdzi, pozostaną mi niewielkie szanse. Być może wkrótce znajdę się pod Twoimi drzwiami. To jest ostrzeżenie dla Ciebie. Ha-ha.

Jack".

Nie, to ja zjawię się pierwszy u twoich drzwi — pomyślał Indy. — Chicago to wcale nie jest taki zły pomysł.

Zeszłej zimy wziął udział w konferencji archeologów w Dublinie na temat kultury Celtów. Wygłosił wykład o wpływach celtyckich w Nowej Anglii. Skoncentrował się w nim na kamiennych inskrypcjach znalezionych głównie w Massachusetts i Vermont, i porównał je z pozostałościami celtyckimi Wielkiej Brytanii. Zawahał się na krótko przed podjęciem ostatecznej konkluzji. Zależało mu przede wszystkim na tym, by otrzymać *Celtic scholars*...

Jednym z mówców na tej konferencji był Angus O'Malley, dziekan Wydziału Archeologicznego na Uniwersytecie Chicago. Był pod wrażeniem wykładu Indy'ego i powiedział mu, że jeśli jest zainteresowany powrotem do Chicago i nauczaniem, to znajdzie posadę dla niego.

Indy nie pamiętał o tej ofercie. Przynajmniej do tej pory. Zawsze sobie wyobrażał swój powrót do Stanów, ale nie zastanawiał się nad terminem. Może mógłby się przyłączyć do uczelnianych wykopalisk i rozpocząć pracę na początku roku. To nie był zły plan, a ponadto mógłby zobaczyć Shannona i dowiedzieć się, jaki to rodzaj „wyższej” pomocy jest mu niezbędny. Nie przypuszczał, aby Shannon stał się religijny. To nie było w jego stylu. Ale w takim razie co miał na myśli?

W miarę jak zastanawiał się nad tym, coraz bardziej upewniał się, że jest gotów do powrotu. Byłoby dobrze znowu zamieszkać w Chicago. Może nawet znalazłby sobie dziewczynę...



Ostrożnie złożył list, schował go do koperty i wsunął do kieszeni. Ciężkie chmury gromadziły się nad Londynem i widok stawał się szary i zamglony. Nadszedł czas, aby wracać do miasta — pomyślał i po raz pierwszy miasto oznaczało Chicago.

Jack Shannon wychylał się przez pokryty sadzą mur z cegieł na końcu alei z tyłu Nest. Gdy ciężarówka przejechała obok niego, spojrzał na zegarek i zobaczył, że minęły dwie po trzeciej nad ranem. Nest było zamknięte, ale najważniejszą sprawą tego dnia trzeba było właśnie rozpocząć.

Aleja i boczna ulica były wolne od jakiegokolwiek podejrzanego ruchu i Shannon miał nadzieję, że ludzie czekający przy tylnych drzwiach klubu są gotowi do rozładunku. Chciał, aby ciężarówka zniknęła stąd w ciągu pięciu minut, a nawet szybciej. Za nim przykucnął inny członek organizacji, a w cieniu alei byli ukryci jeszcze dwaj. Na przeciwległym końcu brat Shannona, Harry, i trzech jego ludzie obstawili wyjście. Wszyscy mieli angielskie rewolwery przyciśnięte mocno do boku i byli gotowi użyć ich w każdej chwili. Przerzut alkoholu do nocnego klubu nie był sprawą rutynową. Ale to nie gliniarze stanowili zagrożenie. Byli dobrze opłaceni. To walka konkurencyjna o terytorium stwarzała problemy i właśnie teraz sprawy stały się niezwykle palące.

Shannon próbował się uspokoić, myśląc o kobiecie, którą spotkał wcześniej tego wieczoru, zanim przyszedł do klubu. Miała na imię Katrina i to imię pasowało do jej osobowości, przynajmniej tak mu się wydawało. Był nią zaintrygowany i chciał ją znowu zobaczyć. Już dawno nie spotkał kobiety, która by zrobiła na nim takie wrażenie.

Być może tak się stało, ponieważ była inna od tych, które zazwyczaj spotykał w klubie. Wszystkie miały krótkie włosy

i nosiły workowate, przybrane frędzlami sukienki i sznury paciorków. Zaciągały się papierosami, żuły gumę i piły „białe błyskawice”, gdy nie wyczyniały wygibasów na parkiecie. To było fajne, ale zaczął marzyć o dziewczynie w typie wiktoriańskim, dziewczynie, która będzie mdleć w jego ramionach, a nie wydmuchiwać dym z papierosów.

Jedwabiste blond włosy Katriny prawdopodobnie sięgały do pasa, gdy nie były upięte na głowie. Kiedy ją zobaczył, miała na sobie staromodne ubranie: wysoko zapinaną bluzkę i długą spódnicę. Jednocześnie nie wydawała się pruderyjna. Była taka bezpośrednia, witając się z nim, a jej niebieskie oczy przyglądały mu się ciekawie, gdy potrząsał jej delikatną dłoń. Był pewien, że wyczuwa tęsknotę, którą ona jest gotowa wybuchnąć.

Ale spotkał ją w kościele właśnie przed nauką Biblii i to nie było odpowiednie miejsce na randkę. Mówiła o swoim ojcu, który znał pastora i który miał przemawiać w kościele za kilka dni. Planowali wyprawę do Turcji, gdzie mieli szukać Arki Noego.

Przyglądał się jej z takim przejęciem, że ledwo słyszał, co mówiła. Gdy po chwili zadał parę pytań, aby podtrzymać rozmowę, kiwnęła głową i roześmiała się głośno.

— Właśnie o tym mówiłam. Czy ty mnie słuchasz?

— Całym sercem — odpowiedział Shannon.

Wtedy pastor i jej ojciec wynurzyli się z budynku. Katrina się uśmiechnęła nieśmiało, po czym odeszła, aby przyłączyć się do nich.

O tej porze pewnie spała głęboko w swoim łóżku, podczas gdy on stał tu, w tej alei, z rewolwerem, czekając na kłopoty. O mało *co* nie roześmiał się głośno na myśl o sprzecznościach, które niosło mu życie. Poza tym nie było nic zabawnego.

— Hej, patrz! — Richie, wielki człowiek stojący za Shannonem, trącił go łokciem.

— Widzę.

Czarny packard jechał powoli w dół ulicy, zbliżając się do alei. W tym momencie ciężarówka włączyła silnik i odjechała od tylnych drzwi klubu. Nadeszła ich kolej.

— O gówno — wymamrotał Shannon pod nosem.

Packard zwolnił, aby się zatrzymać, a ciężarówka nabierała prędkości. Odbezpieczył rewolwer. Jego palec napiął się na spuście. I wtedy kierowca packarda zobaczył ciężarówkę. Shannon podniósł broń czekając, aż okno otworzy się całkowicie. Ale packard minął ich i potoczył się ku krawężnikowi właśnie w chwili, gdy ciężarówka wyjechała już z alei. Przejechał krawężnik i obrócił się w drugą stronę.

Frontowe drzwi packarda otworzyły się i dwóch mężczyzn w długich, ciemnych płaszczach i kapeluszach wyskoczyło z samochodu. Shannon obrócił broń, ciągle oczekując widoku karabinów maszynowych schowanych pod płaszczami.

— Nie strzelać! — powiedział Richie głośno. — To Benny Boy.

— Cóż, u diabła, on tu robi?

— A jak myślisz? Hej, Benny!

Mężczyzna odwrócił się, zawahawszy się przez moment, potem uśmiechnął się i zdjął kapelusz, odsłaniając gładko szesane do tyłu włosy z przedziałkiem pośrodku i cienki wąsik.

— Jak leci, Richie? Idziesz na górę pobawić się z cizią? No, chodź!

Oczywiście — pomyślał Shannon, wreszcie rozluźniając uchwyt. Burdel obok był otwarty całą noc.

## THE NEST

*Chicago — trzy tygodnie później*

Gdy pociąg wjechał na Union Station przy skrzyżowaniu ulic Jacksona i Canal w dolnej części Chicago, Indy obserwował tłum ludzi przesuający się po peronie. Peron był jak wielka scena i każdy brał udział w tej niezrozumiałej grze, bez początku i bez końca. Dialog zazwyczaj toczył się razem z ludźmi mówiącymi jednocześnie. Od czasu do czasu uczestnicy tego przedstawienia zatrzymywali się na parę sekund, po czym aktor znów znikał w tłumie.

W tym sensie miasto stanowiło jak gdyby przedłużenie sceny — pomyślał Indy. Było oczywiście dużo bardziej złożone, gdyż tysiące sztuk grano równocześnie. Występowały gwiazdy i statyści, gdziekolwiek spojrzeć. Chicago było głośną sztuką z dialogiem akcentowanym od czasu do czasu staccatem ognia karabinowego mafii, rykiem bydlę prowadzonego do rzeźni albo przeraźliwym gwizdem fabryk. Chicago było dysonansem i harmonią, dramatem i komedią, a sztukę grano na okrągło przez całą dobę.

Indy nigdy nie myślał o tym mieście w ten sposób, gdy tu mieszkał. Ale nie spędził ani jednej nocy w Chicago od ośmiu lat i czuł się jak obcy. Nie należał nigdzie. Był aktorem bez roli... Jakby wyrzucono go z pociągu.

Spędził dziewięć dni na morzu, a ostatnie trzy dni podróżował koleją. Było południe, a on się czuł zmęczony

i zdezorientowany. Zdecydował się poszukać hotelu niedaleko dworca i odpocząć chwilę. Przyszedł obok paru bloków wzdłuż Szóstej Ulicy i Michigan i znalazł się na tyłach Blackstone — sławnego, luksusowego i drogiego hotelu. Nigdy tu się nie zatrzymywał, nawet nie myślał o tym. Gościli w nim bogaci ludzie spoza miasta.

— Czy mogę wziąć pański bagaż, *sir!* — zapytał portier. Był to młody Murzyn ubrany niczym generał, ale miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu.

— Mój bagaż? Nie, dziękuję. Nie sądzę, abym miał zamiar tu pozostać,

— Dlaczego nie? Czy nie jesteśmy wystarczająco dobrzy?

Indy zaśmiał się.

— Twój hotel jest świetny. To jest mój portfel.

— No to co? Dlaczego nie spróbować na jedną noc? Nie będzie pan żałował.

— To brzmi zupełnie jak oferta.

— Nie, ale nie mam ochoty pracować tu całe życie — odpowiedział portier. — Chcę się dostać do działu sprzedaży.

— Byłbyś dobry w tym.

— Myśli pan, że mógłby zatrzymać się tu w Blackstone?

— Wydaje mi się, że mógłbym.

— Niech pan posłucha, *sir*. Co by pan powiedział na apartament za cenę pokoju jednoosobowego?

— Nie potrzebuję apartamentu. Ale dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

— Dlaczego? Bo wiem, że mogę to zrobić. I widzę, że jest pan typem faceta, który umie wyciągnąć korzyści z moich informacji, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi.

A niech to diabli — pomyślał Indy. To nie jest taki zły pomysł. W końcu na odchodne dostał równowartość dwóch

pensji. Może sobie pozwolić na taki luksus przez dzień lub dwa, potem znajdzie sobie coś tańszego.

— W porządku. Odpowiada mi to.

— Wspaniale. Mam na imię Frankie. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać mi znać.

Frankie otworzył drzwi i Indy poszedł za nim. Elegancja zapierała dech w piersiach. Stopy tonęły w grubym dywanie. Masywne, ozdobne kandelabry zwisały z sufitu. Ściany były pokryte bogatą ornamentyką drewnianą, ponadto wszędzie można było zauważyć delikatne marmurowe statuetki.

Indy podszedł do recepcji i zapytał o pokój. Recepcjonista uśmiechnął się i poinformował go, że może zaoferować ostatni wolny pojedynczy pokój na drugim piętrze.

— Pojedynczy? — zdziwił się Indy. Urzędnik rzucił mu zmieszane spojrzenie.

— Pan jest sam, czyż nie?

— Tak.

Chwilę później recepcjonista poszedł po klucz, ale gdy wrócił, wyglądał na zaskoczonego.

— Przepraszam, panie Jones, jest pewien problem. Pokój, który panu zaproponowałem, jest już zajęty. Parę minut temu nasz gość zdecydował się pozostać tu jeszcze jedną noc. Nie mamy wolnych pokoiów z wyjątkiem jednego, który znajduje się w rogu.

Zaśmiał się, rozbawiony umiejętnością przewidywania Frankiego. Wkrótce jednak zorientował się, że recepcjonista nie daje mu żadnego rabatu.

— Nie mogę sobie na to pozwolić — zareagował. — Pójdę do innego hotelu.

Urzędnik hotelowy był zawiedziony.

— Chwileczkę, proszę pana...

Zniknął w biurze. Indy obserwował kobietę w średnim wieku ubraną w futro i biżuterię, prowadzącą dwa pudle.

Kilka kroków za nią szedł mężczyzna w cylindrze, trzymając ebonitową laskę ze złotą galką w kształcie koziej głowy. Indy na próżno próbował sobie wyobrazić, jak tacy ludzie ubierają się na wieczór.

— Panie Jones, rozmawiałem z szefem... może wziąć pan apartament za cenę pojedynczego pokoju. Przepraszamy.

— Nie ma kłopotu — odpowiedział Indy i pomyślał, że z takiej miłej pomyłki zawsze może skorzystać.

— Zaniósę pański bagaż, *sir* — to znów był Frankie.

— Dziękuję. Skąd wiedziałeś, że tak to będzie przebiegało?

Frankie zaśmiał się.

— Kiedy się pracuje przy drzwiach, to wie się dużo rzeczy... dużo rzeczy.

— To dlaczego nie jesteś przy drzwiach? — zapytał Indy, gdy czekali na windę.

— Właśnie panu pomagam.

Założę się — pomyślał Indy — że to nie są jego płatne godziny. Stare Chicago nic się nie zmieniło. Każdy, od dyrektora do portiera, robił szwindle.

Parę minut później Indy znalazł się w ukrytym narożnym apartamencie z dwoma królewskimi łózkami. Dał Frankiemu większy napiwek, niż spodziewał się, że zapłaci za pokój, ale nie myślał o tym. Był zadowolony, że chłopak przekonał go, aby tutaj zostać. Nigdy sam by się na to nie zdecydował. Rzucił się na łóżko i zasnął w ciągu paru sekund.

W innym pokoju hotelu Blackstone Katrina Zobolotsky stała we frontowym oknie i czesała swoje długie jasne włosy. Obserwowała ludzi na ulicy, trzy piętra niżej. Nie lubiła Chicago. Wolała San Francisco, które było jej domem od sześciu lat. Wrażenia z Chicago stały się teraz jeszcze gorsze z powodu obecności obserwatora.

Bezmyślnie przesuwiała palcami po welwetowych drape-riach i sunęła stopami po grubym dywanie. W ciągu dwudziestu czterech lat swego życia nigdy nie przebywała w tak luksusowych pomieszczeniach. Czuła się jak księżniczka, ale także jak więzień. Wiedziała, że on gdzieś tam jest. Czekwała. Ani ona, ani jej ojciec nie mogli wyjść bez zwracania na siebie uwagi, a on pojawiał się wszędzie. Mogli go widzieć stojącego w wejściu po drugiej stronie ulicy, a kiedy znaleźli się za rogiem, znowu był przed nimi. Nie wiedziała, jak on to robił. Jej ojciec gotów był uwierzyć, że zło jest na ich szlaku, a ona nie winiła go za to.

Może przyjazd do Chicago był błędem. Ale jeśli tak było, to może się okazać, że wszystko, na co się zdecydowali, jest złe. Nie mogła dopuszczać takich myśli. Musiała wierzyć, że to, co robi, ma sens.

Odwróciła się od okna i zapukała do drzwi ojca. Zbliżał się czas obiadu i była pewna, że wszystko będzie wyglądać lepiej po posiłku. Chciała w to wierzyć. Potrzebowała tego.

Gdy Indy budził się, po głowie chodziła mu ciągle ta sama fraza: D jak duir... D jak duir... D jak duir... D... D...

— Wszystko w porządku. Wszystko w porządku — wymamrotał przez sen. Był z dala od Londynu i uniwersytetu już dwa tygodnie, ale historia Celtów ciągle mu towarzyszyła. Zamrugał oczami i rozejrzał się wokół.

Zasłony były rozsunięte i światło z ulicy rozświetlało pokój. Czuł się zmęczony i najchętniej zasnąłby ponownie, ale zamiast tego odszukał przycisk kontaktu.

Podszedł do radia, pokręcił gałką i położył się. Czekał, dopóki nie usłyszał godziny. Nie chciało mu się wychodzić; przecież Shannon nie ucieknie, może się z nim spotkać w następnym dniu. Zwrócił uwagę na wiadomości, które



czytał spiker w radio. Usłyszał koniec informacji o agentach federalnych, którzy odkryli aparat do destylacji alkoholu w budynku obok ratusza w Cicero, -miasta na obrzeżach Chicago. Później spiker powrócił do wiadomości:

„To się wydarzyło dwa i pół tygodnia po tym, jak Charles Lindbergh wykonał swój historyczny lot z Nowego Jorku do Paryża i mieliśmy okazję wysłuchać wrażeń z długiej i samotnej podróży podniebnej. Wielu z nas chciałoby wiedzieć, jak Lindberghowi udało się nie zasnąć przez trzydzieści trzy i pół godziny. I oto mamy interesującą odpowiedź. Według przyjaciela rodziny Lindbergha, pilot czuł się chwilami tak, jak gdyby nie był sam w samolocie, jakby tam w kabinie był ktoś jeszcze, kto prowadził go i pomagał nie zasnąć”.

Indy przerzucił nogi przez brzeg łóżka, gdy spiker ciągle mówił. Wezwał pokojową, zamówił stek i miał zamiar wziąć prysznic. Jeżeli Lindbergh mógł nie zasnąć w czasie podróży nad Atlantykiem, on także, do cholery, nie pójdzie spać tego wieczoru i zobaczy się ze swoim starym przyjacielem.

O wpół do dziesiątej był najedzony, ubrany i gotowy do wyjścia. Gdy znalazł się przed drzwiami, podjechała taksówka. Indy wsiadł i rozparł się na tylnym siedzeniu.

— Skrzyżowanie Trzydziestej Piątej i State Street — rzu cił w stronę kierowcy.

Taksówkarz w wieku pięćdziesięciu lat zwrócił się do Indy'ego:

— Czy jest pan pewien, że chce pan na pewno tam pojechać, *sirl*

— Czyż nie grają tam *jazzu!*

— Oczywiście, grają — odpowiedział i ruszył.

State Street cieszyła się sławą dzielnicy rozpusty, podobnie jak miejsce, gdzie grano jazz. Było to w sąsiedztwie Murzynów i budynków zamieszkiwanych przez Irlandczyków, Litwinów i Polaków...

Indy wyglądał przez okno, gdy taksówka posuwała się wolno zatłoczoną ulicą. Nie był w tym miejscu od czasów college'u, gdy razem z Shannonem spędzali tu wiele nocy, wślizgując się do klubów *block and tan*...

Zazwyczaj kończyli na *rent parties*, gdzie Shannon miał okazję po raz pierwszy zagrać na trąbce z prawdziwymi muzykami jazzowymi.

Teraz jazz, a może łatwiejsza wersja tej porywającej muzyki, został zaakceptowany w Chicago i wszędzie wokół. Wyświetlano pierwszy film, w którym aktorzy mówili. Nosił tytuł *Jaaz Singer* i występował w nim Al Jolson. Rozpoczął się wiek jazzu, tak jak były Ryczące Lata Dwudzieste.

Wszędzie panował tłok, a z klubów dochodziły dźwięki muzyki. Gdy zbliżyli się do Trzydziestej Piątej, Indy rozpoznał wiele kabaretów o znajomych nazwach: Dreamland Cafe, Paradise Gardens, The Elite No. 2 i LaPerencia. Dostrzegł New Monogram Theatre, a w jego pobliżu budynek, na którym widniał napis oświetlony czerwonym światłem: The Nest.

— O, tutaj. Tutaj właśnie idę.

— Będzie się pan świetnie bawił w The Nest — powiedział kierowca, gdy Indy płacił za przejazd. — Ale niech pan dobrze uważa. Tutaj wszystko może się zdarzyć.

— Dzięki za radę — odrzekł Indy, dając taksówkarzowi napiwek.

Przeszedł przez ulicę i gdy zbliżył się do klubu, zauważył dwóch policjantów przyglądających mu się uważnie.

— Do góry — powiedział jeden z nich.

— Nocny klub jest na górze? — zapytał Indy.

— Dla ciebie jest tam — odpowiedział gliniarz.

Z początku Indy nie rozumiał, później domyślił się, że policjanci poinformowali go, iż dla białych jest pierwsze piętro.

Wszedł do przedsiönka i zaczął wchodzić po schodach, kiedy drzwi nagle się otworzyły i para Murzynów przeszła obok niego. Usłyszał pianino i ujrzał w przelocie przyćmione światła i zatłoczony nocny klub: małe stoliki ze świecami, scenę z zielonymi i czerwonymi światłami, parkiet i mgłę dymu papierosowego. Postanowił zorientować się, czy ma szansę spotkania Shannona i porozmawiania z nim.

Stał w drzwiach, ale pojawił się przed nim barczysty Murzyn w płaszczu i krawacie i wskazał schody:

— Tam, na górze, jest dużo miejsca, *sir*.

— Dzięki. Szukam Jacka Shannona, gra na trąbce.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

— Może go pan poszukać na prawo przy schodach. Pan Shannon jest na zapleczu.

Indy wręczył bramkarzowi ćwierć dolara...

— Powiedz Jackowi, że Indy z Londynu jest na górze — poprosił.

Mężczyzna skinął głową.

— Zobaczą, co się da zrobić.

Pierwsze piętro okazało się balkonem ukształtowanym na wzór końskiego kopyta. Stoliki były oddzielone przepierzeniami. Indy przeszedł obok kilku zajętych, zanim znalazł wolny stolik. Widok na scenę był dobry, więc usiadł tam. Jeśli nawet charakter tego lokalu był zbliżony do cygańskiej *boites* w Paryżu, to na pierwszym piętrze kelnerzy nosili ciemne garnitury i kapelusze z rondami naciągniętymi na oczy, częściej niż porządne swetry i beztrósko nałożone berety. Ale może ubiór stanowił szaleństwo tych dni w Windy City. Nie było wątpliwości co do kobiet. Miały na sobie mundurki podlotków: krótkie spódniczki, długie łańcuchy wisiorków, spodnie podwinięte do kolan...

Zamówił coca-colę u kelnerki Mulatki. Spojrzał na scenę, gdy usłyszał znajomy dźwięk... Shannon wyglądał tak samo

jak wtedy, kiedy Indy widział go po raz ostatni. Wciąż nosił kozia brodę, a jego rude włosy były rozczochrane jak zawsze. W szkole Shannon miał sześć stóp i dwa cale i ważył sto czterdzieści funtów. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek przybyło jego muskularnej postaci.

Na koniec trzeciego kawałka, gdy tylko brawa ucichły, Shannon wziął mikrofon.

— Dziękuję wam. To było *High Society Rag*, prosto od Kinga Joe Olivera.

Odwrócił głowę i użył swojej trąbki jako wskazówki.

— Przy pianinie urzęduje nasz stary przyjaciel pan Willie „Lion” Smith. Posłuchajmy go. — Gdy owacja ucichła, kontynuował: — Na perkusji gra Sonny Greer, prosto z nowojorskiego słynnego Rhythm Clubu. Powi tajmy go. Zagramy jeszcze jeden kawałek, po czym robimy przerwę. Gdy wrócimy, niektórzy z przyjaciół Liona za siądą z nami.

Shannon przysłonił oczy ręką.

— Jesteś tam na górze, Jones? Jeden z moich fantastycznych przyjaciół znajduje się dzisiaj z nami. Nie chce występować na scenie. To zawodowy kopacz kanałów na londyńskich ulicach.

Indy się śmiał, a Shannon podniósł trąbkę do ust. Popłynęła swawolna melodia. Parkiet się zappełnił. Indy rozsiadł się wygodnie i pogrążył się w słuchaniu, pozwalając, by muzyka wypełniła go. Prawdziwy jazz był dźwiękiem surowych emocji, mocnych wrażeń i dobrych czasów. Przyglądał się ludziom przy stolikach na pierwszym piętrze, obserwował tancerzy na dole... Niektórzy pstrykali palcami w syn-kopowanym rytmie. Inni jedynie obserwowali; a dla większości białych, którzy odważyli się zaryzykować, wystarczył sam pobyt tutaj.

W parę minut po rozpoczęciu przerwy Shannon wszedł na

schody, wycierając się ręcznikiem. Kiedy zmierzał w stronę Indy'ego, kiwał głową, uśmiechał się, rozmawiał z obsługą... Indy wstał, gdy Shannon podszedł do stolika. Podali sobie ręce i uścisnęli się.

— Nareszcie jesteś — odezwał się Shannon. — Dostałem twój telegram i właściwie nie mogłem w to uwierzyć.

— Ja również nie mogłem w to uwierzyć — powiedział Indy, gdy usiedli. — Czuję się jak we śnie.

— To nie jest Kraina Snu, przyjacielu. Tu wszędzie są ulice. Tutaj nie wolno śnić.

Indy zaśmiał się i na chwilę przypomniał mu się sen: „D jest jak duir... D jest jak duir”. To było jak stracony czas w dżungli. Cokolwiek mu się stało, było jak sen. Sen, który wciąż się w nim tlił.

— Więc co myślisz o tym miejscu? — zapytał Shannon.

— Mniej więcej tak sobie to wszystko wyobrażałem.

— Nie spodziewasz się wielu rzeczy, Indy. Wierz mi.

— Co to znaczy?

— Jesteśmy właścicielami tego miejsca.

— My?

— Ja i moi bracia. A któż by inny? To jest rodzaj cichej spółki. Murzyn menedżer, wiesz.

— Naprawdę? W takim razie jestem zdziwiony, że nie chcesz białych na dole — powiedział Indy. — Gdy przychodziliśmy tu słuchać jazzu, miałeś zwyczaj na to narzekać.

— Wiem, wiem. To jest jedna z umów, które zawarłem z moimi braćmi. Widzisz, kiedy nasze sprawy zagmatwały się, publiczna uwaga zwróciła się ku temu miejscu, a nam to nie odpowiadało. Mamy wystarczająco dużo kłopotów.

Kelnerka postawiła szklanę wody sodowej przed Shan-nonem, a Indy'emu podała następną colę. Jack sięgnął ręką do kieszeni marynarki i wyciągnął butelkę.

— Dżinu?

- Widzę, że się nie zmieniłeś.
- Shannon dolał dżinu do coli Indy'ego, a następnie, dodając alkoholu do wody sodowej, odpowiedział:
- Och, nic o tym nie wiem, Indy. Będziesz zdziwiony.
- Domyślam się, że żyjesz blisko ze swoimi braćmi — zauważył Indy, próbując ocenić udział Shannona w mafii.
- To niezupełnie tak, ale rzeczywiście jestem w bliższych stosunkach z rodziną. To była konieczność...
- Indy wiedział, że Shannon przeniósł się do domu rodzinnego, gdzie mieszkał z matką i z jednym z braci, który miał żonę i dwójkę dzieci.
- Odpowiada ci życie w domu?
- To ma swoje dobre strony. — Shannon przeciągnął ręką po nie uczesanych włosach. — Myślę, że mógłbym zaprosić cię do siebie, ale na razie to nie byłby najlepszy pomysł.
- Nie ma kłopotu. Mieszkam w Blackstone. — Zatrzymanie się w domu przyjaciela, najprawdopodobniej przepelnionym, było ostatnią rzeczą, na jaką Indy miałby ochotę.
- Żartujesz. Tam zatrzymuje się Hoover, gdy przyjeżdża do Chicago.
- Wierzę ci. To dobre miejsce, z którego warto skorzystać, jeśli nawet stać mnie jedynie na kilka nocy.
- To jak długo tam zostaniesz?
- Nie wiem. To zależy. Mam zamiar poszukać pracy na naszej starej uczelni, możesz w to uwierzyć?
- Shannon patrzył zdziwiony,
- A co z twoją pracą w Londynie?
- Jaką pracą?
- Zrezygnowałeś?
- Mniej więcej. Już dłużej nie mogłem tam zostać. Czuję się prześladowany. Widziałem nawet Deirdre cho-

dzącą po miasteczku studenckim. Oczywiście to nie była ona...

— Przykro mi, że tak się wszystko ułożyło — powiedział Shannon. Od początku myślałem, że ona jest jedyna.

— Była... Teraz wszystko skończone i muszę o tym zapomnieć.

— Wiesz, cieszę się, że wróciłeś, ale jestem trochę zdziwiony, że chciałbyś wykładać na uniwersytecie po tym, co się stało w Dniu Ojców Założycieli.

Indy machnął ręką.

— Boże, prawie zapomniałem o tym epizodzie. To stara historia.

— Myślę, lecz jeśli masz zamiar tam wrócić, znowu powiesz tę kukłę?

Indy przypominał sobie, jak we dwójkę umieścili kukły George'a Washingtona, Thomasa Paine'a i Benjamina Franklina na latarni, aby zaprotestować przeciwko uczestnictwu uczelni w uroczystościach związanych z Dniem Ojców Założycieli. Wówczas naprawdę groziło mu wyrzucenie z uniwersytetu.

— Wiesz, po pewnym czasie inaczej ocenia się różne wydarzenia, które wydawały się ważne...

Shannon sączył swojego drinka.

— Widzę, że stałeś się starszy i mądrzejszy.

— Nie. Słuchaj. Wówczas próbowałem zakończyć pracę o bohaterach. Wiesz, gdyby Brytyjczycy zwyciężyli, nasi bohaterowie staliby się kryminalistami. Chciałem udowodnić, że od nikogo nie wolno wymagać świętowania wolności, bo to jest zaprzeczeniem wolności. A Mulhouse chciał nas zmusić do tego.

— Myślę, że masz rację. Zawsze podziwiałem cię za to, że potrafisz walczyć z miernotą. A cała ta pompa była właśnie czymś takim.

Shannon przerwał, gdy zauważył trzech mężczyzn w wytwornych garniturach i kapeluszach, którzy właśnie weszli do klubu. Muskularny bramkarz próbował skierować ich na górę.

— Wyglądają, jakby nie wiedzieli, że dół jest tylko dla czarnych — powiedział Indy.

— Wiedzą. Szukają mnie — Shannon wstał i odszedł od stolika.

— Czego chcą? — spytał Indy, podążając za przyjacielem.

— Prawdopodobnie mego życia.



## NOCNE SPRAWY

Kiedy Katrina i jej ojciec opuszczali restaurację, dziewczyna znowu zauważyła człowieka, który ich śledził. Stał po drugiej stronie ulicy...

— Spójrz tatusiu. On tam jest. Widzisz go?

— Nie patrz na niego. Bierzemy taksówkę.

— Wślizgnęła się na tylne siedzenie, ale nie mogła nie rzucić jeszcze jednego spojrzenia na tajemniczego mężczyznę. Miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, ale nie wyglądał na wysokiego z powodu swojej wagi, która prawdopodobnie wynosiła dwieście pięćdziesiąt funtów. Miał kwadratową szczękę, nosił kapelusz i trenecz. Teraz był zbyt daleko, ale wcześniej spostrzegła jego lodowate niebieskie oczy. Przyglądał się taksówce i nawet się nie poruszył. Zadrżała mimowolnie i poczuła ulgę, gdy samochód ruszył.

Parę minut później zatrzymali się przed wejściem hotelu Blackstone. Gdy wysiadła, poczuła chodzące ciarki po plecach. Zobaczyła go. Stał oddalony niecałe pięćdziesiąt stóp, widoczny w świetle padającym ze sklepu. Przyjrzała się i zobaczyła to samo ubranie, te same rysy twarzy, kwadratową szczękę, te straszliwe oczy, które wydawały się przenikać ją na wylot. Jak zdążył tu przed nimi? To wydawało się niemożliwe. Ale stoi tu. Czeka. Obserwuje.

Chciała powiedzieć coś ojcu, kiedy wchodzili do hallu, lecz

dostrzegła napięcie w jego ruchach i zorientowała się, że także zobaczył tego szpicla. Lepiej nie pogarszać sytuacji. Uspokój się — napominała się w myślach.

— Tatusiu, jestem zmęczona. Chyba położę się wcześniej — zwróciła się do ojca, gdy dotarli do apartamentu.

— To bardzo dobry pomysł. Mamy jutro ważny dzień. I nie przejmuj się nim. Jesteśmy tu bezpieczni.

— Wiem. Do zobaczenia rano. — Katrina ucałowała ojca w policzek i udała się do swojego pokoju. Usiadła na brzegu łóżka, przeglądała bezmyślnie magazyn. Czekala. Słyszała szum wody w łazience, w toalecie. W końcu słabe skrzypnięcie sprężyn powiedziało jej, że ojciec jest już w łóżku. Odczekała parę minut i cicho wyslizgnęła się z pokoju. Szła szybko korytarzem w kierunku windy i zeszła do hallu.

Przedstawiła się recepcjoniście i powiedziała mu, czego chce. Poprosił, by weszła za kontuar i odprowadził do pokoju, w którym były tuziny sejfów wbudowanych w ścianę. Wyjęła klucz z portmonetki. Czowała się zakłopotana, ponieważ wszystkie wydawały się małe. Były odpowiednie na biżuterię i gotówkę, ale nie na ten rodzaj wartościowych rzeczy, które miał ojciec.

— Pani numer?

— Trzy — dwadzieścia trzy. Nie pamiętam.

— Niższy poziom.

— O, tu jest,

Większe sejfy były umieszczone tuż nad podłogą. Spróbowała przekrócić klucz i ulżyło jej, gdy się to udało. Ostrożnie wyjęła brezentową torbę, zamknęła sejf i podziękowała recepcjoniście. Miała zamiar wyjść, ale nagle zwróciła się do mężczyzny.

— Czy ktoś mógłby mi towarzyszyć do pokoju?

Urzędnik hotelowy spojrział na nią pytająco.

— Nasz hotel jest całkiem bezpieczny, *madam*.

Nie wiesz przecież, że ktoś nas śledzi — pomyślała Katrina, a głośno powiedziała:

— Jestem pewna, że tak jest, ale chciałabym, żeby ktoś poszedł ze mną.

— Oczywiście. — Recepcjonista skinął głową i pstryknął palcami. — Frankie.

Młody Murzyn w fantazyjnym uniformie portiera pośpieszył z za biurka.

— Proszę towarzyszyć panie Zobolotsky do jej pokoju.

— Oczywiście.

Nie jest nawet taki wysoki jak ja — pomyślała.

— Dobry wieczór, *madom*. Czy mogę wziąć od pani torbę?

Potrząsnęła głową.

— Nie, ja to będę niosła.

Frankie wzruszył ramionami i pośpieszył w kierunku windy.

Katrina nie spodziewała się kłopotów. Wokół było zbyt dużo ludzi. Ale nie chciała ryzykować. Gdy jechali windą, przyszło jej do głowy, że portier mógł zauważyć człowieka, który ich śledził.

— Frankie, mogę o coś cię zapytać?

— Oczywiście, *madom*.

— Chciałabym wiedzieć, czy zauważyłeś pewnego mężczyznę pod hotelem dziś wieczór. — Opisała go.

— Ach, ten facet. Spytałem go, czy chce zarezerwować pokój, ale zignorował mnie. Niezbyt uprzejmy gość.

— Czy widziałeś go przedtem?

— Parę dni temu. Było ich dwóch.

— Co?

— Tak. Wyglądali tak samo, nawet byli ubrani tak samo.

A więc jednak. Ulżyło jej, że w końcu część zagadki została rozwiązana. To nie był diabeł, lecz mieli do czynienia

z bliźniakami. Ale ulga okazała się tylko chwilowa. W dalszym ciągu nie wiedziała, kim są ani czego chcą.

— Czy zauważyłeś coś jeszcze?

Popatrzył chytrze.

— No więc, przyuważyłem ich wieczorem i podsłuchałem. Chciałem wiedzieć, o czym mówią.

Ten dzieciak jest wspaniały — pomyślała.

— I co mówili?

— Nie wiem. Rozmawiali w jakimś obcym języku. Może po litewsku. Mamy ich tu trochę.

Rosjanin, nie Litwin. O tym była przekonana już wcześniej.

— Czy pani zna tych mężczyzn? — zapytał Frankie.

— Zauważyłam ich — powiedziała i dała mu bardzo duży napiwek, gdy stanęli pod jej drzwiami. Szybko otworzyła je i wślizgnęła się do pokoju. Stała w ciemności nasłuchując. Upewniła się, że z przyległego pokoju nie dochodzą żadne dźwięki, a następnie podeszła po cichu do łóżka i ukryła torbę pod nim. Otworzyła szufladę na ubrania i przerzucała jej zawartość, dopóki nie znalazła szlafroka.

Gdy przebierała się w łazience, czuła się jak dziecko, które chce uciec. Nie lubiła nic robić za plecami ojca, ale lepiej, że uczyniła to sama. Teraz myślała o tym, *co* ma się zdarzyć następnego dnia. Musiała wierzyć, że wszystko postępuje w dobrym kierunku. Podeszła do łóżka, wyciągnęła brezentową torbę i sięgnęła do środka. Wyjęła podłużny przedmiot i powoli rozwiązała materiał, którym był owinięty. W końcu zamknęła oczy i przycisnęła przedmiot do piersi. Czekała.

Indy szedł za Shannonem, który szybko podszedł do czerwonych drzwi znajdujących się w rogu. Zapukał trzy razy i po chwili drzwi się otworzyły. W pokoju panował tłok. Wielki portier przyglądał się im. Był to Murzyn o stosun-

kowo jasnej cerze, z falistymi włosami, a jego ramiona i klatka piersiowa wyglądały tak, jakby miały zamiar rozsadzić smoking.

— Wszystko w porządku. To przyjaciel — powiedział Shannon, pokazując w stronę Indy'ego.

Pośrodku, pod wiszącymi lampami, stały trzy stoły, na których toczyła się gra. Do Shannona podeszła młoda kobieta, bardzo umalowana. Nosiła dziecięcy pasiasty kombinezon z wielką muchą na plecach i buty na wysokich obcasach. W krótko obciętych włosach miała wpiętą różowo-niebieską kokardę, która była duża jak jej głowa. Niosła tacę z drinkami.

— Cześć Jack. Whisky dla ciebie i twojego przyjaciela.

— Nie, dzięki. — Shannon podszedł do stołów. Indy, idąc za nim, zauważył więcej kobiet. Wszystkie ubrane w identyczne kostiumy. Niektóre niosły drinki lub papierosy, inne siedziały na kanapach, rozmawiając z mężczyznami, którzy palili i pili.

— O co chodzi, Jack? — zapytał Indy, gdy Shannon zatrzymał się przy jednym ze stołów i rozglądał wokół.

— Chwileczkę.

— Czy wchodzi pan do gry, *sir!*

Indy zwrócił uwagę na przystojnego mężczyznę z gładko uczesanymi włosami i cienkim wąsikiem. Nosił smoking, tak samo jak portier, ale miał posturę podobną do Indy'ego.

— Nie sądzę. Nie teraz.

— Benny — Shannon zwrócił się do mężczyzny — jeśli trzech frajerów przyjdzie i będzie pytać o mnie, powiedz, że mnie nie widziałeś. Okay?

Mężczyzna skinął głową.

— Oczywiście, panie Shannon.

Jack podszedł do Indy'ego i obydwaj okrążyli stoliki i wyszli drugimi drzwiami. Tym razem portier nie zadawał

im pytań. Zbiegli na dół obskurną klatką schodową do alei z tyłu klubu.

— Co się stało, Jack?

— To długa historia — powiedział Shannon, idąc pośpiesznie ulicą.

— Daj mi jakąś wskazówkę.

— Poczekaj, dopóki nie będziemy w środku.

Shannon zapukał do drzwi w następnym budynku. Po paru sekundach Indy usłyszał jakiś głos, a Shannon podał swoje nazwisko.

Drzwi otworzyły się na parę cali i ukazała się w nich twarz. Wysoka kobieta w koktajlowej sukni uśmiechała się do nich.

— Cześć Marlee.

— Dlaczego, cześć, Jack. Czy *ko* jest interes, przyjemność, czy wszystko naraz?

— Nic z tych *rzeczy*. Chcemy wejść na chwilę.

— Jak sobie życzysz.

Gdy weszli do środka i zamknęli drzwi, Marlee spojrzała na Indy'ego z pytaniem w oczach.

— To jest Indy, mój stary przyjaciel.

Kobieta podała długą dłoń z polakierowanymi paznokciami. Później odwróciła się i nakazała im iść za sobą. Zeszli na dół przyciemnionym hallem i weszli do pokoju, który wyglądał jak harem. Jedwab płynął pod sufitem, połyskując różowymi i niebieskimi falami. Jedwab pokrywał również dwie lampy od Tiffany'ego. Ściana naprzeciwko wejścia była lustrem przysłoniętym materiałem, co dawało przyćmione odbicie. Chwilę trwało, zanim Indy zauważył różową kanapę, na której siedziały trzy kobiety. Wszystkie miały jedwabne suknie. Ich twarze wyglądały niczym umalowane maski. Jedna z nich wstała i suknia zsunęła się jej z ramion. Nosila koronkową bieliznę i wysokie obcasy.

- Nie dzisiaj, *cheri* — powiedział Shannon.
- Czy to jest to, o czym myślę? — zapytał Indy.
- Oczywiście. Rodzina opiekuje się tym — wyjaśnił Shannon.
- Wydaje mi się, że jest również inny sposób — skomentował Indy.
- Chronimy ich przed nalotami policyjnymi — powiedział Shannon. — Tylko tym sposobem burdel może być otwarty. Nie mam racji. Marlee?
- Masz. Czym możemy służyć, panowie?
- Daj nam pusty pokój, gdzie możemy się schować.
- Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.
- Oczywiście, rozumiem.
- Nie sądzę, abyś rozumiała, Marlee, ale daj nam jakikolwiek pokój — powiedział Shannon.
- Poszli za nią za róg i zeszli w dół, do małego hallu.
- To jest pokój z królewskim łóżem.
- Dzięki. — Shannon zamknął drzwi na klucz.
- W pokoju była umywalka i łóżko, które prawie wypełniło całe pomieszczenie. Indy podszedł do okna i zobaczył ceglany mur. Mniej więcej dziesięć stóp niżej prowadziły schody przeciwpożarowe.
- Jesteśmy zamknięci w burdelu, bez kobiet i bez widoku.
- Witaj znowu w Chicago — rzekł Shannon, rozciągając się na łóżku i kładąc ręce pod głowę.
- Indy usiadł na parapecie i skrzyżował ramiona.
- Okay. Chcę usłyszeć wszystko.
- Dobrze — zgodził się Shannon. Faceci, których widzieliśmy na dole, należą do syndykatu,
- Jakiego syndykatu?
- Shannon zaśmiał się.
- Oczywiście bardzo długo cię tu nie było. Syndykat

jest przymierzem „rodzin” w Chicago. Zebrały się razem i podzieliły się tym terytorium, na którym prowadzą handel alkoholem. Tata nie chciał się przyłączać, ponieważ nie pragnął współpracy z Sycylijczykami i nie ukrywał tego. Przyplącił to życiem. Wytropili go i zastrzelili razem z dwójką ochroniarzy w restauracji w Cicero.

— Nie znałem tych szczegółów. Bardzo mi przykro to słyszeć.

— Taaak. Czułem się podle, ponieważ nie byliśmy z ojcem w najlepszych stosunkach po tym, jak wyjechałem do Paryża. Wiesz, byłem czarną owcą.

— Twierdziłeś jednak, że on to rozumie.

Shannon pokiwał głową.

— Tak mi się wydawało.

Inaczej było z ojcem Indy’ego. Nie rozumiał, dlaczego Indy został archeologiem i zachowywał się tak, jakby nie interesował się nim w ogóle.

— W tej sytuacji Harry, mój najstarszy brat, wziął sprawy w swoje ręce i załatwił przyłączenie do syndykatu. Otrzymaliśmy część Południowej Dzielnicy.

— Chwileczkę. Jak mógł przyłączyć się do syndykatu po tym, co się stało z twoim ojcem?

— Nie myśl, że mu to sprawiło przyjemność. Ale to była jedyna rzecz, którą mógł zrobić. W innym wypadku mogliśmy tylko wypaść z interesu i gdyby tak się stało, wszędzie wokół byłyby gliny.

— Żeby było uczciwie?

— Żeby zwinąć naszą bazę.

— To dlaczego syndykat jest przeciw wam?

— Gdy Harry wziął sprawy w swoje ręce, kupiliśmy The Nest, ale klub mieści się parę budynków za naszym terytorium. Wtedy zawarliśmy specjalne porozumienie z Johnnym Torrisem, głową syndykatu. Problem polega na tym, że



obecnie Johnny zniknął ze sceny. Zastąpił go poprzedni główny szef, który twierdzi, że Nest leży na ich terenie.

— Chodzi o alkohol?

— Tak, ponieważ nie ma sensu, abyśmy prowadzili klub i gry hazardowe i nie mieli kontroli nad alkoholem.

— Ciągłe mówisz „my”. Czy to znaczy, że też w tym tkwisz?

— Oczywiście. Jestem tu, w Chicago, i nie ma od tego odwrotu. To jest sprawa życia i śmierci.

— Co mówią twoi bracia o tych problemach z Nest?

— Mówią, do diabła z Alphonse'em Capone. Jeśli damy mu choć cal, on będzie zawsze wyciągał rękę po nasze terytorium i wykreśli nas z mapy.

— Wygląda na to, że macie kłopoty.

— Właśnie o tym napisałem w liście.

— Co masz zamiar zrobić?

Shannon wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale dlatego modłę się.

— Modlisz się?

— Każdego dnia, Indy. Na kolanach. Indy zamilkł na chwilę.

— Powiedziałbym raczej, że żartujesz, bo nie myślę, aby tak było naprawdę.

— Nie żartuję. Zaprzyjaźniłem się z Biblią. Mówię serio.

— Kiedy to wszystko się stało?

— Po śmierci taty.

Shannon nie wydawał się przerażony, mówiąc o tym, lecz Indy przeraził się naprawdę.

— Opowiedz mi.

— Zacząłem rozmyślać nad tą sytuacją. Od razu zdecydowałem się tutaj pozostać i wiedziałem, że jeśli sprawy się ułożą, będę musiał szybko dołączyć do taty. Czułem, że

on mnie woła. Przyszedł czas, aby wysłuchać tego, co Bóg mówi do mnie.

— Ależ Jack, jak możesz to wszystko połączyć? Jak możesz być religijnym i czytać Biblię, a jednocześnie działać w mafii? Przecież my jesteśmy w burdelu, Jack!

— Jestem grzesznikiem, Indy. Przyznaję się do tego. Grzeszę każdego dnia. Ale Bóg umarł za nasze grzechy, a to oznacza nadzieję.

To wyjaśniało wszystko. Co można było powiedzieć?

— Nie chcę cię urazić, ale to brzmi dla mnie jak opowiadanie o księżach, którzy nie chcieli stosować przykazań w swoim prywatnym życiu.

— Co przez to rozumiesz?

— Myślę, że zamiast opowiadać, jak dużo grzeszysz, powinieneś coś z tym zrobić.

— Wszyscy jesteśmy grzesznikami. Indy. To zrozumiałe i nie można o tym zapominać.

I jeśli myśli się inaczej, to prawdopodobnie grzeszy się także — stwierdził w duchu Indy. Miał ciężką przeprawę, odkrywając nową filozofię życia Shannona. W ostatnich paru minutach dowiedział się, że jego stary przyjaciel jest zaangażowany w rodzinny nielegalny biznes i dlatego ścigają go zdeprawowani mafiosi, a on znalazł pocieszenie w religii,

— Co masz zamiar zrobić z tymi facetami z bronią?

— Zostawiam to Bogu. Wszystko jest w jego rękach.

— Więc dlaczego uciekłeś?

— Ponieważ jestem słaby. Pozwalam strachowi panować nade mną.

— Trafiliś, Jack. To jest twój instynkt. I miałeś rację.

Indy usłyszał głosy w hallu i zamykanie i otwieranie drzwi.

— Jak działa ta twoja ochrona?

— To jest dwudolarowy trick. Dziewczyna otrzymuje

osiemdziesiąt centów, dwadzieścia idzie na ochronę, a dom dostaje dolara.

— Śmierząca sprawa. — Indy gwałtownie drgnął na dźwięk krzyków i szamotaniny. — Co to?

— Chryste, znaleźli nas.

Indy nie zastanawiając się, otworzył okno.

— Chodź, Jack. Pośpiesz się.

Grymas na twarzy Jacka zdradzał wewnętrzną walkę. Wydawało się, że jakaś jego część chciała uciekać, ale pozostała część nie pozwalała mu podnieść się z łóżka.

— Niełatwo iść ścieżką Pana — powiedział.

— Porozmawiamy o tym później. Teraz zabieraj stąd swój tyłek.

Nagle usłyszeli złowieszczy, głuchy odgłos i drzwi zadrżały. Indy utkwił wzrok w Shannonie. Nie wiedział, czy uciekać schodami przeciwpożarowymi, czy pozostać z przyjacielem. Drzwi otworzyły się z hukiem i ze swojego miejsca dostrzegł niewyraźny ruch i rewolwer wycelowany w Shan-nona. Indy skierował nogi z powrotem do pokoju, zanurkował głową do przodu i runął na rewolwerowca. Potoczyli się wśród okrzyków.

Ktoś uderzył go w bok. Jakaś ręka chwyciła go za włosy i gwałtownie pochyliła do stóp. Został rzucony na ścianę i powalony na kolana. Zdołał wykonać dziki obrót czy coś w tym rodzaju, ale czyjeś ręce wkrótce pochwyciły jego ręce i związały na plecach.

Oczekiwał, że zobaczy trzech bandytów, ale zamiast nich ujrzał gliniarzy kołyszących pałkami i celujących z broni.

— Och, czyż to nie słodkie — powiedział jeden z nich. — Który z was jest dziewczyną?

Shannona popchnięto w kierunku Indy'ego i obydwoh skuto kajdankami,

— Według mnie nie wyglądają jak pedały — powiedział

inny. — Zawsze ich rozpoznam. Chyba czekali na dziewczyny i popsuliśmy im zabawę.

— Nie wiem — powiedział drugi. — Nigdy nie można być pewnym. Niektórzy mają żony i dzieci.

Wypchnięto ich do hallu i wyrzucono z burdelu. Indy znalazł się z tyłu wozu policyjnego. Był z nim Shannon i Marlee, kobiety w szlafrokach i dwaj inni mężczyźni.

— Jack, myślałem, że chronisz to miejsce. Co się stało?

— Czy to niejasne? Capone przejmuje obowiązki. Przekupił riaszą ochronę.

## GOŚCIE

— Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w Blackstone? — powiedział Indy ze swojej pryczy w celi więziennej.

Zostali oskarżeni o lubieżne i pożądlive zachowanie, osadzeni w areszcie za nieprzyzwoite prowadzenie się. Nie mogli wyjść stąd przed ranem i wszystko, o czym myślał Indy, tyczyło jego pustego apartamentu w Blacks tone.

— Policz swoje błogosławieństwa.

— Moje błogosławieństwa? O jakich błogosławieństwach mówisz?

— Mówię o tym, że mamy szczęście, iż wpadliśmy w łapy prawdziwych gliniarzy, a nie mafiosów.

— Taaak. Czuję się rzeczywiście szczęśliwy.

Shannon przyglądał się Indy'emu.

— Okay, przepraszam za to. Kiedy już stąd wyjdziemy, powinieneś trzymać się z daleka ode mnie.

— Jack, nie myśl o tym.

— Nie żartuję. Sprawy wymknęły się nam z rąk. Popatrz, gdzie jesteśmy i, jak powiedziałem, mamy w związku z tym dużo szczęścia.

Indy uśmiechnął się.

— Zawsze mówiłeś, że to ja wciągam cię na niebezpieczne wody.

— Myślę, że nauczyłem się tego od ciebie.

Indy zrozumiał, że Shannon szukał pociechy w religii. Było to jednak tak nietypowe dla Shannona, że chciał się dowiedzieć, jak do tego doszło.

— Jak to się stało? — zapytał.

— Chodzi *à* o Biblię? Jeden z dwóch facetów, którzy grają w Nest, zaprosił mnie pewnego dnia do kościoła. Powiedział, że chodzi mu o grę. Myślałem, że będzie tak jak w knajpach: zagraj, weź pieniądze i wracaj do domu. Ale gdy tam poszedłem, wszyscy witali mnie w sposób, który był wspaniały. Nie rozumiałem tego, ale czułem się naprawdę dobrze. I wszystko się odwróciło. Okazało się, że pastor był kiedyś pianistą w piwiarni, zanim zwrócił się ku Bogu.

— Tak?

— Myślę, że to się stało w kościele. Czułem się wyśmienicie i inni muzycy tak samo. Wkrótce Biblia nabrała dla mnie prawdziwego sensu. Tak jakby jakaś część we mnie domagała się tego. Byłem gotowy.

— Jaka jest różnica między tym, co przeżyłeś, a pójściem na mszę?

— Nie ma porównania. Ten kościół nie ma w ogóle obrządków. Możesz tam nawet wstać i krzyczeć, jeśli właśnie czujesz, że musisz to robić.

— Czy pastor jest Murzynem?

— Oczywiście, to murzyński kościół.

— Czy jesteś jedynym białym facetem wśród zgromadzonych tam wiernych?

— Jest paru białych w małżeństwach mieszanych. Ale ja jestem jedynym Irlandczykiem. Ambrose, pastor, mówi, że rasa członków zgromadzenia jest tak samo ważna, jak kolor skarpetek, które nosiło się wczoraj.

— No tak. To może się podobać.

— Indy, dzięki temu spojrzałem na różne sprawy w inny sposób. Naprawdę.

Mógł sądzić, że Shannon jest szczerzy i że wszystko jest z nim w porządku. Miał nadzieję, że jego stary przyjaciel nie zaszedł aż tak daleko na swojej drodze religijnej, że przestał tolerować tych, którzy wierzyli w coś innego.

— Zrób mi tylko jedną przyjemność, Jack. Nie próbuj mi powiedzieć, że świat został stworzony sześć tysięcy osiemset dwadzieścia trzy lata temu, we wtorkowy ranek.

— To się nie stało we wtorkowy ranek? — zaśmiał się Shannon. — W porządku. Obiecuję. Mogę w to wierzyć, jeśli tak jest zapisane, ale nie będę próbował cię przekonywać.

— Co masz na myśli?

— Mamy okazję porozmawiać. Nie zdarzyło się to nam już dłuższego czasu.

— To prawda.

— Mam nadzieję, że dostaniesz pracę na uniwersytecie. To wspaniale mieć ciebie przy sobie. W końcu przecież sprawy jakoś się ułożą.

— Jedynym kłopotem jest to, że będę znowu uczył o Celtach, a, jak powiedziałem, nie jestem pewien, czy chciałbym to robić — odpowiedział Indy.

Shannon zastanowił się.

— A może zająłbyś się ponownie tłumaczeniem inskrypcji. Jesteś dobry w językach.

— Dlaczego to powiedziałeś? — spytał Indy podejrzliwie.

— Nie wiem. Myślałem, że coś takiego mogłoby cię zbliżyć do ojca. Wydaje mi się, że to ważne, aby mieć dobre stosunki z rodzicami, a szczególnie z ojcem.

— Jack, nie martw się o mojego ojca. Znam sytuację lepiej niż ty i tłumaczenie inskrypcji nie jest sposobem na zdobycie jego uczucia. To nie o to chodzi.

— Tak przypuszczam.

— Ponadto już próbowałem to robić. To jest coś, co nie daje mi spokoju.

— Myślałem, że skończyłeś z tym.

— Było to coś w rodzaju wzajemnego porozumienia. Nie przywiązuję wielkiej wagi do tłumaczenia obcych języków, To nie jest zajęcie dla mnie.

Shannon rozważał przez chwilę słowa Indy'ego.

— Dlaczego w ten sposób o tym mówisz?

— Bo to prawda. *Ogham* nie używa samogłosek. Starodawny grecki nie ma interpunkcji, a czasami czyta się linię od lewej do prawej strony, a następną już odwrotnie.

Shannon wzruszył ramionami.

— Tak jest rzeczywiście, ale ty lubisz zagadki.

— Słuchaj, jeśli mówię ci, że to jest robota głupiego, właśnie to mam na myśli. Czy słyszałeś kiedyś o George'u Smisie?

— A na jakim gra instrumencie?

— Na żadnym. Na przełomie wieków Smith był jednym z najbardziej znanych tłumaczy starożytnych języków. To on przetłumaczył pismo klinowe z ruin Niniwy.

— Chwilę, proszę. Pamiętasz, że jestem muzykiem? Co to znaczy pismo klinowe, nigdy nie słyszałem o takim języku.

— To nie język, lecz alfabet, którym posługiwało się wiele języków: babiloński, asyryjski, sumeryjski i perski. Dlatego tak trudno go tłumaczyć. Ma charakterystyczne klinowe znaki. Z tego powodu przez długi czas myślano, że jest to motyw dekoracyjny. Ale w końcu znaleziono odpowiednie słowniki.

— To co zrobił ten facet Smith? — spytał Shannon. — Odszukał słowniki?

— Nie, słowniki znalazł Rawlinson. Smith przetłumaczył pismo klinowe znalezione w pałacowej bibliotece asyryjskiego króla Asurbanipala.



— Biblioteczki z książkami?  
— Książkami z gliny. Inskrypcje były raczej wypalane niż drukowane.

Shannon potrząsnął głową i zaśmiał się.

— Indy, to mnie bawi, że znasz wszystkie te rzeczy.

— Nie ma nic zabawnego w tym, że nauczyłeś się grać na trąbce i jesteś muzykiem.

— Nieważne. Ale jest w tym coś interesującego. Ci ludzie, o których mówisz, są z czasów biblijnych, prawda?

— Biblijnych i dużo wcześniejszych. Daj mi jednak skończyć. Smith przetłumaczył odnalezione fragmenty i wtedy zrozumiał, że czyta historię potopu.

— Żartujesz. Mam przez to rozumieć, że Mojżesz przeczytał o Arce Noego w *Genesis*!

— Tak, ale wersja, którą przetłumaczył Smith, była napisana długo przed pojawieniem się Żydów. Najzabawniejsze jest to, że zawiera te same zdarzenia. Oczywiście nie ma w niej Noego.

Shannon wydał okrzyk radości i wstał. Podniósł ręce nad głowę i zaczął nimi potrząsać.

— O tak, módlmy się do Boga. Indy popatrzył zaskoczony.

— Coś złego?

— Mam rewelację.

— O czym ty mówisz?

— Nie mogę w to uwierzyć. O tak, wierzę w to.

— Jack, uspokój się.

— Słuchaj. Arka Noego. To właśnie to. Alleluja! Myślę, że powinieneś pójść ze mną do mojego kościoła jutro wieczorem.

Chyba kłopoty rodziny Shannona nie wpłynęły aż tak bardzo na jego samopoczucie — pomyślał Indy mówiąc:

— Jack, uspokój się, weź głęboki oddech.

Shannon zaśmiał się.

— Myślisz że zwariowałem. Mylisz się. Jutro wieczorem. To ważne.

— Jack, mówiłem ci, że jeśli chcesz być religijny, to twoja sprawa. Modlitwa do Boga i czytanie Biblii, wszystko, co chcesz, ale nie ciągnij mnie do swojego kościoła. W porządku?

— Nic nie rozumiesz. Jutro wieczorem zjawi się tam pewien człowiek, wyjątkowy gość, który coś wygłosi i myślę, że powinieneś to usłyszeć.

— Dlaczego?

— Bo to będzie o genezie potopu. O Arce Noego. Ten człowiek wspiął się na górę... górę...

— Ararat.

— Tak. Wspiął się na górę Ararat i znalazł Arkę Noego.

— Tak mówi — powiedział Indy bez entuzjazmu. — Pomyśl chwilę, Jack. Bądźmy racjonalni. Jeśli rzeczywiście znalazł Arkę Noego, czy nie sądzisz, że cały świat wiedziałby już o tym fakcie? Do diabła, zniósłby ją z góry i pokazywał na wystawach światowych.

— Indy, daj człowiekowi szansę. Oceniasz go, zanim wysłuchałeś, co ma do powiedzenia.

— Wysłuchałem już dosyć. Arka Noego jest legendą, mitem. To nie jest drewniana łódź, na którą możesz się wdrapać i którą możesz podziwiać.

Shannon spojrział rozczarowany.

— Nawet nie chcesz słyszeć o tym? Tak się niepokoisz o nas, biblistów, i w końcu wierzysz jedynie w to, co chcesz usłyszeć, a nie chcesz wysłuchać niczego, co możemy ci powiedzieć. A jeśli on znalazł Arkę Noego? Nie przyszło ci to do głowy?

Indy podniósł rękę.

— Okay. Przepraszam.

Wiedział, że Shannon ma rację. Zareagował tak, jak wielu dawniejszych kolegów reagowało na jego własne doświadczenia.

Nigdy nie opowiadał nikomu o tym, co mu się zdarzyło w Stonehenge, z wyjątkiem paru szczegółów. Nic nie powiedział o enigmatycznym wpływie kamienia zwanego omfalos i ani słowa o jego dziwnej rozmowie ze starym człowiekiem, który twierdził, że jest Merlinem. Nie chodziło o to, że nie miał odwagi mówić o tych spotkaniach; on tylko przekazywał osobiste doświadczenie. A poza tym skoro sam ich w pełni nie rozumiał, jak mógłby kogoś przekonywać, że były realne?

— Powiem ci coś. Jeśli nas stąd wyciągniesz, pójdę z przyjemnością na jutrzejsze spotkanie,

— Wspaniale. Nic się nie martw. Wyjdziemy stąd rano. Obiecuję ci to.

— Jeszcze jedna sprawa — dodał Indy.

— O co chodzi? — zapytał Shannon wojowniczo.

— Zrób mi tę przyjemność i nie wrzeszcz mi do ucha alleluja.

Zaśmiali się razem i Indy pomyślał, że ich przyjaźń stała się odporniejsza, trwalsza.

Do rana pozostało jeszcze parę godzin, więc Indy zdecydował się trochę przespać i zapomnieć o nocnych wydarzeniach. Leżał na pryczy, kiedy Shannon znów się odezwał:

— Powiedz, nigdy nie skończysz opowiadania o tym facecie, o Smisie.

— Oczywiście. Entuzjastyczny wybuch Shannona spowodował, że zapomniał o Smisie.

— Mówiłeś o tym, że przetłumaczył teksty, które były historią potopu, ale pochodziły z wcześniejszych czasów.

— To prawda. Człowiek, który zbudował łódź i ocalił zwierzęta, nazywał się Ut-naphishtim.

Shannon był zdziwiony,

— To był jeszcze jeden Noe?

— Nie wiem. Ale nie o to chodzi. Wydaje się, że praca była tak absorbująca dla Smitha, że coś się stało z jego psychiką. Po skończeniu decydującego tłumaczenia powiedział kolegom: „Jestem pierwszym człowiekiem, który czytał ten tekst po dwóch tysiącach lat zapomnienia”. Później zaczął wydawać jakieś dziwne odgłosy i darł na sobie ubranie. Niedługo potem zmarł. Miał wtedy zaledwie trzydzieści sześć lat.

— Koloryzujesz.

— Nie.

— Myślisz, że był opętany przez diabła?

— Nie. Moim zdaniem tłumaczenie martwych języków może doprowadzić do szaleństwa i nie chciałbym pójść w ślady Smitha.

— Rozumiem twój punkt widzenia, ale...

W tym momencie drzwi celi zazgrzytały, a Shannon skoczył na nogi.

— Może wyjdziemy stąd wcześniej, niż myślałem.

Indy usłyszał kroki i pojawił się strażnik z kluczem.

— Co ci powiedziałem?! — zawołał Shannon. — Bóg jest z nami.

Ale Indy patrzył na kogoś za strażnikiem. Zobaczył trzech mężczyzn w ciemnych garniturach i w kapeluszach naciągniętych na oczy. Był pewien, że rozpoznaje to samo *trio*, które przyszło do Nest w poszukiwaniu Shannona.

— Macie gości, przyjaciele — powiedział strażnik. — Pan Capone chce z wami porozmawiać.

Trzech mężczyzn weszło do celi, a strażnik odwrócił się. Dwóch z nich wyciągnęło krótkie spluwy spod płaszczy. Trzeci, z okrągłą twarzą i rozumnymi ciemnymi oczami, złożył ręce i uśmiechnął się. Indy domyślił się, że stoi przed

nimi Al Capone. Jego zdjęcia, tak samo jak jego sława, wypełniały gazety w Londynie,

— Jacku Shannonie, twój starszy brat zignorował mnie, a ja myślałem, że osiągnęliśmy porozumienie w sprawie terytorium — powiedział Capone.

— Jestem muzykiem. Nie wiem, o czym pan mówi.

Facet z obstawy przyłożył splotkę do brzucha Shannona.

Indy zrobił gwałtowny krok do przodu, ale drugi bandyta uderzył go po nerkach. Obydwaj zgięli się do podłogi.

Jeden z bandytów szarpnął Shannona i pomachał mu pistoletem przed oczami.

— Nie udawaj, Shannon — powiedział Capone. — Odpowiedz na moje pytanie.

— Czego chcecie ode mnie?

— To jest twój szczęśliwy dzień, Jack. Mam zamiar być dobry dla ciebie. Będziesz moim posłańcem w pertraktacjach z twoim bratem Harrym.

Shannon skinął głową.

— Dobrze. Widzisz, Shannonowie złamali naszą umowę. To było naprawdę głupie. Ale chcę jeszcze raz rozmawiać, a ty zostaniesz pośrednikiem. Powiesz swemu bratu Harry'emu, że nie będzie więcej melin pijackich na moim terytorium i powiedz jeszcze, że od tej nocy otrzymują połowę wpływów z hazardu w Nest. Słyszałem, że wasi chłopcy robią to naprawdę dobrze, więc podzielimy się po połowie. Rozumiesz?

Shannon próbował coś powiedzieć, ale uderzenie pistoletem pozbawiło go tchu.

— Będziesz posłuszny, bo inaczej dołączysz do swego drogiego starego tatusia. Rozumiesz, Jackie Boy?

Indy cały trząśł się.

— Puść go!

Capone spojrział na Indy'ego.

— Co to za facet, Shannon? Koleś od dmuchania w róg.

Indy zamachnął się, ale Capone akurat odchylił głowę w drugą stronę. Bandyci rzucili się na Indy'ego, przygniatając go do podłogi, okładając pięściami i soplami, dopóki czuł cokolwiek.

— Zatrzymaj ich! — wrzasnął Shannon. — Zabijcie go!

— Wystarczy — powiedział Capone. — Podnieście go.

Bandyci chwycili Indy'ego za koszulę i postawili na nogach. Indy ledwo mógł patrzeć, ale zdołał dostrzec, jak Capone wziął zamach ręką i trzasnął pięścią w jego szczękę. To była ostatnia rzecz, którą pamiętał.

## PRAWDA PIEŚNI

Gdy Indy obudził się następnego ranka, leżał w łóżku z białymi zasłonami. Przypominał sobie niewyraźnie, że był transportowany karetką do szpitala. Próbował usiąść, lecz ból przeszywał mu ramiona i ręce, szyję i szczęki.

Słyszał głosy zza zasłony i rozpoznał wśród nich Shan-nona. Próbował uchwycić sens tego, co mówi przyjaciel, ale rozróżniał jedynie pojedyncze słowa czy fra<sup>^</sup>y: „Możliwy wstrząs... szczęście... nie ma złamania... badanie... później”.

Rozległy się kroki kogoś odchodzącego.

— Jack? Jesteś tu? Shannon

zajrzał za zasłonę.

— Już się obudziłeś? Jak się czujesz?

— A jak myślisz?

---Rozmawiałem z lekarzem. Powiedział, że mogło być o wiele gorzej.

— Tak, może gdybym odjechał ciężarówką. Widzę, że nie jesteśmy już w więzieniu.

— Zostaliśmy oficjalnie zwolnieni godzinę temu. Wniesiono kaucję.

— Czyżby dlatego, że pozwolili zbirom w więzieniu pobić nas?

— Nie. Dlatego, że sędzia okręgowy jest przyjacielem mojej rodziny.

- W porządku!
- Wiedziałem, że tak pomyślisz. Lekarz wróci tu w porze lunchu i zajrzy do ciebie. Powinieneś zostać tu parę dni.
- Dzięki, lecz nie skorzystam z oferty. Nie czuję się tu dobrze. — Spuścił nogi na podłogę i próbował nie zwracać uwagi na ból. — Podaj mi ubranie.
- Shannon zaśmiał się, gdy sięgał po odzież Indy'ego.
- Przewidywałem, że nie zechcesz tkwić tutaj.
- Zostawiłem rzeczy w Blackstone, zanim mnie połamali.
- Nie martw się — powiedział Shannon bezceremonialnie.
- Indy naciągał spodnie.
- Co masz na myśli mówiąc, żebym się nie martwił?
- Przedłużyłem twój pobyt w hotelu.
- Przedłużyłeś?!
- Moja rodzina ma mały kredyt w Blackstone.
- Ha. W takim razie dzięki. A jak ty się czujesz?
- Shannon pomasaował sobie bok.
- Wszystko w porządku. Ty oberwałeś najbardziej.
- Więc co ty i twoi bracia macie zamiar zrobić w sprawie, której żąda Capone?
- Dobrze pytanie. Muszę z nimi dzisiaj porozmawiać. To nie będzie łatwa decyzja, wiem o tym.
- Powodzenia.
- Powiedz, czy nie zmieniłeś zdania, jeśli chodzi o spotkanie z doktorem Zobolotskim dzisiaj wieczorem?
- Z kim?
- Z facetem, który znalazł Arkę Noego. Jest rosyjskim lekarzem. Teraz mieszka w San Francisco. Uciekł po bolszewickiej rewolucji.
- O tak — powiedział Indy bez entuzjazmu. To była



ostatnia rzecz, która mogła go teraz obchodzić. — Myślisz, że warto tam iść?

— Nie mogę ci nic obiecać. Ale bardzo chciałbym, żebyś poszedł. Zrób to dla mnie. Poza tym musisz zobaczyć jego córkę Katrinę. Kocham ją, a widziałem ją tylko raz przez parę minut.

— Zakochany? — Indy skrzywił się, gdy zakładał koszulę. Shannon nie należał do ludzi, którzy szybko zakochują się. Rzeczywiście słyszał od niego tylko raz taką deklarację.

— Tak. Myślę, że jestem. Naprawdę jestem.

Indy'ego niewiele obchodziło spotkanie z dziewczyną lub jej ojcem. Wiedział jednak, że teraz nie ma odwrotu, szczególnie gdy Shannon opłacił jego pokój w hotelu.

— Powiedz mi jeszcze raz, o czym on ma mówić w tym kościele.

— Nie pamiętam, czy już ci o tym opowiadałem. Miał wygłosić wykład w litewskim kościele na Wood Street. Ale pastor nie dotrzymał słowa, gdy się dowiedział, że chce to opublikować. Większość parafian ma rodziny w starym kraju i obawiali się, że to może przysporzyć im kłopotów.

— Rosjanie nie rządzą Litwą.

— Daj im trochę czasu. Słyszałem, że mają wielkie plany wobec Europy.

Indy szukał butów.

— Tak więc twój pastor udostępnił swój kościół?

Shannon znalazł buty Indy'ego pod łóżkiem i wręczył mu je.

— Nie ma ani Rosjan, ani Litwinów w tym zgromadzeniu — powiedział z szerokim uśmiechem. — Ale otwieramy drzwi Litwinom i wszystkim innym zainteresowanym tym wydarzeniem. To powinno być interesujące.

— W porządku, zobaczymy się dziś wieczorem.

— Wspaniale. Mam dobre przecucia, Indy.

- O co ci chodzi?
- Znajdziesz tam coś dla siebie. Jestem przekonany. Prawdopodobnie okazję do śmiechu — pomyślał Indy.

Mężczyzna czytał artykuł w „Chicago Tribune” już drugi raz. Studiował go powoli i uważnie, upewniając się, czy wszystko dobrze rozumie. Mieszkał w Ameryce od dziesięciu lat, ale jego angielski wciąż nie był wystarczająco dobry. W artykule informowano o planach poszukiwań Arki Noego na górze Ararat, w Turcji, jego kraju rodzinnym. Musi coś zrobić, aby zatrzymać Zo-bolotsky'ego, zanim będzie za późno.

— Co czytasz? Wyglądasz, jakbyś miał zamiar spalić tę gazetę oczami.

Ismael spojrział na swą młodą żonę, Jelę, której ciemne włosy opadały na ramiona. Miała właśnie kłaść ich półtorarocznego synka do łóżeczka na popołudniowy wypoczynek.

— Spójrz.

Przeczytała artykuł znacznie szybciej niż jej mąż, po czym popatrzyła na niego.

— O czym myślisz?

— O tym, że nie powinno się na to pozwolić. Jeszcze nie czas, aby odnaleźć Arkę. Znasz Pismo. Zbawiciel nie wrócił.

— Nie mów w ten sposób. Nie dźwigasz przyszłości świata na swoich barkach. Jeśli ten mężczyzna chce jechać do Turcji, nie powstrzymasz go.

— Ale ktoś musi go powstrzymać.

— Ismael, proszę. Powinieneś myśleć o swojej rodzinie. Może zmieni zdanie, może nie znajdzie jej. Nie rujnuj swego życia na rzeczy takie jak ta. Myśl o dzieciach.

Miała rację. Może nic z tego nie wyjdzie. Ale skontaktuje

się z bratem i ostrzeże go. Hasan jest trudno uchwytny, ale mieszka ktoś w Istambule, kto przekaże mu wiadomość. Wstał od stołu.

— Dokąd idziesz?

Wziął ją za rękę.

— Nie przejmuj się, idę wysłać telegram do Istambułu. Hasan musi o tym wiedzieć. Zatrąszczy się o wszystko.

Powietrze było nasiąknięte wilgocią, ale świeży powiew zbliżał się od jeziora, gdy Indy opuścił hotel i udał się na Michigan Street. Padało całe popołudnie i ulice były gładkie i błyszczące. Kościół Shannona mieścił się o milę na południe, właśnie na Michigan Street, a Indy postanowił się przejść.

Był zadowolony, że zdecydował się na pieszą wędrowkę. Spacer może rozjaśnić mu myślenie i pomóc w pozbyciu się bólu. Prawdopodobnie lekarz nie zalecałby mu tego, ale znał możliwości swego ciała, jeśli chodzi o leczenie się z ran.

Poza tym spędził dzień w hotelu, mocząc się w wannie, odpoczywając w łóżku i wykorzystując służbę hotelową. Był chory, ale czuł się niespodziewanie lekko od samego rana. Nie śpieszył się. Chciał być gotów na spotkanie z Angusem O'Malleyem następnego dnia.

Zatelefonował po południu na wydział archeologii na uniwersytecie, lecz powiedziano mu, że O'Malleya już nie ma. Kiedy przedstawił się, sekretarka poinformowała go, że O'Malley otrzymał jego telegram i chce się z nim zobaczyć jak najszybciej.

— To wspaniale — powiedział Indy i wyznaczył spotkanie na drugą trzydzieści po południu.

— Proszę poczekać. Doktor O'Malley właśnie idzie. Powiem mu, że pan jest przy telefonie.

— Indiana, jak się masz? — głos O'Malleya grzmiał tak głośno, że Indy musiał odsunąć słuchawkę od ucha.

— Świetnie, przyjechałem wczoraj. — Świetnie, to nie było dokładnie to, co czułem. Ale oczywiście nie miał zamiaru opowiadać O'Malleyowi, że Al Capone i jego kumple zbili go zeszłej nocy w więzieniu, po tym, jak został aresztowany w burdelu. — Proszę mówić mi Indy.

— Będę rad, mówiąc ci Indy. Byłem bardzo zadowolony z twojego telegramu. Pora nie mogła być lepsza. Tak się właśnie składa, że jedna osoba z mojego personelu opuszcza nas niespodziewanie i mogę cię zatrudnić na pół etatu tego lata, jeśli cię to interesuje.

— Myślę, że tak. Ale co z drugą połową?

— Muszę otrzymać pieniądze na zatrudnienie cię w charakterze asystenta w pełnym wymiarze godzin, jeśli chcesz zostać z nami.

— To brzmi wspaniale. — Indy miał wrażenie, że O'Malley mówi z całkowitym przekonaniem.

— Musisz jednak wiedzieć, Indy, że nie mogę ci zapewnić wszystkich zajęć z archeologii celtyckiej. Chcemy, aby nasz personel był jak najbardziej wszechstronny. Tego lata będziesz nauczał na kursie początkowym. W programie są przede wszystkim zajęcia z archeologii północnoamerykańskiej.

— Świetnie. Wydaje mi się, że dam sobie radę.

Robił wszystko, aby jego słowa nie zabrzmiały zbyt radośnie z powodu nieoczekiwanego i pożądanego obrotu sprawy.

— Nie obawiaj się. Jestem pewien, że poradzisz sobie z łatwością.

— Mam nadzieję.

— Widzę, że zaplanowałeś przyjście tu jutro o wpół do trzeciej. Mam inną wcześniejszą propozycję, ale nie sądzę, aby to trwało długo.

— Do zobaczenia w takim razie — powiedział Indy.

Nie, nie miał zamiaru rozstawać się z Celtami choć na chwilę. Nic podobnego — pomyślał, gdy zmierzał ku swemu przeznaczeniu.

Gospel Chapel of New Life nie wyglądał jak typowy kościół. Nie było tam wysokich wież ani mocno pochylonego dachu, nie było witraży, łukowatych okien, imponujących drzwi. Dwuczęściowy budynek z cegły prezentował się mało okazale. Indy wszedł do środka za ludźmi. Drewniane ławy były już wypełnione.

Usłyszał trąbkę Shannona w towarzystwie klarnetu i pianina, i zdecydował się nie wchodzić w głąb świątyni. Trzyosobowy zespół siedział w rogu, niedaleko drzwi frontowych. Muzyka miała być cichym podkładem, a to był jeden ze spokojniejszych kawałków, które słyszał w wykonaniu Shannona. Gwałtowny szesnastkowy takt zastąpiono spokojnym rytmem. Indy'emu wydawało się, że Shannon gra w zwolnionym tempie... Płynny, gładki dźwięk przepływał łagodnie nad zgromadzeniem.

Prawie do połowy kościoła miejsca były zajęte — głównie przez białych, którzy, jak on sam, przyszli tu prawdopodobnie po raz pierwszy. Znalazł wreszcie wolne siedzenie, które mu odpowiadało. Shaannon pokiwał do niego i grał dalej. Indy zastanawiał się, jak przebiegało spotkanie Shannona z braćmi. Będzie musiał go o to spytać — pomyślał.

Gdy rozmyślał nad tym, jak długo będzie jeszcze trwała muzyka, pojawił się chór ubrany w uroczyste szaty i zaczął śpiewać *Swing Low, Sweet Chariot*. Wierni dołączyli, gdy popłynęło *Michael, Row the Boat Ashore*, Indy stwierdził, że wieczór przedłuży się na pewno bardziej, niż myślał. W połowie pieśni ktoś zaczął krzyczeć „Noe” zamiast „Michael”, a pozostali szybko zawtórowali. Nagle rytm stał -się gwałtowny, a chór zakotłosał się w żywej melodii pieśni *gospel*, Zgromadzeni powtarzali te same dwa słowa:

„Dlaczego nie dzwoni mój stary dzwon?

DZWONI DZWON

Złamane jest serce mego dzwonu.

DZWONI DZWON

Zadzwoni też w Biblii.

DZWONI DZWON

Porozmawiajmy o Noem.

DZWONI DZWON

Tak, Bóg powiedział Noemu

DZWONI DZWON

Zbudujesz fundament

DZWONI DZWON".

W pewnej chwili ludzie zaczęli wstawać, najpierw Murzyni, potem biali. Klaskali w ręce i krzyczeli. Wielka Murzynka wzięła Indy'ego za ramię, a wtedy i on zaczął klaskać. Shannon położył trąbkę na pianinie i przyłączył się do tłumu, a gdy zauważył spojrzenie Indy'ego, uśmiechnął się.

W końcu muzyczna rozgrzewka dobiegła końca. Murzyn, który wyglądał na pięćdziesięciolatka, podszedł do kazalnicy.

Pozdrowił zgromadzonych i wielu z nich odpowiedziało mu. Przedstawił się jako Ambrose Hinton, pastor kościoła, i przywitał wszystkich nowych.

— Dzisiaj przybył do nas specjalny gość. W czasie wojny doktor Vladimir Zo-bo-lot-sky był porucznikiem Białej Armii i stacjonował niedaleko góry Ararat w Turcji. Pan Z. jak go nazywam, przywozi wiadomość szczególnej wagi, i to nie tylko dla nas tu zgromadzonych, ale dla całego świata. — Stopniowo jego głos stawał się donośniejszy, mocniejszy. — To jest wiadomość, która nie tylko daje świadectwo słowom Boga, głoszonym za pośrednictwem Biblii, ale jest bezpośrednim przekazem od Wszchemogącego, który mówi nam tu i teraz, abyśmy utwierdzili naszą wiarę, ponieważ to będzie nagrodzone. O Boże, wiesz, że Cię słuchamy.

— Amen — odpowiedziało wiele osób.

— Zwykle mam więcej do powiedzenia — ciągnął cichym głosem — ale dzisiaj jest taka doniosła okazja, więc pozostawię ambonę naszemu honorowemu gościowi, abyśmy wszyscy mogli wysłuchać jego cudownej opowieści.

— Alleluja! — wykrzyknęli niektórzy.

— Mam nadzieję, że to na powitanie naszego gościa, a nie z powodu mojego odejścia — powiedział Hinton. Zgromadzeni odpowiedzieli śmiechem.

Wysmukły mężczyzna z piaskowymi oczami szedł wyprostowany jak struna, ramiona miał trochę odchylone do tyłu. Wyglądał, jakby chciał się znaleźć na kazalnicy jak najszybciej. Uścisnęli sobie ręce z Hintonem, po czym zajął przeznaczone dla niego miejsce.

— Módlcie się do Boga! — ktoś krzyknął, zanim Rosjanin zdołał cokolwiek powiedzieć.

— Tak, módlcie się do Boga — odpowiedział Zobolots-ky po angielsku. — Jestem bardzo rad, że mogę być dzisiaj razem z wami.

— Jesteśmy szczęśliwi, że tu przybyłeś — odpowiedzieli niektórzy.

Indy był ciekawy, co Rosjanin myślał o zgromadzeniu. The Gospel Chapel of New Life, z dowolnym stylem muzyki i krzykami tłumu, był bez wątpliwości daleki od Kościoła ortodoksyjnego w Rosji i innych Kościołów w jego ojczyźnie. Zobolotsky nie był bojaźliwy. Jego podniecenie zwiększało się i pochylał się nad kazalnicą, gdy mówił. Głos miał mocny i docierał do najdalszych zakątków sali.

— Dziękuję wam, moi przyjaciele, że zaprosiliście mnie. Jestem szczęśliwy, iż mam możliwość opowiadać wam dzisiaj o wielkim cudzie — rozpoczął. — W czasie wojny byłem oficerem w Dziewiętnastym Petropawłowskim Regimentcie, który stacjonował w odległej prowincji Turcji. Naszym

zadaniem było zabezpieczenie Przełęczy Aratskiej przed Turkami, którzy byli sprzymierzeni z Niemcami. Gdy tam przyjechałem, było bardzo zimno i pamiętam myśli o opuszczonym domu, w którym chciałem znaleźć się jak najszybciej. Albo nawet w jakimś innym miejscu. Pewnego dnia, a było to pod koniec 1916 roku, zdarzyło się coś wstrząsającego. Pilot Raskovitsky przelatywał nad górą, którą zwą Ararat, i gdy wrócił, opowiadał, że widział wielki drewniany statek blisko wierzchołka. Cóż, znałem opowieści biblijne i wiedziałem, że to właśnie była góra, na której wylądował Noe.

Zobolotsky przerwał i spojrzął na zgromadzonych. Panowała cisza tak głęboka, że każde skrzywienie krzesła czy chrząknięcie zdawało się wypełniać dom modlitwy.

— Pomyślałem sobie, że pilot prawdopodobnie również zna Biblię i żartuje sobie z nas. Nie jestem pilotem, więc nie znałem go dobrze. Ale jakiś tydzień później spotkałem porucznika Raskovitsky'ego i zapytałem go, co dokładnie widział na górze. Stał się wtedy bardzo poważny i potwierdził swoją opowieść. Jego partner był razem z nim i również widział statek. Wyraziłem wówczas przypuszczenie, że może to była tylko wielka skała, ale obydwaj mężczyźni byli zgodni w twierdzeniu, że widzieli drewniany pokład. Jednoznacznie orzekli, iż na pewno widzieli łódź. Wówczas Raskovitsky zaproponował mi wspólny z nim przelot nad górą. Trzy lub cztery dni później przyłączyłem się do niego i dwóch innych oficerów. To, co zobaczyłem, wywarło na mnie ogromne wrażenie. Rzeczywiście widok przypominał łódź. Żądałem sobie pytanie, dlaczego ktoś miałby budować łódź tu, na górze? — Przerwał znowu i przyglądał się uważnie ludziom. — Cała ta sprawa bardzo mnie zainteresowała, ale, prawdę mówiąc, przede wszystkim myślałem o powrocie do rodziny. Każdego dnia modliłem się o to, żeby usłyszeć: „wojna się skończyła i wyjeżdżamy”. Minęło



wiele tygodni i w końcu powiedziano nam, że Dziewiętnasty Petropawłowski Regiment wraca do Rosji. Byłem tak szczęśliwy, że płakałem z radości, gdy usłyszałem tę wiadomość. Dwa dni przed odjazdem naszego regimentu pułkownik zebrał wszystkich oficerów i poinformował, że przybyła specjalna jednostka, która z rozkazu cara ma wspiąć się na górę i znaleźć Arkę Noego.

— Alleluja! — zawołali ludzie w kościele.

— To nie było to, co wtedy pomyślałem — odpowiedział Zobolotsky. — Doszedłem do wniosku, że nikt nie potrafi wspiąć się na szczyt góry. „Szczęścia chłopcy” — stwierdziłem w duchu. Pułkownik przyjrzał się nam i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie. Powiedział, że batalion potrzebowałby lekarza. Domyśliłem się reszty. I rzeczywiście pułkownik wyznaczył mnie, abym pozostał razem z batalionem. Byłem bardzo rozczarowany. Później jednak stwierdziłem, że tak postanowił Bóg. Bóg i oczywiście pułkownik.

Zgromadzeni zaśmiali się i Indy zachichotał również. Nareszcie Zobolotsky przestał nudzić.

— W następnym tygodniu setka żołnierzy wspinała się na szczyt. Byliśmy podzieleni na dwie grupy i maszerowaliśmy po dwóch stronach góry. To była bardzo trudna wspinaczka, która zajęła nam dwa dni. W czasie drugiego dnia wydawało mi się, że jesteśmy prawie na wierzchołku. Kiedy doszliśmy do następnej grani, zobaczyliśmy, że *jesz- .* *cze* długo musimy się wspinać. W końcu późnym popołudniem wczołgaliśmy się na szczyt grzbietu i wtedy zobaczyliśmy ją. Arka spoczywała w zagłębieniu góry, między dwoma wierzchołkami. Żołnierze z drugiej grupy dotarli już przed nami do łodzi i widzieliśmy ich chodzących tam.

— O Boże — westchnęła kobieta obok Indy'ego.

— Pośpieszyliśmy do nich, idąc znacznie szybciej. Gdy przybyliśmy, wszyscy śmiali się z tego, że statek rzeczywiście

znajduje się na górze. Byliśmy czternaście tysięcy stóp nad poziomem morza. Wielki statek okazał się pokryty grubą warstwą smoły i wydawało się, że większa jego część znajduje się w dobrym stanie. Widziałem drzwi leżące obok statku. Dostrzegłem popalone części i pomyślałem sobie, że musiał go trafić piorun. Wszedłem do środka i rozejrzałem się. Nabrałem pewności, że to jest Arka. Miała trzy pokłady, a na każdym z nich były klatki. Wiele klatek różnych rozmiarów.

O bracie — pomyślał Indy. — To jest zabawne, ale tego jest trochę za dużo. Mojżesz napisał historię Noego około 1475 roku przed Chrystusem, przypuszczalnie tysiąc czterysta lat po potopie. Jeśli nawet drewniany statek mógłby w jakiś sposób w dalszym ciągu istnieć prawie po pięciu tysiącach lat, znalezienie Arki Noego, i to w stanie w zasadzie nienaruszonym, było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Zobolotsky wyjaśniał, w jaki sposób żołnierze drobiazgowo mierzyli Arkę, sporządzali schematy zewnętrznych części i każdego z wewnętrznych pokładów, a także robili liczne fotografie.

— Wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani tym, co znaleźliśmy, i wysłaliśmy informację do cara. Później przygotowano pełny raport z rysunkami i fotografiami. Specjalny posłaniec miał to dostarczyć do pałacu cara. Na nieszczęście nie wiedzieliśmy nic o tym, co przydarzyło się posłańcowi. W tym czasie, gdy przybył on do Petersburga, car został obalony przez bolszewicką rewolucję.

Cuchnie — pomyślał Indy. Świadeństwo, ale bez dowodu. Zobolotsky odwrócił się i oddalił nieco od kazalnicy. Atrakcyjna, młoda blondynka szła w jego stronę, niosąc brezentową torbę. Podała ją Zobolotsky'emu, który położył ją na ambonie i wyjął jakąś rzecz owiniętą materiałem.

— Coś mi mówiło, że powinienem wziąć z Arki jakiś przedmiot na wypadek, gdyby łodzi coś się stało. Więc, gdy byłem pewny, że nikt tego nie widzi, zabrałem kawałek drewna ze złamanych drzwi i szybko schowałem go.

Zrobił parę kroków do tyłu; jego miejsce zajęła młoda kobieta i zaczęła powoli rozwijać materiał. Musi być jego córką — pomyślał Indy. Zerknął na Shannona i zobaczył na jego twarzy taki wyraz, jakiego nie widział od czasu, gdy byli w college'u, kiedy to Shannonowi wydawało się, że spotkał miłość swego życia, pianistkę zafascynowaną jazzem i szalejącą za Jackiem. Pasowała do niego, ale gdy się dowiedziała o jego rodzinie, nagle zerwała z nim.

Wszyscy wyciągnęli szyje, aby lepiej widzieć.

— Teraz możecie to zobaczyć — powiedział Zobolotsky. — Tutaj, moi przyjaciele, jest kawałek Arki Noego.

Kobieta podniosła poczerńiały prostokątny przedmiot nad głowę. Miał długość i wielkość ręki. Było cicho, niektórzy ludzie pochylili głowy w skupieniu modląc się, inni wyciągnęli ręce ku kawałkowi drewna, aby być bliżej, a może pragnęli napelnić się jego świętą energią.

Zobolotsky mógł znaleźć drewno gdziekolwiek, nawet przed kościołem. Indy przesunął wzrok z drewna na kobietę. Zrozumiał, dlaczego Shannon był tak oczarowany. Nie powiedziała ani słowa, a Indy czuł, jakby ją znał od dawna. Wydawała się niewinna, szlachetna, pełna oddania i litości. Nie wiedział, skąd to odczucie, ale byłby zaskoczony, gdyby odkrył w niej coś innego. Przez moment ich oczy się spotkały i wtedy opuściła przedmiot. Gdy zawijała go z powrotem i wkładała do torby, Zobolotsky kończył swą opowieść:

— Wkrótce opuszczę Stany Zjednoczone i wrócę do Turcji, by wspiąć się znowu na górę Ararat. Wiem, że muszę tam wrócić. Nie mam wyboru. Święta Arka wzywa mnie.

Tam jest niebezpiecznie, ale wiem, że jestem pod opieką dobrego Boga. Mam nadzieję, że któregoś dnia zaprosicie mnie znowu i opowiem wam wtedy o ponownym dotarciu do Arki. Dziękuję wszystkim.

Gdy Zobolotsky wraz z kobietą schodzili z ambony, publiczność wstała i pozdrawiała ich głośno. Indy patrzył na tę parę, dopóki nie znikli mu z oczu. To był interesujący spektakl, ale co stanowiło jego puentę? Czego oczekiwał Zobolotsky?

Indy czuł się obolały i zmęczony, i gotowy do powrotu do hotelu... Powiedział cześć Shannonowi i miał zamiar ruszyć swoją drogą. Wydarzenia tego wieczoru jednak nie skończyły się. Chór wstał i gdy umilkła wrzawa, salę wypełniła liryka kolejnej pieśni ewangelicznej.

„Stary Noe szuka swego szczytu I  
wypuszcza wolno synogarlice. Kiedy ptak  
powraca z gałązką, Noe na pewno tańczy  
wokół masztu”.

Tłum klaskał rytmicznie i prawie nikt nie wyszedł, dopóki pieśń się nie skończyła. Gdy wreszcie rzędy krzesel opustoszały, Indy podszedł do Shannona.

— Więc co o tym myślisz, Indy?

— Bardzo mi się podobało. Jestem zadowolony, że przyszedłem.

— A co myślisz o Katrinie?

— O dziewczynie? — Indy wzruszył ramionami. — Myślę, że to prawdziwa pożeraczka serc.

— Dziękuję za słowa zachęty.

— Wiesz, jak to czasami bywa. Shannon włożył trąbkę do futerału.

— Spróbujmy porozmawiać z nimi. Ty możesz pogawę-

dzić z doktorem Zobolotskym o Arce, a ja spróbuję poznać lepiej Katrinę. Indy podniósł rękę.

— Nie sądzę. Usłyszałem wszystko, co chciałem.

— Naprawdę? A gdyby doktor Zobolotsky dał ci szansę udania się z jego misją na górę Ararat, nie skorzystałbyś z niej?

— Przede wszystkim archeologowie nie wypełniają misji. Oni jeżdżą na wyprawy. Są naukowcami, a nie częścią Kościoła.

— W porządku, w porządku. Ale odpowiesz mi na moje pytanie. Czy pojechałbyś z nim, gdyby była taka możliwość?

— Nie interesuje mnie praca misjonarska. Poza tym mam rzeczywistą szansę pracy w Chicago. Jutro będę wiedział na pewno.

Opuścili nawę boczną i skierowali się ku drzwiom.

— Mam przecucie, że będziesz tym podekscytowany, Indy.

Indy nie powiedział nic, dopóki nie wyszli na zewnątrz.

— Czy ty wierzysz w to, że Zobolotsky znalazł Arkę Noego, Jack?

— Słyszałeś, co powiedział. Myślisz, że kłamał w kościele, mówiąc o takich sprawach?

— Nie nazywałbym tego kłamstwem. Myślę, że zobaczył to, co chciał zobaczyć. Albo uwierzył. To wszystko.

— Tak przypuszczałem — powiedział Shannon niezadowolony. — Chodź, panie naukowcu. Zapraszam cię na rajd do twojego pałacu.

Wdrapali się do samochodu Shannona i ruszyli.

— Słyszałem jak wspaniale brzmi twoja trąbka, Jack. To jest twój drugi styl.

— Dzięki — Shannon wydawał się zmęczony. Ramiona mu opadły, twarz wyrażała znużenie.

— A jak przedstawiają się sprawy twoich braci?

Shannon wzruszył ramionami.

— Nie za dobrze. Rozmawialiśmy, ale nie wiem, co będzie. Łatwo może się zagotować.

— Czy nie da się zrobić czegoś, aby to powstrzymać?

— Masz jakieś propozycje, bo ja nie.

Indy nie wiedział, co powiedzieć. Gdy zwolnili, aby zatrzymać się przed hotelem, Shannon przechylił się do tyłu.

— Wygląda na to, że mogę pójść do nieba przed tobą.  
Ale zadnę w róg, gdy zobaczę, że nadchodzisz.

## 7

### REFLEKSYJNA SADZAWKA

Po raz pierwszy po opuszczeniu uczelni Indy znalazł się na terenie kampusu i nie mógł sobie poradzić z uczuciem niepokoju. Jeśli nawet od tego czasu minęło osiem lat, ciągle pamiętał, jak był traktowany w ostatnich dniach swego pobytu w tym miejscu. Dlaczego o tym myślał? Mulhouse był na emeryturze. Dzień Ojców Założycieli zlikwidowano. Ciągle jednak czuł napięcie, idąc uliczkami kampusu.

Minął księgarnię uniwersytecką, po czym przeszedł przez Ellis Avenue. Szedł obok budynku administracyjnego, gdzie był przesłuchiwany przez Mulhouse'a i inne osobistości. Mógłby ich narysować, siedzących przy długim stole, na podwyższeniu i patrzących na jego siwowłosego oskarżyciela. Gardło mu się ścisnęło, jakby był tam znowu i przeżywał to samo. Kroczył wzdłuż południowej ściany budynku i przez wąskie przejście dotarł na dziedziniec.

Uniwersytet z jego neogotyckimi budynkami wyglądał tak samo jak dawniej. Ale było trochę różnic. Na przykład studenci. Wyglądali jak ci, których uczył w Londynie, ale widząc ich teraz, stwierdził, jak bardzo on sam zmienił się przez ostatnie osiem lat. Wyglądali jak dzieci.

Gdy przechodził przez miasteczko uniwersyteckie, próbował przypomnieć sobie, jak to było w czasach, gdy sam był studentem. Uderzała go jedna rzecz. Chociaż nabył pewnego

doświadczenia życiowego, czuł, że wie teraz mniej, niż wiedział w czasach studenckich. Poznał politykę, lingwistykę, miłość, lecz jego obecna ignorancja sprawiła, że wydawało mu się, iż był mądrzejszy wówczas, gdy miał dwadzieścia jeden lat.

Przeszedł obok budynku, w którym odbywały się zajęcia z języków, później wspiął się na schody wydziału archeologii. Gdy wszedł do pomieszczeń Angusa O'Malleya, zegar w poczekalni wskazywał dwadzieścia trzy minuty po drugiej. Zameldował się sekretarce, młodej kobiecie z krótkimi, prostymi włosami i grzywką, która ciasno otaczała wąską twarz z blisko osadzonymi oczyma. Odgadł, że była studentką pracującą na pół etatu.

— Doktor O'Malley ma jakichś ludzi u siebie, ale oczekuje pana.

Indy usiadł i przekartkował magazyn uczelniany. Po paru minutach zobaczył, że sekretarka przygląda mu się. Uśmiechnął się i odłożył pismo.

— Rozumiem, że będzie pan pracownikiem — powiedziała.

— Mam nadzieję.

— Pan tutaj kończył studia?

— Tak.

— Doktor O'Malley kazał sobie przedstawić pańskie wyniki.

— Naprawdę? Nie były zbyt dobre.

— Wiem. Zapisał się pan na zbyt wiele trudnych przedmiotów. Wszystkie te zajęcia lingwistyczne były trudne. Szczególnie kurs Andersona. On w dalszym ciągu oblewa prawie połowę każdej grupy w semestrze.

Niedobrze. Sekretarka wiedziała więcej o jego akademickich osiągnięciach, niż pamiętał. Odwrócił stronę magazynu, mając nadzieję, że dziewczyna zrozumie aluzję. Chciał wie-



dzieć, jak dużo uwagi O'Malley poświęci jego akademickim osiągnięciom. Sam nigdy nie przejmował się swoją średnią. Tak się działo, dopóki nie zaczął dostawać piątek z większości przedmiotów.

— Tak długo, jak długo nie korzystają ze swojej pozycji, wszystko jest bardzo dobrze — powiedziała sekretarka, gdy nie odpowiadał jej.

Indy rzucił spojrzenie znad magazynu.

— Przepraszam?

Pochyliła się do przodu i rzuciła mu konspiracyjne spojrzenie.

— Profesor, którego pan ma zastąpić, został wyrzucony, ponieważ robił propozycje dziewczynom w swojej grupie i podwyższał im stopnie, gdy robiły to, co chciał.

— W takim razie nie muszę się obawiać — szepnął. — Nie podwyższam stopni i nie interesują mnie dodatkowe zajęcia ze studentkami.

— O, to wspaniale.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że była rozczarowana. Miała prawdopodobnie nadzieję, że mrugnie do niej i powie, iż powinna mu się bliżej przyjrzeć. Po tym, jak Fitzgerald w *Po tej stronie raju* opisał petting w miasteczkach studenckich, zrobił się szum wokół problemu moralności w koedukacyjnych college'ach. W pytaniach profesora zapewne będzie ta sprawa.

Usłyszał głosy, gdy drzwi gabinetu O'Malleya uchyliły się na parę cali.

— Bardzo przepraszam, że nie mogę pomóc, ale, zrozum cie, że mamy swoje priorytety — mówił O'Malley.

— Traci pan wielką szansę — powiedział ktoś inny.

Indy znał ten głos. Drzwi się otworzyły i ujrzał O'Malleya i Vladimira Zobolotsky'ego. Zatrzymali się, pozwalając córce Zobolotsky'ego przejść.

— Będzie pan żałował swej decyzji — powiedziała kobieta pewnym głosem.

Przeszli obok Indy'ego.

— Oczywiście, że tak, jeśli odniesiecie sukces — powiedział O'Malley. — Życzę państwu szczęścia i dziękuję za wizytę.

Indy studiował kształtne nogi blondynki i próbował sobie przypomnieć jej imię. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że ona mu się przygląda, rzucając chmurne spojrzenie. W końcu wyszła.

Katrina. Śliczna Katrina. Co, do diabła, ona i jej ojciec robili tutaj? Pewnie przyszli po pieniądze. O'Malley był dziekanem na wydziale, ponadto dysponował listą osób, które mogły wesprzeć ekspedycję.

O'Malley odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

— Co za historia. Nie uwierzyłbyś. Więc jak się masz, Indy?

Indy wstał i uścisnęli sobie dłonie.

— Wspaniale, proszę pozwolić mi zgadnąć. Ten gość ma zamiar udać się na poszukiwanie Arki Noego.

— Pewnie przeczytałeś o tym w gazetach?

— Nie, słyszałem, jak opowiadał o tym wczoraj wieczorem.

O'Malley był zaskoczony

— Poszedłeś do kościoła, aby go wysłuchać?

— Przyjaciel mnie zaprosił.

— W takim razie, co myślisz o żądaniach Zobolot-sky'ego — spytał O'Malley, gdy szli do jego gabinetu.

— Prawdopodobnie to samo, co i pan. Nie tworzy się mitów z kawałka drewna.

O'Malley zaśmiał się.

— Dobrze powiedziane, Indy. — Usiadł na krześle. — Siadaj, proszę.

— Przypuszczam, że chciał, aby pan wsparł tę wyprawę?

— Nie, oni nie szukają pieniędzy. W rzeczywistości jest odwrotnie. Chcą płacić. Chcą uwiarygodnić swoją ekspedycję nazwiskiem kogoś należącego do sław uniwersyteckich. — O'Malley potrząsnął głową zedegustowany. — Nieważne, jak dużo pieniędzy oferuje. Nigdy nie wyślę nikogo z mojego personelu na taką wyprawę. Uniwersytet stałby się pośmiewiskiem akademickiego świata.

— Niewątpliwie. Świat jest pełen głupców.

O'Malley przelknął ślinę i otworzył kartotekę na biurko.

— Przejdźmy do naszych spraw. — Zajrzał do kartoteki na dłuższy moment i wyglądało, że się waha. Zmarszczka przebiegała mu przez czoło. Bezwiednie pukał ołówkiem w biurko.

Indy chciał wiedzieć, co to ma znaczyć. Może było coś nie w porządku z pensją. Nawet nie pomyślał o tym. Lepiej, żeby była konkurencyjna. Nie chce pracować za parę groszy.

O'Malley oparł twarz na rękach, po czym podniósł wzrok do góry.

— Wiesz co, Indy? Bardzo bym chciał zatrudnić ciebie, ale nie mogę tego zrobić.

Ostatnie trzy słowa były jak smagnięcie biczem. Okazały się mocniejsze niż spotkanie ze zbirami z mafii.

— Dlaczego?

— Po naszej rozmowie poprosiłem o twoje dane z okresu studiów.

Otrzymałem je rano. Rzucił ołówek na kartkę. — Wszystko jest w porządku z wyjątkiem... Wydaje się, że byłeś zamieszany w niefortunny incydent pod koniec ostatniego roku. Myślę, że wiesz, o czym mówię.

Dzień Ojców Założycieli — pomyślał Indy.

— To było bardzo dawno temu i dziekan Mulhouse jest...

— Wiem, wiem. Ale na uniwersytecie pamięta się długo

o takich *rzeczach* i czy Mulhouse tu jest, czy nie, to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Wprowadziłeś w zakłopotanie instytucję i jesteś na liście.

— Co to za lista? Lista ludzi, których nie może pan zatrudnić, ponieważ myślą samodzielnie, prawda? — Wstał. — To nie w porządku doktorze O'Malley. Wydaje się, że usłyszałem wystarczająco dużo. Szkoda czasu zarówno mojego, jak i pańskiego.

— Przykro mi, Indy — rzekł O'Malley, wstając z krzesła. — Nic nie mogę na to poradzić.

— Nic, co by wstrząsnęło ścianami tej świętej instytucji, ale wydaje mi się, że pan nie myśli o tym. Miło mi było pana zobaczyć.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Miał dość nowej pracy w Chicago. Był gotów wyjechać z miasta. Nie wiedział dokąd iść, ale nie chciał tu przebywać ani chwili dłużej. Uniwersytet nie chce go. Shannon przewidywał, że to nie był dobry pomysł...

Przeszedł przez dziedziniec i skierował się w trzypasmową ulicę biegnącą od wschodniej strony miasteczka. Czuł się jak okręt bez kotwicy. Aż do tej pory jego życie było stosunkowo uporządkowane, razem ze studiami i nauczaniem, które ukierunkowało jego egzystencję. Ale teraz była pustka. Nie miał nawet rodziny, z którą mógłby porozmawiać.

Doszedł do ulicy prowadzącej wokół cichej sadzawki znanej oficjalnie jako staw botaniczny. Obszedł go wokół i utkwiał wzrok w przezroczystej wodzie. Jego myśli falowały jak lustro w salonie krzywych zwierciadeł. Usiadł na trawie i zastanawiał się, czy studenci wciąż nazywają ten staw refleksyjną sadzawką. W czasie studiów patrzył na wodę, myśląc o swoich problemach, głównie z dziewczynami. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, o które dziewczyny chodziło.

Był daleki od tamtych zmartwień. Dokąd to wszystko, do diabła, zmierza? Nie mógł wrócić ani do Londynu, ani Paryża. Był bez pracy, a jego oszczędności kiedyś się wyczerpią. Niech to! Powinienem zostać w Blackstone — pomyślał. A może wyjechać do Nowego Jorku i spotkać się z ojcem? Jego obecna sytuacja świadczyła o tym, że ojciec miał rację. Mógł sobie wyobrazić starszuka, który mówi mu, że archeologia to nieodpowiednie zajęcie dla niego. „A teraz spójrz na siebie, Junior: ani pracy, ani kariery, przyniosłeś mi wstyd”.

Nie, nie zobaczy się z ojcem. Ale może powinien pojechać do Nowego Jorku? Mógłby trochę pomieszkać z Marcusem Brodym, a Brody prawdopodobnie dałby mu pracę w swoim muzeum, dopóki nie znajdzie czegoś innego. Marcus pomagał mu już w innych kłopotliwych sytuacjach. Korzystał z jego uprzejmości zbyt wiele razy.

Podniósł kamyk i rzucił go do sadzawki, niszcząc jej spokojną tafłę. Wstał i ruszył ścieżką. Minął kutą stalową bramę, która prowadziła do kampusu i poszedł w prawo ku Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Zatrzymał się za rogiem i popatrzył na Mandel Hall, masywną budowlę z ornamentami wypełnionymi ciemnym drewnem i złotymi liśćmi. Mieściła się w niej siedziba związku studenckiego. Tutaj również spędzał wiele czasu, szczególnie jako nowicjusz, a także jako student drugiego roku, gdy mieszkał w domu akademickim niedaleko stąd.

Przypomniał sobie spotkanie z dziewczyną z farmy, której imię dawno zapomniał. Rozmawiali przez moment, po czym poszli do akademika już razem. Tak samo postępował z wieloma dziewczętami. Pamiętał nawet bicie serca, gdy wracali do Woodlawn i szli ciemnymi ulicami, trzymając się za ręce.

Grace. Tak, to było jej imię. Mówiła z akcentem z Illinois.

Jej rodzice byli niezadowoleni z wyjazdu do Chicago. Woleli, żeby została i wyszła za mąż za swoją szkolną miłość.

Majestatyczna bryła rezydencji przecięła Woodlawn. Zbudowano go w 1890 roku i mieszkali tu głównie profesorowie. Niewiele było szans na zajęcie jednej z tych majestatycznych budowli — pomyślał. To się nigdy nie wydarzy. Poza tym, jeśli jest jakikolwiek dom w Woodlawn, w którym chciałby zamieszkać, to ten, który zbudował Frank Lloyd Wright, w stylu *prairie houses*. Wznosił się na podwyższeniu zamiast na podmurówce i miał dach na wspornikach...

Pamiętał, jak Grace mówiła, że gdyby zamieszkała w tym domu pewnego dnia, on musiałby zatrzymać się tu, aby się z nią zobaczyć. Wtedy wszystko wydawało się możliwe. Teraz widział to zupełnie inaczej. Grace nie mieszkała w tym domu, ale nawet gdyby mieszkała, nie mieliby sobie nic do powiedzenia.

Spotkał się z Grace parę razy, po tej pierwszej nocy. Później rok szkolny się skończył i nie zobaczył jej nigdy więcej. Wyszła prawdopodobnie za mąż za swego dawnego chłopaka albo za kogoś z jej rodzinnego miasteczka. Teraz miała pewnie dzieci w szkolnym wieku i mieszkała gdzieś na farmie. Dobre życie — pomyślał. Ale prawie każde życie wyglądało dobrze z daleka. On nie miał niczego.

Był tylko częścią domu akademickiego, w którym mieszkał przez dwa lata, ale nie było powodu, by go wspominać. Z ponurego, ołowianego nieba zaczęło padać. Wrócił na Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę i poszedł Aleją Uniwersytecką. Na rogu był Instytut Orientalny, kolejne miejsce, w którym kiedyś spędził wiele popołudni. Tu organizowano wystawy z historii, sztuki i archeologii Starożytnego Bliskiego Wschodu — Asyrii, Mezopotamii, Persji, Egiptu i Palestyny.

Poszedł w kierunku wejścia, mijając dwóch mężczyzn

w trenczach i kapeluszach. Przypadkowo usłyszał słowa wypowiedziane przez jednego z nich. Indy nie rozumiał, co ten człowiek powiedział, ale rozpoznał język rosyjski. Zerknął na nich, gdy otwierał drzwi, ale obydwaj byli odwróceny.

Wąłęsał się między rzezbami, wyrobami garncarskimi i brązowymi popiersiami, niektóre z nich pochodziły z drugiego tysiąclecia przed Chrystusem.

Wchodził właśnie do sali ze znaleziskami z Mezopotamii, gdy przystanął na chwilę. Naprzeciwko zobaczył Zobolots-ky'ego z Katriną. Stali pod jedną z tabliczek i rozmawiali po cichu. Indy przeszedł przez salę i udawał, że podziwia rzeźby. Podeszedł bliżej, aby mógł ich usłyszeć. Zobolotsky mówił po rosyjsku, tak samo jak mężczyzna na zewnątrz. Indy spędził parę miesięcy w Rosji, gdy był dzieckiem, i w tym czasie uczył się tego języka. Po dwudziestu latach mógł rozpoznać niektóre słowa i wyrażenia.

Zobolotsky: „Nie rozumiem tego”.

Katrina: „Nie martw się, ja się tym zajmę”.

Zobolotsky: „Ale gdzie mamy patrzeć?”

Katrina: „Ojczy, myślę...”

Dziewczyna zatrzymała się w połowie zdania i odwróciła w stronę Indy'ego, gdy spostrzegła, że stoi za nią i podsłuchuje.

— O co chodzi? — warknęła.

Indy popatrzył na nią, jakby nie rozumiał.

— Przepraszam? Czego pan chce? — spytała po angielsku.

Spojrzał na tabliczkę naprzeciwko i zobaczył, że przedstawiała pismo klinowe.

— Chciałbym popatrzeć na tabliczkę. To pismo klinowe.

— Przepraszam — odsunęła się. Rysy jej twarzy zmiękły. — To dlatego, że mnie pan zaskoczył.

Teraz, może dlatego, że była tak blisko, zaciekawiła go. Miała twarz w kształcie serca, z wysokimi kośćmi policzkowymi i wąską brodą. Jej skóra wyglądała na dziecięco mięką, oczy były niebieskie: wodniste i głębokie. Oczy, które mogły rzucić urok... Jej usta wydawały się słodkie i pełne, harmonizujące kolorem z rubinowym, jedwabnym szalem, spiętym na ramionach.

— Czy może pan czytać pismo klinowe? — spytała.

— Nikt naprawdę nie może tego przeczytać — odpowiedział, przyglądając się, jak jej długa, czarna suknia, uwydatnia linię bioder i talii, cienkiej jak u osy. — Niewielu ludzi potrafi przetłumaczyć taki tekst. To żmudna, drobiazgową pracą.

— To brzmi, jakby pan wiedział coś o tym — powiedział Zobolotsky.

Rosjanin wyglądał dzisiaj na starszego. Jego piaskowe włosy były przyprószone siwizną, a wokół oczu Indy dostrzegł liczne zmarszczki. Był zgarbiony jak bardzo stary człowiek.

— Trochę.

— Czy pan wie, jak ważna jest ta tablica? — zapytał Zobolotsky.

Indy przesunął się do przodu i spojrzał na nią. Zobaczył, że była złamana na dwie części i złączona ponownie. Nie miał pojęcia, co mówią znaki i zaczął czytać wydrukowane tłumaczenie:

„Spowodowałem, że cała moja rodzina i znajomi wsiedli na statek,

Bestie z pól, bydło z pól, rzemieślnicy, zaokrętowałem wszystkich.

Wszedłem na statek i zamknąłem drzwi... Za sprawą nieba pojawiła się wielka chmura...



Wszystko, co jest jasne, zmieniło się w ciemność...  
Bogowie zesłali błoto.  
Uciekali, wspinali się do nieba Anu,  
Bogowie skulili się, jak psy przy ścianie, położyli się"...

Przestał czytać i zerknął na tabliczkę z pismem klinowym, opowiadając historię Ut-naphishtima.

— Tak, to chyba zbieg okoliczności — stwierdził i ucichł.

— Co pan powiedział? — spytała Katrina.

Odsunął się krok do tyłu, ale trzymał wzrok na tabliczce.

— Wczoraj opowiadałem przyjacielowi właśnie o tej tabliczce. Nie miałem pojęcia, że jest w Chicago. Po tej opowieści poprosił mnie, abym poszedł do jego kościoła posłuchać wykładu o poszukiwaniach Arki Noego.

— Pan mówi... — zaczął Zobolotsky.

— Tak, byłem tam.

— Wydawało mi się, że skądś pana znam — wtrąciła Katrina.

— Musiałem pana widzieć. Kim pan jest?

— Wybacz mi moja córko — powiedział Zobolotsky. — Czy pan jest archeologiem?

— Tak. — Jego głos wydawał się trochę za głośny, jakby chciał ich przekonać, tak samo jak i siebie. — Pracowałem parę lat na Uniwersytecie Londyńskim. Ale teraz mam przerwę.

— Interesujące — powiedział Zobolotsky i pogłaskał brodę...

— Poczekaj — powiedziała Katrina. — Już wiem, gdzie pana widziałam. Był pan w biurze O'Malleya.

— Ma pani rację. Spotkałem się z nim po państwa wyjściu.

— Nie był chętny do współpracy z nami — powiedział Zobolotsky.

— To prawda. Ja także nie — odrzekł Indy i zaśmiał się.

Katrina popatrzyła tajemniczo.

— Co on mówił o nas?

— Dlaczego sądzicie, że wspominał o was?

— Ponieważ był pan w kościele. Musiał pan mu coś o tym powiedzieć.

Indy skinął głową.

— Jest nastawiony sceptycznie do waszej wyprawy.

— Nie rozumie, jakie to ważne — powiedział Zo-bolotsky.

— A co pan myśli? — spytała Katrina.

— Mam parę pytań.

Indy chciał, aby to nie zabrzmiało zbyt szorstko. Katrina poruszyła coś, co tliło się w nim od miesiący. Jej magnetyczny urok swoją intensywnością wstrząsnął nim. Zapomniał o fascynacji Shannona tą dziewczyną. Z każdą wspólnie przebytą sekundą jej oddziaływanie podwajało się, później rosło trzykrotnie, jakby stanowiła matematyczne prawo, a on był jedną z danych, które pomieszała w równaniu.

— Czego chciałby się pan dowiedzieć? — zapytał jej ojciec.

Przez moment Indy nie wiedział, o czym mówi Zo-bolotsky.

— Dlaczego pan chce tam wrócić, jeśli był już pan na szczycie i widział statek?

— To jest ważne w celu udokumentowania jego istnienia.

— Ma pan kawałek drewna — odrzekł Indy.

— Kawałek nic nie znaczy dla niedowiarków. Ludzie tacy jak O'Malley oglądają go i mówią, że kłamię, że mogłem takie drewno znaleźć wszędzie. To dla nich nie jest dowodem. Czy pan to rozumie?

— Oczywiście.

— Ale nie mogą zignorować zdjęć. Katrina jest bardzo

dobrym fotografem i chęć udowodnić światu, że Arka istnieje.

Więc ona też jedzie. To zmieniało sytuację. Już nie był jedynie ciekawy, teraz chciał się dowiedzieć wszystkiego.

Próbował skoncentrować się na tym, co mówi Zo-bolotsky.

— Dlaczego to jest takie ważne dla was?

Były żołnierz wyprostował plecy.

— Świat musi poznać prawdę, musi uwierzyć, a kiedy się to stanie, upadną uzurpatorskie rządy, które nie uznają Boga.

— Rozumiem. — Tak więc ma to podtekst polityczny, tak samo jak i religijny. Nauka zajmowała odległe, trzecie miejsce.

— Nie twierdzą, że rządy cara były najlepszą możliwością, ale bolszewicy zabierają pokój ludziom nawet w myślach — wyjaśnił Zobolotsky.

— Taak — powiedział Indy bez entuzjazmu. — To nie moja sprawa, ale jak pan zorganizuje wyprawę?

— Jestem dość wziętym lekarzem. Odkładałem na to pieniądze od dłuższego czasu.

— To kiedy pan wyrusza?

— Wkrótce — odrzekła Katrina. — Czy mógłby się pan do nas przyłączyć?

— Ja? — uśmiechnął się Indy. Rozum podpowiadał mu, żeby powiedzieć nie. Ale nie miał innych planów, a urok Katriny był nieprzeparty. — To brzmi interesująco, lecz musicie zrozumieć, że mój udział może być jedynie naukowy. — Ta uwaga nie była w całości prawdziwa, ale Zobolotsky nie musiał wiedzieć, co Indy czuł do jego córki, przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Oczywiście — zgodził się Zobolotsky. — Czy byłby pan gotów wyjechać jutro rano?

— To za szybko.

— Ile czasu panu potrzeba? — spytał Zobolotsky.

Indy namyślał się przez moment nad tym, co jeszcze musi załatwić, poza pożegnaniem z Shannonem? Wzruszył ramionami.

— Dobrze, może być jutro rano.

— Cudownie — Katrina była rozpromieniona.

— Mieszkamy w Blackstone — powiedział Zobolotsky. — Czy mógłby się pan z nami spotkać jutro o ósmej?

— W Blackstone? Wydaje mi się, że dam radę.

Gdy Indy odchodził, czuł podniecenie z obrotu wydarzeń i był zdumiony serią dziwnych zbiegów okoliczności, które go spotykały. Udał się do O'Malleya i do instytutu i za każdym razem spotykał Zobolotsky'ego i jego córkę. Teraz następny zbieg okoliczności: mieszkali w tym samym hotelu. To oznaczało, że jego przyłączenie się do wyprawy nie byłoby przypadkowe. Miał nadzieję, że tak właśnie jest.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Kropla deszczu upadła mu na czoło, później następna. Przypomnił sobie o dwóch mężczyznach w trenczach i żałował, że nie ma takiego samego. Ale nie musiał iść daleko. Miał zamiar udać się do domu Shannona i opowiedzieć mu o wszystkim. Był pewien, że Shannon ucieszy się słysząc, że rewelacja o Indym i Arce Noego staje się prawdopodobna.

## KULE

Borys Kaboshev stał niedaleko wejścia do księgarni w suterenie, w pobliżu Instytutu Orientalnego, i obserwował mężczyznę w sportowej marynarce, idącego Pięćdziesiątą Szóstą Ulicą. Widział go na uniwersytecie. Udał się do tych samych pokojów, co Zobolotsky i jego córka i zniknął tam. Borys chciał wiedzieć, kim jest ten mężczyzna i dlaczego szedł za nimi.

— Był także w kościele — poinformował Borys swego bliźniaka Aleksandra. — To tam widziałem go po raz pierwszy.

— Trzeba się nad tym zastanowić. Ja też go tam zauważyłem — odezwał się Aleksander. — Mieszka w Black-stone.

— Schowaj się — zasyczał Borys, gdy spostrzegł Zobolotsky'ego i Katrinę wychodzących z Instytutu Orientalnego. Mężczyźni zeszli po schodach do księgarni, udając przechodniów załatwiających własne sprawy. Kiedy już byli pewni, że ojciec i córka nie wejdą do księgarni, wyszli z powrotem na ulicę. Zdażyli zauważyć, że wsiadają do taksówki.

— Wkrótce pojadą do Turcji — powiedział Aleksander — a to oznacza koniec naszego zadania i będziemy mogli wrócić do sklepu.

— Niekoniecznie, Aleks. Mogą chcieć, abyśmy zostali trochę dłużej.

Faktycznie. Uprowadzono Borysa, że jeśli Zobolotsky opuści kraj, on i Aleksander powinni jechać za nim i zakończyć swoją misję w odpowiedni sposób.

■— Zobaczmy, czy uda się nam dogonić tamtego — powiedział Borys. — Chcę sprawdzić, dokąd idzie.

Aleksander chrząknął i wyszli na deszcz, śpiesząc za mężczyzną w sportowej marynarce. Borys wiedział, że Aleksander nie chciał śledzić mężczyzny, ponieważ wolał pójść za Zobolotskymi. Aleksander nie mówił nic złego o tej robocie, ale Borys wiedział, że jego brat byłby szczęśliwszy, gdyby mógł żyć tak, jak żyją normalni ludzie. Lecz Aleksander nie pozwolił mu zapomnieć, że nie są normalnymi ludźmi.

Dwaj rosyjscy imigranci pracowali w małej drukarni na South Side i utrzymywali żywe kontakty z innymi Rosjanami, którzy przyjechali do Stanów Zjednoczonych po rewolucji bolszewickiej. Lecz Borys i Aleksander nie uciekli z Rosji ze strachu przed bolszewikami. Przeciwnie, byli bolszewikami i *to* zaufanymi Leona Trockiego. Przybyli *do* Stanów w sprawach rewolucji.

Ich zadaniem było obserwowanie rosyjskich imigrantów, którzy mogliby dążyć do obalenia władzy bolszewickiej. Ostatnio otrzymali polecenie śledzenia Zobolotsky'ego i jego córki. Zobolotsky był znanym współpracownikiem Ruchu Nowej Rosji, grupy zwolenników cara, którzy nigdy nie porzucili idei powrotu ojczyzny do starych porządków.

Ojciec i córka przybyli do Chicago pięć dni temu, ale zachowywali się jak turyści, dopóki przedwczoraj gazety nie opublikowały artykułu o Zobolotskym i Arce Noego. Na początku nowiny zastanowiły Borysa, lecz wkrótce stwierdził, że to wszystko musi być propaganda rozpuszczana

przez Ruch Nowej Rosji. Odkrycie Arki Noego potwierdzi wiarygodność Biblii, a to było niezgodne z ideami rewolucji. Religia stanowi narkotyk dla mas i odkrycie łodzi na górze Ararat mogło omamić ludzi, a o to właśnie chodziło carskim pachołkom.

Można było bez trudu pozbyć się Zobolotsky'ego i jego córki, ale rozkazy zabraniały zabijać Rosjan w Stanach.

Morderstwo zwróciłoby uwagę i mogło zdemaskować siatkę szpiegowską, która pracowała w tym kraju. Jeśli Zobolotsky opuści Stany, to co innego.

— Gdzie on idzie? — zapytał Aleksander, gdy mężczyzna znikł w parku.

— Skąd mogę wiedzieć?

Przeszli przez jezdnię i w dalszym ciągu szli za nim. Borys przypuszczał, że mężczyzna nie jest Rosjaninem, chociaż nie słyszał go mówiącego. Gdy się upewni, zacznie działać. Poza tym miał wolną rękę w eliminowaniu wszystkich nie-Rosjan, którzy współpracowali z wrogią propagandą.

Jeśli kiedyś w dalekiej przyszłości archeologowie odkopią Chicago, będą zastanawiać się nad dziwnymi pozostałościami konstrukcji w stylu starożytnej Grecji. Nie ma wątpliwości, że wówczas znajdzie się ktoś, kto postawi błędną hipotezę twierdząc, iż wybudowali wielkie budowle, być może dwa tysiące lat przed Chrystusem. Indy zastanawiał się nad tym, idąc przez Park Jacksona i przechodząc obok Pałacu Sztuk Pięknych. Muzeum, które z góry wygląda jak wielki geometryczny ptak, było jednym z wielu budynków wybudowanych w stylu greckim na Światową Wystawę Kolumbijską w 1893 roku.

Szedł w kierunku wejścia do muzeum, przeszedł Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę i skierował się w kierunku Cornell Avenue. Dom rodzinny Shannona był niedaleko, z uniwersytetu to

tylko krótki spacer w pobliżu jeziora Michigan. Indy dobrze znał te okolice z czasów studenckich, ale nigdy nie widział domu Shannona. Zbudowano go rok po tym, jak Shannon skończył studia, a ojciec Shannona kupił go parę lat później.

Indy doszedł do wniosku, że najlepiej będzie porozmawiać w domu. Nie chciał czekać na przyście Shannona do klubu nocnego. Mogło się okazać, że będzie zajęty, a poza tym nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z ludźmi takimi jak Capone, a z tego co Shannon mówił, wydawało się to możliwe.

Indy zwolnił i rozejrzał się wokół. Był pewien, że jest na miejscu, lecz nie mógł znaleźć domu. Dostrzegł jedynie wielką posiadłość otoczoną złowieszczą wyglądającym żelaznym ogrodzeniem, przypominającym rząd włóczni. Ogromna rezydencja była prawie niewidoczna zza ściany drzew, a przy wejściu na podjazd znajdował się domek strażnika.

Zorientował się, że z tego właśnie domku ktoś mu się przygląda, postanowił więc zapytać o drogę. Gdy podszedł bliżej, zobaczył parę niemieckich owczarków przywiązanych smyczami do żelaznego płotu, po obydwu stronach drogi dojazdowej.

Muskularny mężczyzna z rzadzkimi włosami i bez szyi wyrzwał z budki. Naprężona marynarka świadczyła o tym, że facet mógł wyciągnąć broń w każdym momencie.

— Co mogę zrobić dla ciebie, przyjacielu?

— Szukam rezydencji Shannonów. Przypuszczam, że to gdzieś w okolicy.

— Znalazł ją pan. Czego pan chce?

Indy spojrzął na samochód, który zakręcał przed rezydencją z czerwonej cegły, która stała pięćdziesiąt jardów od drogi. Wyglądała jak forteca, a nie jak dom.



- Tak? — zapytał strażnik, gdy Indy nie odpowiedział.
- Chcę się zobaczyć z Jackiem Shannonem,
- Czy oczekuje pana?
- Tak naprawdę, to nie. Ale jestem jego starym przyjacielem.
- Jak się pan nazywa?

Indy powiedział mu.

— Słyszałem o panu — odrzekł mężczyzna tonem, w którym nie było ani gościnności, ani przyjaźni. — Ręce do góry.

— Co?

Strażnik podszedł i sprawdził, czy nie ma broni.

— W porządku, poczekaj tu.

Mężczyzna wszedł do stróżówki i napisał coś na kartce papieru. Zdjął małe drewniane pudełko z wieszaka i włożył tam papier. Zawołał jednego psa i przyczepił pudełeczko do jego obroży. Później powiedział coś do zwierzęcia i spuścił go ze smyczy. Owczarek w mgnieniu oka skoczył i popędził do domu.

— Twój posłaniec?

Strażnik skinął głową.

— Co się stanie, gdy nikt go nie spostrzeże?

— Posłuchaj.

Pies czekał pod frontowymi drzwiami i parę sekund później jakiś mężczyzna wyszedł z domu.

— Mądry pies — powiedział Indy.

— Ostry pies. Na rozkaz wyrwie ci płuca. Indy przełknął ślinę.

— Mam na to twoje słowo.

Rozmowa skończyła się, ale strażnik nie cofnął się do domku. Patrzył na Indy'ego tak samo, jak to robił owczarek. Wciąż padało, a mała kropla spływała mu z brody na szyję...

— Musimy dowiedzieć się, kto tu mieszka — stwierdził Borys, gdy obserwowali Indy'ego pod domkiem strażnika.

Razem z Aleksandrem przykucnęli za żywopłotem, niedaleko budynku po drugiej stronie ulicy.

— Może to jest jakiś szlachcic na usługach cara — odpowiedział Aleksander.

Borys potrząsnął głową.

— Wiedzielibyśmy o tym. — To była korzyść z pracy w drukarni. Drukował ulotki dla rosyjskich imigrantów i słyszał wszystkie plotki.

Aleksander wyjął lornetkę z kieszeni i skierował ją na mężczyznę.

— Być może tracimy tu tylko czas. Być może ten facet nie ma nic wspólnego z Zobolotskym i jego wyprawą.

— Musi — wysapał Borys. Facet wsadził nos w brudne rosyjskie sprawy. Teraz to się stało problemem Borysa.

W końcu Indy usłyszał szczekanie i zobaczył psa biegnącego ku bramie. Pomyślał, że owczarek skoczy prosto na niego. Stał jednak twardo i nie pokazywał po sobie najmniejszego strachu. Pies przebiegł ostatnie dziesięć stóp i zatrzymał się przed wejściem do stróżówki. Mężczyzna spokojnie sięgnął po pudełko, jakby psie przesyłki były na porządku dziennym. Otworzył je i wyjął złożony kawałek papieru.

— Jack czeka na pana — odwrócił głowę w kierunku domu. — Proszę iść ku werandzie po lewej stronie budynku.

— Dziękuję.

Indy przeszedł ostrożnie obok psa i skierował się ku drzwiom. Wiedział, że Shannonowie mieli dobrze prosperujące przedsiębiorstwa, które były na pół legalne, poczynając

od przemytu alkoholu i hazardu, kończąc na firmach przewozowych. Nigdy jednak nie myślał o Shannonie jako o bogaczu lub o człowieku prowadzącym życie bogacza, takie jakie symbolizował jego dom. Poza tym Shannon mieszkał przez lata w jednopokojowych apartamentach w Paryżu i Londynie. Teraz zrozumiał, dlaczego Jack nie opowiadał mu o tym miejscu. Czuł się zakłopotany.

Shannon stał w drzwiach werandy i nie wyglądał na uszczęśliwionego jego widokiem.

— Indy, mówiłem ci, żebyś tu nie przychodził.

— Nie mówiłeś. Powiedziałaś, że nie mógłbym tu zamieszkać.

— No tak, czego chcesz? To nie najlepsza pora, żeby tu stać. Jestem trochę zajęty.

Indy był zaskoczony chłodem Shannona.

— Przyszedłem się pożegnać. Wyjeżdżam jutro rano.

Shannon odwrócił się.

— Gdzie jedziesz?

— Do Turcji z Zobolotskym.

— Widzę, że zmieniłeś swoje plany! — zdziwił się Shannon.

— Pomysł pracy na uniwersytecie okazał się bez sensu.

Wyciągnęli tę starą historię z kukłami. Powinienem być to przewidzieć.

— Jack! — zawołał ktoś z domu. — Z kim, u diabła, rozmawiasz?

— To Indy. Przyjechał tu z Londynu — odrzyknął Shannon.

Mężczyzna z zaczesanymi do tyłu rudymi włosami wyjrzał ze środka. Indy rozpoznał najstarszego brata Shannona. Harry był niższy o parę cali od Jacka i cięższy o prawie dwadzieścia funtów. Indy nie widział go od czasów col-lege'u, ale nie zmienił się wiele od tamtej pory. Zawsze był

dojrzały i miał olej w głowie, a teraz był głową rodziny Shannonów.

— Jak ci leci, Harry?

Rzucił spojrzenie pełne wściekłości i zanim cokolwiek powiedział, Indy zrozumiał, że nie chcieli go tutaj.

— Wiesz, przyszedłeś w złą porę. Jesteśmy zajęci. Mamy parę spraw do omówienia.

— Już wychodzę. Miło było cię zobaczyć, Harry. Jack, bardzo ładny dom. — Skinął głową, wsadził ręce do kieszeni i wyszedł.

— Odprowadzę cię do bramy — powiedział Shannon, zerkając na brata. — Spotkamy się przy frontowym wejściu — rzucił w jego stronę.

— Zrób to szybko — powiedział Harry krótko. — A, Jones, mam nadzieję, że nie będziesz wyciągał Jacka do Europy, ponieważ musi być tutaj, razem ze swoją rodziną. Rozumiesz?

— Tak. Oczywiście,

Shannon dołączył do Indy'ego i szli parę kroków w milczeniu.

— Przepraszam cię za Harry'ego. On jest teraz w trudnej sytuacji.

— Rozumiem.

— Posłuchaj. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, że jesteś tu niemile widziany. To dlatego, że sprawy nie układają się tak, jakbyśmy chcieli. Sytuacja stała się kłopotliwa.

— Nie musisz mnie przeproszać, Jack.

— Więc jedziesz do Turcji? A co z Katriną? Co będzie robić, gdy ojciec wyjedzie?

— Ona także jedzie. Jest fotografem.

Shannon przystanął przy bramie.

— Och, czyż to nie słodkie? Powinienem był wiedzieć. To dlatego jedziesz?

— To nieprawda, Jack.

— Chcesz powiedzieć, że ta kobieta nie miała wpływu na twą decyzję, że tak się złożyło, iż zapragnąłeś nagle wejść na jakąś górę w Turcji i poszukać Arki. Nie uwierzę ci.

— Jack, jestem archeologiem. To może być ciekawe odkrycie.

Indy wiedział, że to nie zabrzmiało przekonująco. Nie mógłby niczego ukryć przed Shannonem na dłużej.

— Poza tym chciałeś, abym pojechał. Pamiętasz?

Oczy Shannona zwięzły się.

— Chciałem, abyś pojechał z ojcem, nie z nią. Wiesz, co czuję do Katriny.

— Ale to nie twoja dziewczyna, Jack. Ledwo ją znasz.

— Ty s...synu, kradniesz mi dziewczynę. Dobry z ciebie przyjaciel.

— Przestań, Jack — zawołał Indy.

— Wynoś się stąd. Idź się zabawić.

W tym momencie Indy zauważył wybrzuszenie w marynarce Shannona.

— Co tam schowałeś?

— Nie twój interes.

— Nie pozwól, aby Harry wciągnął cię w to, Jack.

— O ci chodzi?

Błyszczący cadillac jechał powoli w ich kierunku. Nagle Indy zrozumiał.

— Niech to diabli! Wystawiasz się na strzał?

— Nie wtrącaj się.

— Boże, będziesz śledził ludzi z mafii! Nie bądź dupą, Jack.

— Robimy to, co trzeba. Musimy ich dopaść, zanim oni dopadną nas. I to jest właśnie biznes.

Indy potrząsnął głową.

— Czy właśnie tego nauczyła cię Biblia? Zabijać każdego, kto ci stanie na drodze?

Shannon chwycił Indy'ego za poły marynarki i popchnął.

— Wyjdź już stąd!

— Do diabła z tobą, Jack — Indy splunął, gdy znalazł się za bramą.

Usłyszał warknięcie. Kątem oka dostrzegł, że jeden z owczarków rzucił się ku niemu i skoczył. Pies uderzył go w ramiona i pierś i zwałił z nóg. Zobaczył wyszczerzone kły i podniósł rękę w samą porę, aby zatrzymać bestię przed przegryzieniem mu gardła. Zwierzę złapało jego rękę i potrząsało nią.

Strzał zadźwięczał w uszach Indy'ego, pies zapiszczał, potem zadrzał i runął na niego. Szczęki zwierzęcia wciąż były zaciśnięte na przedramieniu Indy'ego. Odsunął ciało psa. Shannon stał za nim z rewolwerem w ręku.

— Wracaj, Gretel — Shannon wydał polecenie drugiemu psu, który napiął się na smyczy, szczerząc kły. — Nie powinienes przeklinać w ten sposób, Indy. To jest dla niego rozkaz do zabijania.

— Bardzo mi przykro. — Indy przytrzymał zranione ramię i odsunął się od drugiego psa. — Dziękuję.

— Był moim ulubieńcem — powiedział Shannon, spoglądając na nieżywego owczarka. — Richie, zabierz go stąd.

— Zaraz. — Stróż odsunął psa z drogi dojazdowej. Indy nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Jesteś ranny? — zapytał Shannon.

— Nie, ale niewiele brakowało, a byłaby inna odpowiedź.

— Co, do diabła, się tu dzieje, Jackie? — Harry stał przy cadillacu, który zatrzymał się przed bramą.

— Hansen zaatakował Indy'ego. Musiałem go zabić. Harry potrząsnął głową i było widać, że jest wściekły.

— Wsadzaj swoją d... do samochodu.

— Harry, ja nie jadę.

— Co to znaczy?

— To, co powiedziałem.

— Jesteś członkiem rodziny, czy nie?

— Nie lubię zabijać zwierząt i wydaje mi się, że ludzi także.

Harry sięgnął do samochodu i wyciągnął karabin. Wycelował w Shannona.

— Wsiadaj do samochodu, Jack.

— Bo co. Zastrzelisz swojego brata, Harry?

Harry opuścił karabin.

— Nie, mam lepszy pomysł. Jeśli nie wsiądziesz, zrobię ci brzydkie, mały ustnik i już nigdy nie zagrasz na swoim rogu. Rozumiesz?

— Jack, wsiadaj — krzyknął drugi brat Shannona, nadchodzący od strony pasażerów.

— Zostań tam, Jerry — warknął Harry.

W tym samym momencie przy drodze dojazdowej pojawił się packard. Indy zobaczył karabiny wystające z okien.

— Harry! — zawył stróż, wyjmując broń spod maski.

Oczy Harry'ego rozszerzały się, dopóki nie stały się tak duże, jak opony packarda. Obrócił karabin.

— Skur... — warknął i padł trafiony serią z karabinu maszynowego.

Indy chwycił Shannona i potoczyli się w kierunku stróżówki, gdy odgłos karabinu maszynowego wypełnił powietrze. Okna stróżówki rozleciały się na kawałki, kule przebiły drewniane ściany i odbijały się od żelaznego ogrodzenia, ponad ich głowami. Shannon podniósł głowę, Indy złapał go za szyję i przygniótł do ziemi.

Rozległ się pisk opon i packard odjechał.

Wszystko trwało mniej niż dziesięć sekund. Powoli Indy i Shannon podnieśli się z ziemi. Wokół były ciała i krew.

Stróż i dwa owczarki leżały w kałuży krwi na drodze dojazdowej. Barczysty mężczyzna kaszlał i pluł krwią.

— O Boże! — krzyknął Shannon. O Boże. — Pobiegł w kierunku samochodu. — Wiedziałem, że to się tak skończy.

Jeny leżał na masce cadillaca, a krew spływała na błotnik. Harry siedział na ziemi niedaleko samochodu, jego twarz była bez krwi, za to ręce miały kolor purpury.

Shannon podbiegł do niego.

— Zrobisz to, Harry. Zrobisz to, Harry. Zawieziemy cię do szpitala.

Krew trysnęła z ust Harry'ego. Podniósł rękę.

— Twój błąd, Jackie Boy. Twój błąd.

I runął martwy.



## WIELKA NAMIĘTNOŚĆ

— Jestem pewna, że on się nam przyda, ojciec — powiedziała Katrina, gdy jechali do hotelu.

Zobolotsky patrzył przez mokre okno taksówki.

— Mam nadzieję.

— Coś nie w porządku?

— Wydaje się zbyt zapalony, a ja chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć. Jeśli będziemy mieć więcej czasu... Bóg czasami działa dziwnymi sposobami i zapewne powiedziałby nam, że mamy znaleźć archeologa tutaj, w Chicago.

Katrina nigdy nie zaprzeczała ojcu, gdy mówił o swojej wierze,, ale nie była taka pewna, czy Bóg chciałby mieszać się w tę sprawę, a na pewno nie w sposób, o jakim myślał ojciec.

Jako dziecko miała wizję przyszłości. Dowiedziała się, co się stanie i jej, i ludziom wokół niej. Gdy opowiedziała o tym ojcu, odrzekł, że tylko Bóg zna przyszłość. W szkole nauczyciele mówili jej, że nikt nie może przewidzieć przyszłości. I tak w wieku sześciu lat wizje się skończyły.

Mijały lata. Pewnego razu, kiedy ojciec wrócił z wojny do domu, pokazał jej kawałek drewna z łodzi, z góry Ararat, i to było tak, jakby znowu stała się dzieckiem. Gdy pierwszy raz trzymała to drewno, opisała statek ze wszystkimi szczegółami. Wymieniła rzeczy, które oglądał

ojciec, oraz takie, o których nic nie wiedział. Na przykład powiedziała mu, że ludzie w wiosce czasami wspinali się na górę, aby zebrać smołę z łodzi, którą traktowali jako święty amulet. Ojciec był pod wrażeniem tych opowieści, początkowo dziwił się, a później nabrał przekonania, że Bóg przemawia ustami Katriny.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Odkryła jednak, że Bóg ma pomocników. Lubiła wyobrazić sobie, że to stary Noe osobiście przemawia za pośrednictwem tego drewna. Nie mówiła o tym ojcu, ponieważ według niego, mógłby to być albo Bóg, albo diabeł.

Wizje zdarzały się zawsze wtedy, gdy trzymała drewno. Widziała w nich ojca, który opowiadał o Arce, a słuchał go tłum. Widziała ludzi świętujących i nawracających się i wiedziała, że to stanie się tu, w Chicago. Ujrzała także ojca wspinającego się ponownie na górę i czuła instynktownie, że wielu ludzi czekało, aby usłyszeć o wyprawie i zobaczyć dowody, które były ważne.

Zdarzały się wizje, które wprawiały ją w zakłopotanie i nie umiała zrozumieć sensu. Jeden powtarzający się obraz zastanawiał ją szczególnie. Szła tajemniczą doliną, gdzie wszystko było białe i zniekształcone, i jasne, i ciemne jednocześnie. Czuła, że przeżywała to wbrew własnej woli.

Ale przyszłość nie była pozbawiona niespodzianek. Nie umiała przewidzieć wszystkiego, co w sposób ciągły działo się wokół niej i ojca. Trzy miesiące temu byli gotowi wyruszyć na wyprawę. Okazało się, że dwie noce przed wyznaczonym terminem ich sponsorzy zwołali nagle spotkanie i zdecydowali, że wyprawie powinien towarzyszyć archeolog. To postanowienie rozczarowało Zobolotsky'ego, ale Katrina wiedziała, że decyzja ma sens, że pomoże udokumentować odkrycie, a właściwie powtórne odkrycie Arki przez jej ojca.

Poszukując archeologa, bez przerwy napotykali przeszkody. Wydawało się, że żaden uniwersytet nie ma zamiaru obdarzyć wyprawy ojca zaufaniem. Dlatego pewnego wieczoru wzięła drewno Arki i zapytała, gdzie powinna pójść, aby znaleźć osobę, której potrzebują. Usłyszała wyraźne słowa: Uniwersytet Chicago. Udali się tam następnego dnia.

Denerwowała się myślą, że dziekan wydziału archeologii zachowa się jak pozostali archeologowie, a to oznaczałoby, iż się myliła. Ale gdy zabrała drewno z sejfu dwie noce temu, poczuła obecność tego, kto mógłby dołączyć do nich. Utwierdziła się w tym odczuciu podczas wieczoru w kościele. Poczuła obecność w czasie wykładu, a gdy trzymała drewno Arki nad głową, próbowała zlokalizować tę osobę. Była jednak rozproszona, gdyż spostrzegła śledzących ją bliźniaków, którzy siedzieli z tyłu. Nie mogła się skoncentrować.

— Lubisz go, prawda?

Uśmiechnęła się i obróciła głowę. W ciągu kilku ostatnich lat ojciec próbował dowiedzieć się czegoś o jej stosunku do mężczyzn. Zawsze ją to krępowało. Gdyby żyła matka, na pewno sama opowiedziałaby jej o swych myślach i odczuciach. Ale mama umarła wkrótce po powrocie ojca z wojny, a Katrina nigdy mu się nie zwierzała tak, jak potrafiła otworzyć się przed matką.

— Myślę... że jest interesujący. — Ledwo go знаła. Inny mężczyzna, którego spotkała tu w Chicago, ten który grał w kościele na trąbce, był także interesujący. Jack, tak miał na imię. Była w nim pewna bezradność, która przemawiała do niej. Czowała, że Indy coś ukrywa. To było tak, jakby pancerz ochronny twardniał wokół ludzkich uczuć, a ona chciała wiedzieć, co się za nim kryje.

— W porządku, jeśli lubisz mężczyzn. Już czas, aby

pomyśleć o znalezieniu męża. Tego właśnie Bóg chce od swoich dzieci, gdy dorosną.

— Tatusiu, nie chcę wychodzić za mąż za kogokolwiek. Mówiłam ci już. — Wiedziała, że ojciec lubi, gdy tak mówi. Był dumny, że ciągle chce mieszkać z nim.

Zaśmiała się. Taksówka zatrzymała się przed hotelem.

— Jeszcze zechcesz, Katrino, jeszcze zechcesz. Wszystkie małe dziewczynki dorastają. Ale wołałabym, abyś przyjrzała się temu Jonesowi. Nie chciałbym, aby cię skrzywdził.

Gdy weszli do hallu, Zobolotsky udał się prosto do skarbcza i otworzył sejf z drewnem Arki.

— Co robisz, ojcze?

— Mam zamiar zanieść to do pokoju.

— Czy myślisz, że tak będzie bezpiecznie?

— Bóg nas ochroni.

Parę minut później Katrina siedziała na sofie i czekała na ojca. Wiedziała, że wyjęcie drewna z sejfu oznacza, iż ojciec ma pytania i chciałby, aby na nie odpowiedziała.

Gdy usiadł na krześle naprzeciwko niej, zdjęła pokrowiec chroniący drewno i ostrożnie je rozpakowała. Położyła na ręce. Nie było większe niż drewniany odłamek mierzący szesnaście cali długości i parę cali grubości. Po jednej stronie pokrywała go matowa, czarna żywica. Druga strona drewna była bardziej szorstka. Wyraźnie ukazywała, że kawałek ten został odłamany od czegoś większego.

Trzymała drewno w rękach i zamknęła oczy, gdy jej ojciec wygłaszał modlitwę:

— Dziękujemy d, Boże, za Twoją pomoc. Jesteśmy twoimi wiernymi sługami i chcemy d służyć ze wszystkich sił. Proszę, prowadź nas w kierunku, w którym powinniśmy iść. Zdajemy się na twoją mądrość i wierzymy w nią. Dziękujemy Ci, Boże, za wysłuchanie naszej pokornej prośby. Amen.

Katrina zbliżyła relikwię do piersi i kołysała delikatnie to w przód, to w tył. Oddychała głęboko, pozwalając myślom płynąć swobodnie. Zapadła w trans i nie minęło wiele czasu, gdy ujrzała obraz Jacka.

Najpierw zobaczyła tylko jego twarz. Spostrzegła, że patrzy na nią z dołu, powoli została wciągnięta na scenę. Widzenie było nie tylko wzrokowe. Mogła czuć i słyszeć jego obecność. To było tak, jakby rzeczywiście była z nim. I to w jakiej sytuacji!

Jego twarz pochylała się nad nią, wargi miał rozchylone. Schylił się bardziej i pocałował ją, a ona otworzyła swe usta szeroko i przytuliła go do siebie. Katrina położyła się, a on był na niej. Ręka pieściła jej pierś, po czym zsunęła się w dół, poniżej brzucha i wzdłuż bioder i ud.

— Katrina.

I wtedy zobaczyła, że to nie był Jack... To był Indy.

— Katrina...

Tym razem wiedziała, że słyszy głos ojca. Otworzyła oczy. Złapała oddech. Przyglądał się jej bacznie. Położyła drewno na stoliku od kawy, przed sobą.

— I co?

— Nie jestem pewna. — Wszystko wyglądało tak realnie. Ale dlaczego twarze się zmieniły? Co to oznaczało? Była zmieszana i wzburzona. A teraz była także zakłopotana. Ojciec siedział spokojnie, przyglądając się jej. Chciałaby wiedzieć, jakie dźwięki wydała i co się działo z jej ciałem.

— Musiałaś coś widzieć. Byłaś taka... napięta. Szeptiałaś coś.

Pomyślała, że nie tylko szeptiała.

— Ca powiedziałam?

— Nie mogłem zrozumieć, ale wiem, z kim rozmawiałaś.

— Wiesz?

— To był Bóg, prawda? — spytał Zobolotsky. — Rozmawiałaś z Bogiem.

— Jesteś pewien?

Nie lubiła sposobu, w jaki na nią patrzył, gdy niedowierzał jej. Kusiło ją, aby go zapytać, czy nie ma wątpliwości, że są to słowa Boga. Ale nie mogłaby tego powiedzieć.

— Tak myślę.

Powoli zawięła drewno w materiał i próbowała znaleźć sens tego, co się jej przydarzyło. Być może diabeł rozniecił w niej wielką namiętność. Nie chciała w to uwierzyć. Miłość nie była dziełem szatana. Wiedziała to bardzo dobrze. Nagle coś zaświtało jej w głowie. Arka była związana z przetrwaniem, tak samo jak miłość. Jedynym problemem było to, że nigdy tego nie przeżywała. Wyobrażała sobie miłość. Ale może zobaczyła to, co powinno się jej wydarzyć. Lecz z którym z nich?

Wtedy ojciec odezwał się:

— Nie sądzę, aby Jones był odpowiedni, Katrino. Jest w nim coś takiego, co mi się nie podoba. Zapakujmy to i wyjeżdżajmy.

— Ależ ojcze!

— Jeśli wizja nie jest jasna dla ciebie, on nie jest tym, kogo potrzebujemy.

— Ale myślę, że to jest jasne. To tylko...

— Tylko co?

— Nic.

Położył rękę na jej ramieniu.

— Zobaczysz, Katrino. Będę szukał w dalszym ciągu. Jest dużo uczelni w Nowym Jorku. Znajdziemy tam archeologa. I tym razem uwolnimy się od tych dwóch trockistów. Jestem pewien, że będziesz zadowolona.

Katrina nie odpowiedziała. Podeszła do szafy i zajęła się pakowaniem.

Obydwaj byli pokryci krwią i otoczeni śladami jatki. Shannon wziął na ręce ciało Harry'ego. Płakał i szeptał coś do ucha zmarłego, gdy Indy próbował pocieszać przyjaciela. Indy wiedział, że coś musi zrobić. Nie byli zabezpieczeni przed atakiem. Gangsterzy mogli znów się pojawić, zanim przybędzie policja. Pamiętał, co się stało w więzieniu, nie wierzył glinom.

— Jack, musimy wynieść się stąd. Szybko.

— O czym ty mówisz? Nie mogę nigdzie iść. Nie mogę po prostu opuścić moich braci.

— Pozwól im odejść. To nie przyniesie nic dobrego.

— Musimy im pomóc.

— Już nic nie możemy dla nich zrobić. Pomyśl o sobie. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Musisz wynieść się z Chicago.

— Gdzie mam iść?

— *Chodź ze mną do hotelu. Będziesz tam bezpieczny do rana. Zastanowimy się, co robić.*

Indy *chwycił* Shannona za ramiona i odciągnął od podziurawionego samochodu, w którym leżeli jego bracia. Z daleka usłyszeli syreny policyjne. Wozy jechały ulicą Comell do Pięćdziesiątej Trzeciej, a później przecięły także Park Avenue.

Zbliżał się trolejbus. Zgodnie z rozkładem jazdy — pomyślał Indy. Powinni być w dolnej części miasta za dziesięć minut. Skoczyli do trolejbusu w biegu. W środku było około dwunastu osób i wszyscy przyglądali im się uważnie. Indy spojrzął na swoją koszulę i ręce, a później na Shannona. Chryste! Ubrania i ciało mieli zbryzgane krwią. Nie mogli tak się pokazać w Blackstone. Zatrzymano by ich po przejściu dziesięciu kroków i wezwano by policję.

— Wysiadamy — rozkazał Indy, gdy trolejbus zwolnił.  
— Co się stało, młodzieńcy? — spytała starsza kobieta.  
— Rzeźnia, proszę pani — odpowiedział Indy. — Po prostu rzeźnia.

— Co zrobimy, Indy? — zapytał Shannon, gdy wyskoczyli z trolejbusu.

— Jeszcze nie wiem, ale musimy się umyć.

Wrócili do Jackson Park i skierowali się do basenu w pobliżu Pałacu Sztuk Pięknych. Dzień był pochmurny i zimny, więc park był prawie wyludniony. Indy wyjął chusteczkę do nosa, zamoczył ją w sadzawce i wytarł twarz i ręce, najlepiej jak umiał. Wyjął chusteczkę i podał Shan-nonowi, który również próbował zmyć krew.

Shannon oddał mu chusteczkę i popatrzył pustym wzrokiem. Był w szoku. Musieli dostać się do hotelu. Twarze mieli czyste, ale ich ubrania były w okropnym stanie. Musieli coś z tym zrobić, zanim pójdą do Blackstone.

Wtedy natknęli się na dwóch facetów w trenczach. Tych samych, których Indy widział koło muzeum. Kim, do diabła, byli i co robili tutaj? Gdy razem z Shannonem obchodzili sadzawkę, Indy obserwował mężczyzn kątem oka i przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Masz broń, Jack?

Shannon skinął głową.

— Dobrze. Widzisz tych facetów tam? Gdy powiem „teraz”, wyceluj w nich. Słyszysz mnie, Jack?

— Słyszę — odpowiedział, po czym poszedł za Indym w kierunku tajemniczej pary.

Gdy się do nich zbliżyli, mężczyźni w trenczach szybko się odwrócili.

— Cześć, przyjaciele. Ile chcecie za swoje płaszcze — zawołał Indy.

Mężczyźni zatrzymali się.



— Co? — zapytał jeden z nich. Indy zauważył, że są bliźniakami.

— Potrzebne nam są wasze płaszcze przeciwdeszczowe.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział jeden z nich łamaną angielszczyzną.

— Nie sprzedajemy ubrań na ulicy — dodał drugi, po czym chcieli odejść.

— Zdejmujcie płaszcze. Szybko!

Mężczyźni stanęli i odwrócili się. Choć Indy był silny i dobrze zbudowany, nie miał szans z tymi facetami. Byli ciężsi i wyżsi, a ich szyje były tak szerokie, jak talie.

Indy zerknął na Shannona.

— Teraz — powiedział.

Bliźniak numer jeden złapał Indy'ego za kołnierz koszuli.

— Być może nadszedł czas, abyś poczuł własną krew.

Nagle w dłoni Shannona pojawiła się spluwa wymierzona w stronę bliźniaka numer jeden. Końcem lufy strącił mężczyźnie kapelusz z głowy, odsłaniając łysinę.

— Chodźcie tu i odsuńcie się, jeśli chcecie wyjść z tego cało.

Zrobili, jak kazał.

— Teraz obydwaj zdejmijcie płaszcze albo zrobię w nich mnóstwo dziur, z wami w środku.

Indy był zaskoczony zwrotem w stanie Shannona. Zdawało się przez chwilę, że bliźniacy rzucają się na niego, ale on już wydobył się z szoku i letargu.

Mężczyźni zrzucili trencze.

— Połóżcie je u swoich stóp — rzucił Indy. — Teraz powoli idźcie, ruszajcie się.

Gdy bliźniacy odeszli, Indy podniósł płaszcze.

— Chodźmy stąd.

Bez słowa wybiegli z parku i zatrzymali się dopiero

przy Lake Park Avenue. Naciągali trence, gdy zauważyli, że nadjeżdża następny trolejbus. Obydwaj ginęli w zbyt dużych płaszczach przeciwdeszczowych, ale to było bez znaczenia.

Weszli do trolejbusu. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Dziesięć minut później byli w hallu w Blackstone. Płaszczce mieli ściągnięte paskami, a ręce trzymali wewnątrz głębokich kieszeni, ostrożnie unosząc brzegi trenczy nad dywanami.

Winda stała na parterze.

— Uszanowanie panom.

Indy zobaczył, że był to portier, który teraz obsługiwał windę.

— Cześć, Frankie. Myślałem, że pracujesz przy drzwiach.

— Jestem człowiekiem, który ma wiele talentów — zareplikował Frankie. — Dzisiaj jeżdżę windą. Ale mówiąc prawdę, siedzenie w tym niewielkim pomieszczeniu przez cały dzień jest nudne. Proszę nie mówić szefowi, że tak powiedziałem.

Gdy winda ruszyła, Indy'emu przyszła do głowy pewna myśl. Wydawała się oczywista. Shannon na pewno się na to zgodzi.

— Frankie, rozmawiałem dziś rano z młodą damą, *Miss Zabolotsky*. Czy wiesz w którym pokoju mieszka?

Frankie skinął głową.

— Oczywiście. Ona i jej ojciec mieszkają w apartamencie nad panem.

Winda zatrzymała się i skierowali się do pokoju Indy'ego.

— Jack, dlaczego obydwaj nie mielibyśmy pojechać do Turcji?

— Chciałbyś, abym pojechał z tobą?

— Dlaczego nie? Znasz lepsze miejsce do ukrycia się? I nie zapominaj, Katrina jedzie z nami.

— Prawda. To godne uwagi. Oczywiście, jeśli Zobolotsky zechce mnie wziąć.

Indy otworzył drzwi do apartamentu.

— Jeśli chce mnie, będzie musiał wziąć także ciebie.

Proste.

Shannon klepnął go po plecach.

— Wspaniale, jesteś prawdziwym przyjacielem!

— Oczywiście, że jestem. Chodź. Zmienimy ubrania i pójdziemy na górę porozmawiać.

# 10

## UCIECZKA

Katarina przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, gdy czekali na windę. Strzałka nad drzwiami przesunęła się z pierwszego na trzecie piętro i zatrzymała się. Znowu usłyszała szum silnika i strzałka powędrowała ku czwórce.

Nawet nie przejęła się dyskusją z ojcem. Nic by nie osiągnęła. Był uparty... Nie rozumiała jednak, dlaczego tak nagle zmienił zdanie o Indym. Może sprawił to wyraz jej twarzy, a może jakieś słowo, które wyszeptała w transie. Co sprawiło, że zrezygnował z Indy'ego?

W końcu drzwi się otworzyły i windziarz wpuścił ich do środka. To był ten sam młody człowiek, który towarzyszył jej do pokoju tej nocy, gdy wyjęła drewno z sejfu.

— Czy mogę pani pomóc, panno Zabolotsky?

— Nie, dziękuję. To jest lekkie.

Miała torebkę i małą paczkę, podczas gdy jej ojciec niósł torbę z drewnem Arki i walizkę. Po pozostałe bagaże posła chłopca.

Gdy drzwi zamknęły się i winda ruszyła, poczuła na sobie wzrok windziarza. Rzuciła mu ponure spojrzenie, aby wiedział, że nie lubi, gdy ktoś jej się przygląda.

— Panna Zabolotsky?

— Tak — odpowiedziała sztywno, a w myśli dodała: Tylko nie powiedz ani słowa o tamtej nocy.

— Ktoś pytał mnie o panią.  
— Kto? — spytał Zobolotsky.  
— Pan Jones.  
— Kiedy tu był?  
— On tu jest teraz.  
— Gdzie?  
— Katrino, wystarczy. Nie ma potrzeby, aby mówić mu więcej. To tylko skomplikuje sprawę.  
— Ależ tatusiu, o co ci chodzi?  
— Nie sądzę, aby miał dobry wpływ na ciebie.  
Kusiło ją, by powiedzieć coś o tym, jak dorastają małe dziewczynki, ale nie mogła tego robić przy windziarzu.  
Drzwi otworzyły się. Zobolotsky chwycił walizkę i poprowadził Katrinę do pulpitu.  
— Pan Jones będzie niezadowolony — powiedział do siebie Frankie. — Wiem to.

Indy próbował się śmiać, gdy patrzył na Shannona, który zakładał spodnie o parę cali za krótkie na niego i za ciasną koszulę.

— Musisz to nosić, dopóki nie kupimy nowych ubrań. Chodźmy na górę.

Skierowali się do hallu i czekali na windę.

— Piętro wyżej — powiedział Indy. Frankie zrobił grymas.

— Czy pan jedzie zobaczyć się z panną Zobolotsky?

— Coś się stało?

— Tak, wyjechali piętnaście minut temu i nie ma ich. Indy przytrzymał drzwi.

— Czy powiedzieli, dlaczego wyjeżdżają tak nagle?

— Nie, ale wydaje się, że pan Zobolotsky obawia się czegoś.

— Czy wiesz może, gdzie mogli pójść?

- Nie powiedzieli, ale według mnie na dworzec kolejowy.
- Dzięki — Indy i Shannon szybko wrócili do pokoju.
- Chciałbym wiedzieć, czego się boją — powiedział Shannon.
- Znajdziemy ich. Spakuję się i będę gotów za pięć minut.
- Ale ja nie mam żadnych rzeczy — zaprotestował Shannon.
- Świetnie. Pomożesz mi nieść moje.

Katrina siedziała posepnie przy oknie, gdy konduktor po raz ostatni ogłaszał odjazd pociągu. Indy powinien tu być razem z nimi. Ale już jest za późno. Wyjeżdżali bez niego i to było tak, jakby mu powiedzieli, że nie jest im więcej potrzebny.

Bieg wydarzeń spowodował, że popatrzyła inaczej na planowaną wyprawę. Jeśli myliła się co do Indy'ego, to w takim razie myliła się we wszystkim. Może myślała, że Indy jest odpowiednią osobą, ponieważ jest młody, przystojny, a te same cechy spowodowały, że nie chciał go jej ojciec. A może to, że w ogóle powiedziała o powrocie ojca do Turcji i wejściu na Ararat, było jedynie wynikiem tego, że zdawała sobie sprawę, jak on bardzo pragnie dotrzeć do Arki Noego. Możliwe, że nie da się przewidzieć wszystkiego.

A jeśli relikwia z Arki jest tylko kawałkiem starego, spalonego drewna, a jej wizje są wyłącznie powrotem do dziecięcych fantazji? A jeśli nie ma Arki Noego? Ale tata nie mógłby kłamać. Musiał to widzieć. Dopóki...

Coś w historii ojca przeszkadzało jej. To było coś, o czym wiedziała, a jednocześnie nie pasowało do kontekstu.

Nie trwało długo, jak Indy spostrzegł, że szanse znalezienia Zobolotsky'ego i Katriny są niewielkie. Zbliżał się pierwszy weekend lata i dworzec kolejowy był tak zatłoczony, że wydawało się, iż wszyscy mieszkańcy Chicago chcą się wydostać z miasta.

— Jeśli nie zobaczymy ich w ciągu najbliższych paru minut, wskoczmy do jakiegokolwiek pociągu i wydostaniemy się stąd — zdecydował.

— Pozwól, że kupię sobie parę rzeczy — odrzekł Shannon. — Muszę pójść do klubu i wziąć trochę pieniędzy. Nie mogę wyjechać z pustymi rękami.

— Jack, nie bądź głupi. — Szli wzdłuż peronu, za gronem podróżnych, którzy wsiadali do pociągów po ich obydwu stronach. — Jeżeli wrócisz do klubu, będziesz nieboszczykiem. Możemy kupić ci ubrania w innym mieście. Wiesz, że sprzedają odzież nie tylko w Chicago.

Shannon zignorował sarkastyczną uwagę Indy'ego.

— Capone i jego goryle prawdopodobnie przyczaili się. Nie będą mi przeszkadzać.

— Oj, Jack. Z tego co pamiętam, Capone powiedział, że nigdy nie grałeś w jego sztuce. To była zasłona. Wierzę tym facetom. Myślę, że dotrzymują słowa.

Shannon potrząsnął głową.

— Nie wiem, Indy. Gdzie jedziemy? Do nowego Jorku?

— Do diabła, nie! Nowy Jork będzie dla ciebie jak Chicago albo nawet gorzej.

— Słucham cię. Mówisz, jakbyś był jednym z braci Shannonów. Boże, w końcu cię zepsułem.

— Nie przejmuj się tym. Mam własne zdanie na temat gangsterów. Wiesz o tym.

Indy opowiedział Shannonowi o Julianie Rayu, nowojorskim

bankierze i gangsterze, o pułkowniku Fawcecie, o Victorze Bernardzie...

— Jeśli nie do Nowego Jorku, to gdzie jedziemy? — spytał Shannon, jakby Nowy Jork był jedyną możliwością.

— Mam pomysł. Dlaczego nie mamy pojechać do Upper Peninsula w Michigan? Wiesz, po drugiej stronie jeziora. Weźmiemy domek w lesie, na krótko.

— A co zrobimy, aby zarobić trochę pieniędzy? Będziemy ścinać drzewa? Zapomnij o tym. Znasz mnie. Lubię miasta.

Indy już miał coś odpowiedzieć, gdy nagle spostrzegł znaną mu twarz. Był to jeden z goryli Ala Capone, ten który uderzył go w więzieniu.

— Spójrz do tyłu, po lewej stronie, w drugim samochodzie.

— Widzę go. Spostrzegłem go już przedtem. Powinniśmy pojechać tym o pierwszej osiemnaście.

— Dobry pomysł.

Zawrócili i zaczęli spacerować, nie śpiesząc się, aby nie zwracać niczyjej uwagi. Przeszli na następny peron, gdzie pociąg gwizdał i buchał parą, jakby już odjeżdżał.

Konduktor krzyknął: „Proszę wsiadać” i wymienił listę miast na wschodzie, kończąc na Nowym Jorku.

Gdy szli peronem, pociąg ruszył powoli. Jeśli Zobolotsky był gotów, aby udać się do Turcji z archeologami lub bez nich, musiał jechać do Nowego Jorku. Lecz Zobolotsky i jego wyprawa zeszły na drugi plan. Indy chciał po prostu przeżyć.

Shannon pociągnął Indy'ego za ramię.

— Zobacz, coraz więcej kłopotów przed nami.

Peron był zatłoczony, ale Indy'emu wystarczył moment, aby się zorientować. To nie były zbiry Ala Capone, lecz bliźniacy. Zmierzali właśnie w ich stronę.

— Bardzo niedobrze. Zostawiliśmy płaszcze od deszczu



w hotelu — zażartował Shannon i nie możemy zrobić interesu.

— Nie wydaje mi się, aby byli w typie handlowców. Nie wiem, kim są, ale chyba nie lubię ich.

Indy obejrzał się przez ramię i spostrzegł, że bliźniacy zbliżają się. Nagle zauważył, że dwaj gangsterzy nadchodzą z przeciwnego kierunku.

— Wydaje mi się, że mamy poważne kłopoty, Jack. — Pociąg nabierał szybkości. Ostatni wagon zbliżał się i była to ich jedyna szansa. — Skacz do wagonu! — wrzasnął Indy.

Obydwaj zaczęli biec za pociągiem. Gdy ich mijał, Indy skoczył i złapał za barierkę. Rzucił torbę na tylną platformę wagonu i wyciągnął rękę do Shannona, który jeszcze biegł. Bandyci byli tuż za nim. Indy wychylił się i wyciągnął rękę, jak mógł najdalej. Udało mu się chwycić Shannona i wciągnąć na najniższy stopień.

Jeden z gangsterów usiłował wydostać się na platformę w chwili, gdy Rosjanin zrobił to samo z drugiej strony. Dwaj mężczyźni zderzyli się i upadli na peron, a biegnący za nim kompani runęli na nich.

— Do zobaczenia, chłopaki.

Indy sam nie wiedział, dlaczego tak krzyknął, ale jeśli chodzi o Rosjan, to miał rację, zobaczyli ich niebawem.

Katrina rozpaczliwie wyglądała przez okno. Nagle ujrzała Rosjan na peronie, obok następnego pociągu.

— Spójrz, tatusiu. Znow ci dwaj bliźniacy.

— Właśnie ci, których nie potrzebujemy — mruknął.

Mężczyźni nie zrobili im nic złego — myślała Katrina, ale tata na pewno się nie mylił. Prawdopodobnie byli szpiegami bolszewików. W tym momencie, ku jej zaskoczeniu, jeden z nich wskazał coś na peronie i zamiast wsiadać do pociągu, oddalił się. Obejrzała się.

— Co oni robią? — spytał Zobolotsky.

— Nie mogę zobaczyć.

Pociąg ruszył powoli. Cokolwiek się działo, zaczynali mieć przewagę. Jeszcze parę sekund i uwolnią się od nich.

— Widzę Indy'ego! — prawie krzyknęła. — On tu jest.

Indy i jeszcze drugi mężczyzna biegli za pociągiem, a bliźniacy ścigali ich. Zobaczyła jeszcze dwóch mężczyzn. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała. W jaki sposób dowiedzieli się o Indym i kim był drugi mężczyzna? Kto był z Indym? Mignął jej tylko, ale wyglądał znajomo.

Szarpnęła za okno, ale nie mogła otworzyć go wystarczająco, by wychylić głowę. Przyłożyła policzek do szyby. Nie widziała już ani Indy'ego, ani drugiego mężczyzny.

— Co się stało? — spytał Zobolotsky.

— Nie wiem. Nie, tam są.

— Kto?

— Rosjanie. Nie zdążyli wsiąść, uwolniliśmy się od nich.

— A Jones?

— Nie widzę go, tatusiu. Ale wydaje mi się, że jest w pociągu. Był z drugim mężczyzną. Myślę, że go znam. Wiem, kto to jest. To ten człowiek z kościoła, to Jack.

Katrina wiedziała, że ojciec jest człowiekiem ostrożnym, ale teraz, powodowana melancholijną ekspresją, mogła sądzić, że stał się zbyt ostrożny. Chwytał klamkę.

— Poczekaj tu. Zaraz wrócę.

— Wiesz, Indy, nie jest dobrze. Ten pociąg nie dowiezie nas do Upper Peninsula w Michigan — powiedział Shannon, gdy szli wzdłuż wagonu, szukając wolnych miejsc.

— Może to nie był najlepszy pomysł, ale w końcu tak chcieli przeznaczenie.

Indy zatrzymał się gwałtownie i Shannon wpadł na niego. Zobolotsky właśnie wyszedł z przedziału i stał pięć stóp

przed nimi. Przyglądał się uważnie i nie wydawał się ani trochę zdziwiony.

— Wygląda na to, że mamy specjalny sposób wpadania na siebie — odezwał się Indy.

— Masz rację — odrzekł Shannon, nie zauważywszy, że Indy mówi do kogoś innego.

— Co panowie tu robią? — spytał Zobolotsky.

— Właśnie próbujemy znaleźć wolne miejsca.

Zobolotsky skinął głową z powagą i popatrzył na Indy'ego i Shannona.

— Spotkałem pana w kościele któregoś dnia. Rozmawiał pan z moją córką.

— Zgadza się — odpowiedział Shannon. — Czy ona jest tutaj z panem?

Indy postyszał gorliwość w jego głosie i rzucił mu ostre spojrzenie.

— Prosimy do naszego przedziału — zaproponował Zobolotsky.

— To brzmi interesująco — ożywił się Shannon.

Gdy Zobolotsky poszedł przodem, Indy odwrócił się do Shannona.

— Nie przejmuj się — wyszeptał.

Doszli do przedziału, Zobolotsky wszedł do środka pierwszy, ale zostawił drzwi otwarte dla Indy'ego i Shannona.

— Wydaje mi się, że pamiętają panowie Katrinę?

Indy pomyślał, że nie mógłby jej zapomnieć. Patrzyła na nich i przysięgała, że się zarumieniła.

— Widziałam, jak panowie wskakiwali do pociągu. — Popatrzyła na Shannona. — Jack, jak się masz? Nie wiedziałam, że się znacie.

— Spotkaliśmy się — spojrzenie Shannona było utkwione w Katrinie.

— To był prawdziwy wyścig z pociągiem — powiedział Indy, gdy usadowił się naprzeciwko dziewczyny. Shannon chciał usiąść obok Katriny, ale Zobolotsky kazał mu zająć miejsce przy Indym. A niech cię, Shannon — pomyślał Indy, gdy Zobolotsky usiadł przy córce.

— Domyślam się, że zdecydowaliście się wyjechać wcześniej — zwrócił się do Zobolotsky'ego, a ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, ciągnął dalej: — Wydaje mi się, że wydarzyło się coś z łyśymi bliźniakami. Czy mam rację?

— Są szpiegami bolszewickimi. Trockistami. Musiałem uciekać przed nimi.

— Mieliśmy się z wami skontaktować po przyjeździe do Nowego Jorku — powiedziała Katrina.

Indy skinął głową, ale zastanowił się nad tym, jak by to zrobili, skoro nie powiedział im, gdzie mieszka.

— Bardzo się cieszymy, że jesteście tutaj. Prawda, ta tусiu?

Zobolotsky popatrzył na nich, ale nic nie powiedział. Indy przełknął ślinę.

— Nie interesują mnie żadne polityczne batalie z bolszewikami, lecz mój przyjaciel może wam pomóc. Co ty na to, Jack?

Shannon nie mógł oderwać oczu od Katriny.

— O co ci chodzi, Indy?

— Powiedziałem, że możesz zapewnić ochronę.

— O tak, oczywiście.

Zobolotsky usztywnił się.

— Na jakiej podstawie sądzicie, że wezmę was dwóch na Ararat? To nie są wakacje.

— Ponieważ potrzebuje pan archeologa i nie ma pan więcej czasu. Obawia się pan przeciwników i potrzebuje ochrony. To dlatego przyszedł Jack.

Indy nie wiedział, czy Zobolotsky rzeczywiście nie miał

czasu, ale mówił z całkowitym przekonaniem, żywiąc nadzieję, że jego spryt okaże się skuteczny.

Zobolotsky przyglądał się Shannonowi, który robił wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę.

— On nie wygląda na kogoś, kto mógłby zapewnić ochronę...

— Czy pan żartuje? — zareagował Indy. Wiem, że mieszkacie w San Francisco i jestem pewien, że musieliście słyszeć o gangu Shannonów z chicagowskiego South Side.

Zobolotsky był zakłopotany.

— Myślę, że słyszałam o nich, ojciec — powiedziała Katrina i uśmiechnęła się do Shannona.

— Jack jest jednym z braci. Zna się na sprawach ochrony.

— Naprawdę potrzebujemy kogoś takiego — głos Katriny był miękki — to może być bardzo niebezpieczne.

Zobolotsky zastanawiał się przez moment, później pochylił się i poklepał córkę po udzie.

— W porządku, obydwaj możecie jechać z nami. Będzie my potrzebowali nadzwyczajnej pomocy.

Indy i Shannon obserwowali, jak dłoń Zobolotsky'ego spoczywa na udzie Katriny i obydwaj mieli te same myśli: każdy z nich pragnął, aby to była jego ręka.

## ŻYCIE NA BAZARZE

*Istambuł — dwa tygodnie później*

*Nefis... Simit, Simit.*

Te słowa huczały w głowie Indy'ego, gdy przewracał się na łóżku. Ktoś krzychał obok ich hotelu.

— Obudziłeś się? — zapytał Shannon.

— Niezupełnie.

— Spójrz na to — Shannon wychylał się przez okno. Widok Istambułu był niesamowity; linia kopuł i minaretów rysowała się w pomarańczowych promieniach porannego słońca. Ale to nie zaabsorbowało Shannona.

*Nefis... simit, simit.*

Po drugiej stronie ulicy z okien opuszczano koszyki na sznurkach a jakiś człowiek wkładał do nich przedmioty w kształcie precelków.

— Obudziłeś mnie, abym to zobaczył?

— Co on sprzedaje? — spytał Shannon.

— Nie wiem. *Simits*. Może to rodzaj chleba.

Indy spostrzegł dziecko opuszczające wiadro z przyległego budynku.

— Co to jest *bu nedir*?

Dzieciak odwrócił głowę i rzucił Indy'emu zagadkowe spojrzenie.

— O, Anglicy. Która godzina?

— Za wcześnie. Co on wkłada do wiadra?

— Dzień dobry. Jak się macie dzisiaj. — Dzieciak mówił łamaną angielszczyzną. — Turcja jest piękna, prawda?

— On unika twoich pytań — powiedział Shannon i zaśmiał się.

W tej chwili jakaś ręka zatrzasnęła okno i dzieciak zniknął z pola widzenia. Po pewnym czasie jedenasto- czy dwunastoletnia dziewczynka wychyliła się i wciągnęła wiadro. Spojrzała na Indy'ego i uśmiechnęła się.

— Mój mały braciszek nie zna angielskiego, jedynie zwroty. Czy będziecie mieli *simits* na śniadanie?

— A co to jest?

— Gorący chleb. Jest bardzo dobry. Na pewno będzie wam smakować.

— Gdybym miał koszyk. Dziewczyna wciągnęła wiadro przez okno.

— W porządku. Przyniosę *simits* pod wasze drzwi.

— Nie możesz tego zrobić.

— O tak. Jesteście *misafir*.

— Okay. *Tesekkur ederim*.

Indy odwrócił się od okna.

— Śniadanie w drodze.

— Co jej powiedziałaś? — spytał Shannon, patrząc zdziwiony.

— Przyniesie nam *simits*, ponieważ jesteśmy gośćmi w jej kraju. Powiedziałem, że jej dziękuję.

— Nie wiedziałem, że mówisz po turecku.

— Wystarczająco, aby się dogadać — powiedział Indy, wciągając ubranie.

— Naucz mnie czegoś.

— Dobrze. *Turkce bilmiyorum*.

— *Teurk-ehoch bihi-mih-yohrum* — powtórzył Shannon. —

Co to znaczy?

— Nie mówię po turecku.

— Wspaniale. W razie, gdyby były jakieś wątpliwości co do tego. Prawda?

— Masz rację.

Parę minut później rozległo się pukanie do drzwi, a gdy Indy otworzył, stała w nich dziewczynka, trzymając tacę z herbatą i *simits* posypany ziarnem sezamowym. Była ubrana w postrzępioną sukienkę, a długie ciemne włosy miała splecione w warkocz.

— Mam nadzieję, że lubi pan Turcję — powiedziała i postawiła tacę.

Indy podziękował jej i wręczył trochę drobnych, które wsunęła do kieszeni.

— Jak masz na imię? — spytał Shannon.

— Sekiz.

— Ależ to liczba — zdziwił się Indy.

— Oczywiście, osiem, ponieważ jestem ósmym dzieckiem w rodzinie.

— Sporo dzieci — orzekł Shannon.

— Chodzisz do szkoły? — spytał Indy.

— Nie, to teraz jest niemożliwe. Pracuję z moim ojcem w sklepie z wyrobami ze skóry, na bazarze.

— Czy sprzedajesz buty? — spytał Shannon. Kupiłbym.

— Nie, buty są na innej ulicy. Sprzedajemy torby. Także je robimy.

— Lubisz pracę?

Pokręciła głową.

— Pewnego dnia zostanę przewodnikiem. Mogę wska zać wam wszystkie najlepsze miejsca, warte obejrzenia, jeśli chcecie.

Nagle, niczym duch, za dziewczyną pojawiła się Katrina.

— Czy przeszkadzam w czymś?

— Nie, wejdz — Indy był zaskoczony jej widokiem.

Katrina odzywała się niewiele w czasie podróży. Trzymała



się blisko ojca albo spędzała czas samotnie w kabinie podczas podróży z Nowego Jorku do Aten. Próby nawiązania kontaktu kończyły się zazwyczaj tym, że Katrina przepraszała go z tej lub innej przyczyny. Shannon też nie miał więcej szczęścia w pogłębianiu znajomości, a jej zachowanie zupełnie zbiło go z tropu.

— Mamy śniadanie i prowadzimy małą konwersację — powiedział Shannon. — To jest Sekiz. Mieszka w budynku obok.

— *Gunaydin* — Katrina uśmiechnęła się do dziewczynki.

— Dzień dobry — odpowiedziała Sekiz po angielsku.

Katrina zaśmiała się, po czym zwróciła do mężczyzn.

— Chciałam was poinformować, że idziemy załatwiać pozwolenie i transport. Tata ma nadzieję, że wszystkie sprawy papierkowe załatwimy dzisiaj, a najpóźniej jutro.

— Szkoda — powiedział Indy.

Chciał zobaczyć Istantbul, ale bał się chodzić po nim. W Atenach, gdy Zobolotsky odwiedzał rodzinę mieszkającą w centrum miasta, Indy i Shannon spędzali dnie, włącząc się wokół *city*, a większość nocy w tawernach, popijając *ouzo*. Z każdym drinkiem przypominali sobie inny incydent z czasów, gdy byli razem w Grecji, kilka lat wcześniej. Wznosili toasty za Grecję, przyjaźń, tajemniczą Katrinę i powtórne spotkanie z rodziną Zobolotskich. Nigdy Nie Kończące się Rodzinne Spotkanie — tak je nazywali.

To się po pięciu dniach skończyło, a teraz przebywali już w Istantbule, co wcale nie oznaczało, że byli gotowi do wspinaczki na Ararat. Poza sprawami papierkowymi musieli przemierzyć wzdłuż cały kraj, aby dotrzeć do tej góry. Turcja miała kształt buta, z Istantbulem w palcach i Araratem w obcasie.

— Potrzebujesz pomocy? — zapytał Indy po chwili.

— Tatusz powiedział, że najlepiej będzie, jak załatwimy

wszystko sami, żeby nie powodować zamieszania — uśmiechnęła się nieśmiało do niego. — Opowiem wam podczas obiadu. — Popatrzyła na Shannona. — Wam obydwóm.

— Czyż nie jesteśmy szczęściarzami? — powiedział Indy, gdy Katrina wyszła. — Dziś wieczorem wysłuchamy wszystkiego na temat tureckiej biurokracji.

— W końcu wyszła ze swojej skorupy — orzekł Shannon. — A to mi daje nadzieję.

Człowiek z cienkim wąsikiem od ucha do ucha stał przed hotelem i chrupał *simits*, słuchając jednocześnie mężczyzny rozmawiającego przed sklepem. Nazywał się Hasan i cieszył się ze zmiany koncepcji. Mężczyźni rozmawiali o potrzebie wprowadzenia alfabetu łańskiego zamiast arabskiego i o znaczeniu europeizacji kraju. Większość ludzi — Hasan zaobserwował to — myślała, że modernizacja Turcji to dobry pomysł, ale teraz, gdy to się już działo, mieli inny pogład. Hasan był zadowolony słysząc to. Chociaż kształcił się w Londynie, był przywiązany do tradycji i nie uznawał zmian, które następowały w Turcji w ciągu kilku ostatnich lat. Był ich ofiarą, ale walczył do końca.

Uwagę Hasana przyciągnął starszy mężczyzna i młoda kobieta. Wychodzili z hotelu. Skinął ku innemu mężczyźnie, stojącemu niedaleko drzwi, a ten podążył za wychodzącą parą. Hasan czekał cierpliwie, aby dowiedzieć się, co zrobią cudzoziemcy. Czekał od wielu dni na przybycie członków wyprawy... Plan był gotów. Nie wiadomo jedynie, kiedy wszystko zostanie wykonane.

Po śniadaniu Indy i Shannon skierowali się do Covered Bazaar. Był to labirynt malutkich sklepików, restauracji, meczetów i warsztatów. Gdy przekraczali jedną z bram, przeszli pod wielkim złotym emblematem z herbem — pa-

miątką z czasów Imperium Osmańskiego. Przypominała ona, że dawne sprawy ciągle, żyją. Mimo pomieszanego szyku wąskich, krętych ulic, które wychodziły jedna z drugiej, był pewien porządek na rynku. Na jednej z ulic przeszli obok tuzina sprzedawców naczyń miedzianych. Na innej z kolei jedynym sprzedawanym towarem był Koran. Następną była założona zwojami kolorowych tkanin. I tak ulica po ulicy, kram po kramie. Były tam rzędy krawców sprzedających skóry owcze, aleje bransolet i paciorków i jedyna w świecie ulica, gdzie w ekskluzywnych sklepach sprzedawano portrety Mehmeda II Zwycięzcy.

— Pamiętam, że Zobolotsky powiedział, iż to nie są wakacje, ale nie mogę pozbyć się uczucia, że jestem na wakacjach — powiedział Shannon ponuro.

— Ciesz się chwilą, która trwa.

— Ale nie lubię być turystą. Nie czułem tego, dopóki była Katrina. Wtedy mi to wrażenie nie przeszkadzało.

Czasami Shannon zachowywał się jak dziecko, więc Indy nie bardzo przejmował się tym, co mówi przyjaciel. Chciał wyjechać, tak jak Shannon, ale nie przeszkadzał mu Istambuł. To było żywe, przyjacielskie miasto, bardziej chaotyczne niż miasta zachodnie, ale za to przystępniejsze dla cudzoziemców. Mieszkańcy Istambułu chętnie zatrzymywali się i odpowiadali na pytania, jeśli nawet nie znali odpowiedzi i sami musieli pytać. Nie oczekiwali znajomości ich języka, ale byli zadowoleni, jeżeli znało się parę tureckich słów. Pamiętał Turcję z czasów, gdy był dzieckiem, a teraz cieszył się, że jego dziecięce wrażenia okazały się prawdziwe.

Gdy doszli do alei szewców, Shannon zatrzymał się przed straganem z obuwem. Byli zapraszani do sklepów na filizankę miętowej herbaty, a gdy wiekowy właściciel pomagał Shannonowi założyć buty, jego syn próbował namówić Indy'ego do kupna innej pary. Kiedy Indy nie wykazał

zainteresowania, ciemnooki młody mężczyzna przysunął się bliżej do Indy'ego i zaczął zachwalać specjalne zalety obuwia:

— Wie pan, mają taką wkładkę ze skóry, że można w nich ukryć różne rzeczy, aby nie mogli ich znaleźć celnicy. Rozumie pan?

Indy nie miał pojęcia, co miałyby ukrywać w butach.

— Proszę mi dokładniej wyjaśnić.

— Myślę, że powinno to pana zainteresować. Mogę przyszyć pakiety z proszkiem pod podszewkę, a pan zarobi duże pieniądze, gdy wróci pan do swojego bogatego kraju. Rozumie pan?

— Z jakim proszkiem?

— Heroina. Wie pan...

— Nie, dziękuję — Indy odstawił herbatę. — Jack, jestem pewien, że nie kupisz żadnych butów ze specjalnymi wkładkami.

— To jest ostatnie z moich życzeń — powiedział Shannon. — Tutaj nie robią mojego rozmiaru.

Syn właściciela nie chciał się poddać.

— Spójrzcie na to — pokazał Indy'emu wierzch buta, rozkręcił obcas i wyjął długie na trzy cale ostrze ukryte w specjalnym rowku.

— To jest godne zainteresowania — Indy przyjrzał się obcasowi. — Mógłbyś dorobić coś takiego do mojego obcasa?

Młody szewc uśmiechnął się.

— Zanim powiesz „Ali Baba”.

Odwiedzili jeszcze kilka sklepików, nim Shannon znalazł w końcu parę butów dla siebie. W każdym częstowano ich filiżanką herbaty i gdy Shannon robił zakupy, otaczało go grono gapiów, którzy śledzili każdy jego ruch.

— Wydaje mi się, że jesteśmy tu dzisiaj główną atrakcją.

— Oni nie codziennie widują wysokich, chudych facetów z rudymi włosami.

— Tak mi się wydaje. Chciałbym mieć moją trąbkę. Dałbym im koncert chicagowskiego jazzu.

— Na pewno. Chodźmy lepiej do restauracji. — Gapie podążyli za nimi.

— Myślisz, że mamy kłopoty? — zapytał Shannon, patrząc przez ramię.

— Nie. Są po prostu ciekawi. Teren jest bezpieczny.

— W takim razie dlaczego mamy broń i bat, i dlaczego zainstalowałeś sobie nóż w butcie?

— Na wypadek, gdybym nie miał racji. — Indy odwrócił się, a wszyscy patrzyli na niego, jakby robił sztuczki. — Gdzie jest dobra restauracja na Covered Bazaar? — spytał mężczyzny stojącego najbliżej.

Turek myślał przez chwilę, a wszyscy byli cicho. Potem ktoś coś powiedział i nagle przyglądający się zaczęli mówić, jakby wybieranie restauracji było ważnym tematem do dyskusji. W końcu jakiś mężczyzna uciszył wszystkich.

— Nazywam się Hasan — powiedział łamaną angielsz czyną. — Zaprowadzę was do bardzo dobrej restauracji na ulicy Kahvehane.

Indy był ciekaw, czy ten facet nie miał nic lepszego do roboty, ale spostrzegł, że ocenia go według zachodnich kryteriów, które tu nie miały znaczenia.

— W porządku. Chodźmy.

Gdy przechodzili przez rynek, człowiek zapytał, po co przyjechali do Turcji. Był muskularny, po trzydziestce, z twarzą ozdobioną wielkimi wąsami, które kręciły się na policzkach i przechodziły w bokobrody. Miał duże, ciemne oczy, długi podbródek i haczykowaty nos.

— Mamy zamiar wspinać się w górach — powiedział Indy bez wahania.

— Dlaczego będziecie wspinać się w górach? — zapytał Hasan.

— Aby znaleźć łódź — zażartował Indy.

— Indy! — potrząsnął głową Shannon.

— Coś złego? — spytał Indy pod nosem.

— Zbyt wiele oczu patrzy i zbyt wiele uszu słucha.

Gdy przybyli do restauracji, Indy sięgnął do kieszeni, ale Hasan przytrzymał jego rękę i potrząsnął głową.

— Dziękuję za napiwek. Jesteście gośćmi w moim kraju.

— *Tesekkur ederim* — powiedział Indy.

— Lokal był zatłoczony, tak więc zajęli stolik na tarasie.

— Miły facet, ten Hasan.

Shannon przejechał ręką po kasztanowej czuprynie.

— Chciałbym wiedzieć...

— Co chciałbyś wiedzieć?

— Czego szuka. Nie wierzę mu.

— Dlaczego?

— Jego oczy.

— Nie przejmuj się. Nie przywykłeś do Turków. Shannon patrzył na pobliskie sklepy i na ruch uliczny.

— Nie zrozum mnie źle. Lubię to miejsce. Atmosfera bazarowa przemawia do mnie. Ale rozpoznam nieufny charakter, gdy go spotkam.

## 12

### HAGIA SOPHIA

Za radą kelnera obydwaj zamówili *cerez kebabi tircassian*, danie składające się z grochu, baraniny, ziemniaków, pomidorów i pieprzu oraz sosu. Do tego dołączono pilaw, fasolę i chleb.

Indy zauważył bruzdę pomiędzy brwiami Shannona i zapytał, czy smakuje mu to jedzenie.

— Jest smaczne. Właśnie zastanawiałem się nad tym, dlaczego zmieniono nazwę tego miasta z Konstantynopol na Istambuł. Jeśli zmienią nazwę Chicago, ludzie zwariują.

— *Stin poli* — powiedział Indy, jakby to tłumaczyło wszystko.

— Co to znaczy?

— To po turecku w mieście. Ten zwrot był używany tutaj tak często, że ludzie przestali mówić: w Konstantynopolu, a *stin poli* został Istambułem, kiedy Imperium Osmańskie upadło po wojnie.

— Dlaczego imperium się rozpadło?

— Dlaczego imperia upadają? Świat się zmienia. Konstantynopol był centrum wielkiej potęgi w ciągu wieków, najpierw w czasach Bizancjum, później, gdy rządili Turcy Osmańscy.

— Co uczyniło to miasto tak potężnym? — spytał Shannon.

- Indy zanurzył chleb w sosie, wziął kawałek i przełknął.
- Głównie jego położenie na drogach lądowych i morskich między Wschodem i Zachodem.
  - Więc to był bogaty kraj.
  - Tak, sułtani czerpali bogactwo prowincji, aby budować pałace i fortece, meczety i te wszystkie luksusy.
  - A co teraz? Wydaje się, jakby tu był wielki zamęt.
  - Bo jest. Mustafa Kemal Pasza odbudowuje kraj. Ostatniego sułtana skazano na banicję pięć lat temu. Teraz mają konstytucję. Poligamia została zabroniona. Nikt nie nosi fezu i wprowadzono alfabet łaćniński.
  - Dlaczego nie noszą fezów? Ja je lubię — orzekł Shannon.
  - Przypominają czasy sułtanów i haremów, a także zacofanie z okresu Imperium Osmańskiego.
  - Jak się komuś zabiera kapelusz, można sprawić jedynie, że zwariuje — powiedział Shannon.
- Indy zaśmiał się.
- Masz prawdopodobnie rację. Shannon usiadł na krześle i skrzyżował ręce.
  - Czy niczego nie zapomniałeś?
  - O czym myślisz?
- Shannon machnął ręką.
- Zawsze wrywasz zdania z kontekstu, jakby były do wyrzucenia.
- Indy pokręcił głową.
- To brzmi inteligentnie. Tego wymaga mój zawód. Czasami.
  - Do wczoraj nawet nie wiedziałem, że Istambuł był Konstantynopolem czy Bizancjum.
  - Obecnie tylko część Turcji jest bizantyjska, a reszta romańska.
  - Rozumiem. To właśnie miałem na myśli.



Gdy zjedli obiad, grupa gapiów przestała interesować się nimi i opuścili Covered Bazaar bez asysty. Przeszli przez Sultanahmet Square, obok sadzawek i fontann oraz grządek kwiatowych. Przed nimi była bizantyjska świątynia znana jako Hagia Sophia, czyli Boska Mądrość.

— Czym się ona wyróżnia?

— Spójrz. To prawdopodobnie najbardziej imponująca świątynia, jaką kiedykolwiek zbudowano. W VI wieku nie było nic takiego na świecie, Bizantyjczycy mówili, że zwisa z nieba na złotych łańcuchach.

— Nie lubię zwiedzać starych kościołów. Są jak muszle. Duch jest w przyrodzie, nie w budynkach.

Indy pokręcił głową.

— Nie mówiłem, że idziemy oglądać Boga.

— Chyba pójdę na pocztę i sprawdzę, czy nie ma telegramów do mnie. O twoje też zapytać?

— Oczywiście.

Gdy byli w Atenach, Shannon nadał telegram do matki, aby zawiadomić ją, że z nim wszystko w porządku, i zapytać, co się stało w Chicago po jego wyjeździe.

Indy nie oczekiwał telegramów, dopóki nie dostał wiadomości od Marcusa Brody'ego. Gdy szedł do Hagia Sophia, myślał o swojej rozmowie z Brodym w Nowym Jorku.

Indy wyjaśnił mu ostatnie osiągnięcia w swojej nauczycielskiej karierze i opowiedział o wyprawie. Brody, który zazwyczaj był otwarty na nowości, zaskoczył go. Powiedział, że uważa, iż Indy jest chyba desperatem, aby brać udział w tak nieprawdopodobnym przedsięwzięciu i zaoferował mu pracę w muzeum. Indy podziękował i delikatnie odrzucił ofertę.

— Czy sprawdziłeś listy uwierzytelniające doktora Zolotzky'ego? — zapytał Brody.

— Nie. Wiem, że odkładał pieniądze przez lata na sfinansowanie tej wyprawy. Jest bardzo religijny i antybolszewicki. Myśli, że udowodnienie istnienia Arki pomoże obalić rząd rewolucyjny.

Brody zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Pozwól mi sprawdzić tego człowieka.

— To nie jest potrzebne, Marcus.

— Nie, nie. Nalegam. Zatelegrafuję do ciebie do Istambułu, jeśli coś znajdziesz. Proszę cię, uważaj. Wydaje się, że to może być niebezpieczne. Kiedy będziesz w Istambule, nie zapomnij odwiedzić Hagia Sophia. Myśl o mnie, gdy będziesz w środku tej niewiarygodnej świątyni.

Indy uśmiechnął się do siebie, gdy podchodził do budowli. Natychmiast objął wzrokiem wysoką na sto osiemdziesiąt jeden stóp kopułę. Patrząc z boku, świątynia była skupiskiem małych niby-katedr, sklepień, łuków i kolumn. Ten widok robi wrażenie — pomyślał Indy — ale bije od niego zimno. Mozaika zrobiona ze złotych liści i zyrandole były zdemontowane, tak samo jak złoty ołtarz. Osobliwie, że właśnie krzyżowcy w XIII wieku ograbili świątynię ze złota, a muzułmanie wielokrotnie doglądali naprawy, gdy wydawało się, że kościół rozsypie się w drobny mak. Teraz świątynia ta nie jest ani chrześcijańska, ani muzułmańska, ale pozostaje symbolem monoteizmu. Pomimo braku ozdób pozostało piękno konstrukcji. Na kapitelach u góry kolumn były monogramy Justyniana, który przebudował oryginalny kościół z V wieku, po tym gdy spłonął w czasie powstania Nika. Gdy Indy przyglądał się wnętrzu monumentalnej budowli, wydawało mu się, że słyszy odbijające się echem od ścian słowa Justyniana: „Salomonie, prześcignąłem cię!”

Ogromne kolumny pochodziły z jeszcze starszych budowli — czerwone ze Świątyni Słońca w Baalbek, zielone z miejsc kultu Artemidy w Efezie. Spojrzał na parę zielonych kolumn w centrum galerii w głębi kościoła. Oznaczały miejsce, w którym zwykła modlić się cesarzowa.

W pewnej chwili ujrzał postać kobiety. Przemykała między kolumnami. Wydawało się, że przypatruje się czemuś na ścianie. Miała długie, rozpuszczone włosy. Przez chwilę Indy poczuł się tak, jakby zobaczył widmową postać cesarzowej przybywającej z wizytą. Nagle znalazła się w smudze światła padającego z górnego okna i Indy rozpoznał ją.

— Katrina! — Jego głos odbił się echem od ścian.

Spojrzała na niego i przyłożyła palec do ust. Złożył ręce, jakby pytał, co tutaj robi. Wychyliła się między kolumnami i skinęła, aby podszedł do niej.

Podniecony, przeszedł przez rampę, która prowadziła do galerii. Gdy wszedł na górę, zobaczył, że dziewczyna ma aparat fotograficzny umieszczony na statywie. Reszta jej ekwipunku fotograficznego leżała w płóciennej torbie na wózku, który wwiozła do świątyni.

— Co za niespodzianka — powiedział. — Myślałem, że będziesz zajęta sprawami papierkowymi.

— To było zbyt nudne. Czekaliśmy w różnych urzędach, a tatuś wiedział, że chciałam zrobić zdjęcia kościoła, dlatego pozwolił mi pójść.

Pierwszy raz widział Katrinę z rozpuszczonymi włosami. Ręce złożyła na przodzie i nieśmiały uśmiech rozjaśniał jej anielską twarz w kształcie serca.

W miarę jak Indy poznawał Katrinę, rosło jego zaintrygowanie jej osobą. Wyobrażał sobie, że dziewczyna ma jakiś sekret i chce się nim podzielić. Być może nadejdzie moment, gdy napięcie między nimi zostanie przerwane i jej tajemnice znikną.

— Spójrz na te mozaikę. To cesarzowa Zoe i jej mąż. Jej trzeci mąż. Jego twarz namalowano na twarzy drugiego męża.

— A, tak sobie radzili — roześmiał się Indy.

— Jeśli wyjdę za mąż, to raz na zawsze — powiedziała miękko Katrina. — A ty?

— Byłem już raz żonaty i myślę tak samo jak ty.

— Byłeś?

Z początku nie czuł potrzeby opowiadania o tym, ale gdy zauważył, że interesowała ją opowieść o jego małżeństwie, opowiedział o Deirdre.

Gdy skończył, spojrzała na niego, osobliwie wzruszona opowieścią.

— Przykro mi Indy. Nie wiedziałam.

— W porządku. To już przeszłość.

— Czy nigdy nie pokochasz innej kobiety?

Wziął ją za rękę. Bez słowa pochylił się ku niej i pocałował łagodnie w usta. Nagle gwałtownie odwrócił głowę, ponieważ usłyszał kroki na rampie i głosy ludzkie. Parę minut wcześniej myślał, że są sami w kościele. Teraz zabrzmiało to tak, jakby cała galeria była zatłoczona.

— Lepiej pójdę — powiedziała Katrina i odwróciła się, aby złożyć aparat.

Ale nigdzie nie poszła, w każdym razie nie sama. Pół tuzina mężczyzn pojawiło się na rampie, a nie wyglądali na tych, którzy przyszli tu oglądać mozaikę. Przyglądali się uważnie Indy'emu i Katrinie. Byli ubrani w sposób, jakiego Indy do tej pory w Turcji nie widział: luźne spodnie uszyte z grubej, surowej bawełny i długie tuniki, przewiązane w pasie szarfami o jasnych, żywych barwach. Ale najbardziej osobliwe były przybrania ich głów. Każdy nosił wysoki, czarny kapelusz, który sprawiał, że wyglądali, jakby mieli siedem stóp wzrostu.

— Szukacie kogoś? — spytał Indy.

Nikt nie odpowiedział. Indy próbował rozmawiać, mając nadzieję, że jeśli nie będzie traktował ich poważnie, nie będą stanowić żadnego niebezpieczeństwa.

. — Ale macie kapelusze. Czy ukrywacie pod nimi swoje fezy? — Znów nikt nie odpowiedział. Pomyślał, że nie chcą o tym mówić.

Nagle Indy rozpoznał jednego mężczyznę.

— 'Och, to ty. Czy nie nazywasz się Hasan? Dzięki za wskazanie restauracji. Tamtejsze jedzenie bardzo nam smakowało.

Mężczyzna pogłaskał swój długi wąs.

— To był wasz ostatni posiłek.

Niedobrze. Mężczyźni przybliżali się.

— Sprawy się pokomplikowały — powiedział do Katriny, gdy wycofywali się ku barierce.

Odpowiedziała coś cicho.

— Nie wiem, o co chodzi — wyszeptał.

— Mają zamiar nas zabić.

— Nie, tylko jego — powiedział Hasan.

— Nie potrafiłbyś zabić nikogo w kościele, prawda? To mogłoby cię drogo kosztować.

— Allah nas prowadzi — odpowiedział Hasan. — Działamy w jego imieniu.

Mężczyźni podeszli na odległość sześciu stóp. Indy oparł się o barierkę. Jeden z nich przewrócił statyw, pozostawiony przez Katrinę, i aparat rozbił się. Drugi wyrzucił zawartość wózka. Indy zdołał zobaczyć, że było tam drewno Arki, zawinięte w kawałek materiału,

— Dlaczego On rozkazał wam śledzić nas? — zapytał Indy.

— Nic nie zrobiliśmy.

— Powiedziałeś mi, że przyjechałeś tu, by wspiąć się na Ararat, aby odnaleźć Arkę.

— Rzeczywiście?

— Jeszcze nie czas na odszukanie Arki.

— Nie planujemy żadnej kradzieży — Indy przyglądał się mężczyźnie, który podchodził coraz bliżej. — Chcemy jedynie zrobić parę zdjęć. Prawdopodobnie nawet jej nie znajdziemy.

Indy zdawał sobie sprawę, że dyskusja nie ma sensu, ale podczas rozmowy chciał znaleźć wyjście z sytuacji. Szanse uratowania się i ucieczki z Katriną były niewielkie.

— Dobrze, porozmawiamy z kierownikiem wyprawy i powiemy o waszych niepokojach. Być może będziecie mogli się z nim spotkać.

— Nic nie rozumiesz. Nie chcemy rozmawiać o tym. Nie wolno wam iść na Ararat.

Jeśli nie chcą rozmawiać, nadszedł czas, aby działać, zdecydował Indy. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął webleya 455,

— Przestańcie już. Koniec zabawy. Teraz moja kolej. Mam tu kulkę dla każdego z was. — Miał nadzieję, że to zabrzmiało przekonująco.

Mężczyźni zatrzymali się, po czym wyjęli własne pistolety.

— Hej, to nie fair! — Indy odrzucił swoją broń.

Nie zmarnował żadnej sekundy. Potrzebne były drastyczne metody i nie zawahał się. Zrobił salto do tyłu ponad poręczą i uczeplił się balustrady. Wolną ręką odczepił bat od paska. Gdy jeden z mężczyzn kopnął go w rękę, rozwinął bat, chcąc dorzucić go do najbliższej zielonej kolumny, by w ten sposób ześlizgnąć się po niej.

Ale to nie wyszło. Koniec bicia nie dosięgnął tak daleko.

— Za daleko — wymamrotał i skrzywił się, gdy jakiś but uderzył go w ramię. Krzyk Katriny odbił się echem po kościele, po czym zapadła cisza.

Nie mógł dłużej się utrzymać. Sprawił to następny cios. Próbował ześlizgnąć się, ale to mogło skończyć się jedynie upadkiem. Jego głowa znajdowała się przy podstawie kolumny na galerii, a gdy obrócił się, zobaczył żelazne stopnie prowadzące po ścianie.

Konstrukcję kościoła wzmocniano w ciągu wieków i stopnie były prawdopodobnie częścią tego wzmocnienia. Ścisnął rączkę bicia w ustach i rzucił się do najbliższego stopnia. Dzięki temu uniknął kolejnego ciosu nogą.

Ręka mu pulsowała. Ledwo doskoczył. W momencie wielkiego niebezpieczeństwa ciało reaguje w pozornie nadludzki sposób. A to była taka sytuacja.

Wszystkimi siłami w rękach wspinał się, dopóki nie doszedł do następnej kolumny. Jej obwód był mniejszy. Owinął bicz dookoła niej i chwycił obydwie końce w rękę. Zdołał wejść na ostatni stopień i zaczął się zsuwać. Ześlizgiwał się szybko, bat ranił mu palce, uderzył o kamienną posadzkę i upadł na kolana.

Gdy się podnosił, zobaczył parę nóg przed sobą. Zanim zdążył zareagować, jeden z butów trafił go w szczękę. Upadł na plecy, uderzając głową o posadzkę, a drugi but trzasnął go w pachwinę. Półprzytomny z bólu przewrócił się, próbując wstać na nogi. Sznur zacisnął się wokół jego szyi; nie, nie sznur. Jego bat. Był duszony własnym biczem.

Zakneblowany, schwytyany z pomocą własnych rąk. Cylinder upadł na posadzkę. Bat zacieśniał się, brakowało powietrza. Walczył, ale już tracił siły. Zobaczył czarne, błyszczące oczy, haczykowany nos i wąsy, które były zwinięte przerażającym grymasem.

Po chwili wszystko zniknęło.

## KOKON ROZKOSZY

Płynął pod wielką kopułą katedry. Czuł się ciepło, wygodni«, zrelaksowany. Katedra wirowała, a on uśmiechnął się. Zawieszona na niebie na złotym łańcuchu — pomyślał. A może powiedział te słowa? Nie pamiętał i mało go to obchodziło. Nic nie miało znaczenia. Nie teraz. Zawsze.

Leżał na plecach. Po chwili poczuł, że się unosi. Bez wysiłku. Takie to łatwe. Jego ramiona i nogi pochwyciły czyjeś ręce. Wynosili go z kościoła, ale on nie chciał go opuszczać. Tu było tak przyjemnie. Rozkazał sobie walczyć, lecz jego ciało nie słuchało go...

Czy to było ważne, dokąd go nieśli i kto to był? Zaśmiał się. Po prostu bezpieczna jazda. Nie ma problemu. W ogóle nie ma problemu.

Nagle katedra zniknęła i oślepiło go jasne słońce. Był na ulicy. Chciał krzyknąć. Zamazane kolory i kształty przechodziły przez niego. Ludzie. Powinien im coś powiedzieć. Ale co i dlaczego? Czy cokolwiek miało znaczenie?

Katrina.

Pamiętał, że był z nią. Przypomnił sobie mężczyzn w cylindrach. Próbował uciec, ale coś się stało. Miał niejasne wrażenie, że był duszony swoim własnym biczejf. Poruszył głową i wtedy poczuł ogień w gardle. Skóra na szyi była w strzępach. Ale oddychał, więc jakie to miało znaczenie. Nic



nie miało znaczenia. Nawet Katrina. Lecz dlaczego nic nie miało znaczenia? Musiał się skoncentrować. Morfina.

Dali mu ją. To było to. Musiał coś zrobić... coś... coś... ale..., Jasne światło i znikający tłum, a on podrzucany w ciasnym wagonie. Leżał na czymś miękkim, a fala wspaniałego samopoczucia rozlewała się po ciele. Znow wszystko było w porządku. Zamknął oczy i czuł, że wagon jedzie. Uśmiechnął się do siebie... odpływał.

Indy otworzył oczy. Zobaczył szary brezentowy sufit. Słabe światelko sączyło się wokół. Poczł ruch wozu podskakującego na nierównej drodze. Słyszał męskie głosy mówiące po turecku. Wstał i zobaczył niewyraźne kształty zgromadzonych ludzi. Mężczyźni. Ktoś go zauważył i powiedział coś ostro. Natychmiast podeszli do niego. Popchnęli go, szarpnęli za ramię i przytrzymali, aby nie mógł się ruszyć.

Kilkanaście sekund minęło, zanim spróbował zrozumieć, co się stało. Gdzie był? Kim byli ci mężczyźni? Musiał pamiętać, to było ważne. Oczywiście. Dali mu narkotyki i ci mężczyźni...

Czas zatrzymał się. Napięcie ustąpiło. Był ospały i rozluźniony. Kokon cudownej rozkoszy oplatał swoje nici wokół niego. Czł, że coś położono mu na oczy. To nieważne. Nic nie mogło go dotknąć. Wszystko było idealne w tym kokonie. Bez pragnień, bez bólu, bez ważnych spraw.

W kompletnej ciemności Indy usłyszał mieszaninę słów. Nie tureckich. Nie angielskich. To był głos kobiety. Rozbrzmiewał miękko, blisko jego uszu. Kobieta mówiła po rosyjsku i minęła spora chwila, zanim pojął sens jej słów. Modliła się.

- Katrina — wyszeptał.
- Jak się czujesz, Indy? — spytała po angielsku.
- Tak tu ciemno.
- Poczekaj.

Palce ściągnęły coś z jego oczu i nagle oślepiające światło poraziło go. Zobaczył Katrinę przypatrującą mu się uważnie. Miała rozpuszczone włosy i właśnie dlatego była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Poczuł gwałtowny ból.

— Boże, moja głowa za chwilę pęknie. Ci dranie dali mi narkotyki.

— Tss. Nie tak głośno.

Pojazd zatrzymał się.

- Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? — wyszeptał.
- Są na zewnątrz. Myślę, że znowu zmieniają konie.
- Znowu?

Jak przez mgłę przypomniał sobie incydent z niepojęcie ruchliwymi mężczyznami, którzy byli jedynie częścią długiego snu. Czuł się rozbity, ale odzyskał kontrolę nad sobą. Wiedział, że morfina przestała działać, ponieważ stało się ważne to, co działo się z nim i Katriną, ponieważ chciał coś zrobić.

— Podróżujemy już od trzech dni. Naszprycowali mnie jedynie pierwszego dnia. Kim oni są?

Katrina obejrzała się.

— Co się stało? Czy coś ci zrobili?

Potrząsnęła głową.

— Nie, to moja wina, że znalazłaś się w kłopotach.

— Co przez to rozumiesz?

— Podczas pobytu w Atenach nie mieliśmy rodzinnego spotkania. To był wielki zjazd RNR.

— Co to takiego?

— Ruch Nowej Rosji. To oni między innymi finansują naszą wyprawę. Wywarli presję na tatusia, aby się upewnić, że znajdziemy Arkę. Naprawdę wierzą, że to odkrycie zniszczy bezbożną rewolucję.

A więc sprawy mają się tak, jak Indy podejrzewał. To była ich tajemnica. Powinien się domyślić. Zobolotsky dał mu wystarczająco dużo wskazówek.

— Ale co zrobić z tymi facetami ze świątyni?

— Nie rozumiesz? Muszą być agentami bolszewików. Nie chcą, abyśmy weszli na Ararat.

Indy pokręcił głową, to nie wydawało się takie oczywiste. Było w nich coś znajomego i nie przypuszczał, żeby mieli cokolwiek wspólnego z bolszewikami.

— Dokąd nas wiozą?

— Nie wiem. Rozejrzyj się jednak. — Katrina przesunęła się ku brezentowej ścianie i zrobiła w materiale dziurę długą na parę cali.

Indy pochylił się do przodu i zbliżył twarz ku Katrinie. Zamrugał, po czym przesunął ręką po oczach. Nie wierzył w to, co zobaczył. Narkotyki musiały w dalszym ciągu działać. Przed nim roztaczał się bajkowy krajobraz. Wyglądał, jakby olbrzym uformował ład z białej gliny, tworząc góry i pagórki i inne wzniesienia, jakich jeszcze nigdy nie widział. Były tam budynki z białej gliny, ale niepodobne do żadnych budowli, które znał. Jedne wyglądały jak iglice, inne były gładkie i jajowate.

Najbliższy miał brzuchate ściany, jak gdyby olbrzym siadł na płaskim dachu, gdy jeszcze glina nie stwardniała. Drzwi były niskie, szerokie i wygięte w kształcie łuku, a dwoje małych dzieci stało przed nim i przyglądało się pojazdowi. Jeszcze dziwniejsze było to, że po prawej stronie tego budynku znajdował się niesamowity monument.

Wyglądał jak wysoka na dziesięć stóp igła z białego kamienia z okrągłym czubkiem. W tle skała wyrastała z surrealistycznego pejzażu, i miała coś, co przypominało wyrzeźbione okna.

Odsunął się od szczeliny.

— Czy widzisz to...

— Tak, widzę to samo. To niezwykle.

— Niezwykle. To miejsce wygląda jak koszmar.

— W takim razie jest to także mój koszmar. Widziałam to miejsce, gdy trzymałam drewno z Arki. Wiele razy. Teraz wiem, że istnieje naprawdę.

— Nie przejmuj się tym. Trzeba się stąd wydostać.

— Ale jak?

Indy zdjął lewy but i odkręcił obcas. Potrząsał butem, lecz nic się nie stało. Później trzykrotnie uderzył i tym razem trzycalowy nóż wypadł z obcasa. Złożył but z powrotem i znalazł naddarcie w brezentowej powłoce. Ostrożnie zrobił poziome nacięcie, później pionowe, podczas gdy Katrina przytrzymywała brezent od góry.

— Gotowa?

— Nie wiem — powiedziała Katrina. — To będzie niebezpieczne.

— Równie niebezpieczne jak pozostanie tutaj. — Nie chciał jej zostawić, nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby to zrobić. Musiał jednak pobudzić ją do działania. — Idziesz ze mną, czy nie?

— Nno tak. Tak mi się wydaje, ale...

— Więc chodźmy. Biegnij do tego domu, czy cokolwiek to jest. Dobiegniemy tam, a później skierujemy się ku skale.

Otworzył klapę i wystawił głowę. Człowiek z karabinem stał około dziesięciu stóp od niego. Stanowiło to pewną komplikację, której nie zauważył, gdy wyglądał

przez dziurę. Ale strażnik stał odwrócony tyłem i to była ich szansa.

Zrobił salto, skacząc na nogi, i gdy strażnik obejrzał się, przyłożył mu ostrze do gardła. Kazał mu rzucić broń. Mężczyzna wykonał rozkaz. Wtedy Indy zakneblował go.

— Jeszcze jedno — powiedział i trzasnął go pięścią w twarz. Strażnik zachwiał się, ale utrzymał się na nogach. — Pewnie jest pod działaniem narkotyku — pomyślał Indy i pochylił się, aby podnieść karabin. Strażnik skoczył i chwycił go za kostki, właśnie gdy sięgał po broń. Indy kopnął go mocno, trafiając poniżej szczęki. Tym razem strażnik runął na ziemię.

Indy podniósł karabin i pomógł Katrinie wydostać się z wozu.

— Chodźmy — szepnął.

Dom z wybrzuszonymi ścianami był mniej niż pięćdziesiąt jardów od nich i Indy chciał tam pobiec, kiedy krzyk z tyłu przywoździł go w miejscu.

— Stój! Rzuć broń, Jones.

To Hasan trzymał jego własny pistolet przy głowie Katriny. Indy odrzucił karabin, który natychmiast zabrali inni mężczyźni.

— Więc dostałeś za mało morfiny, profesorze Jones — powiedział Hasan. — Trochę z tobą poeksperymentowaliśmy.

Indy i Katrina zostali wrzuceni z powrotem do wozu, a po pięciu minutach pojawił się Hasan. Jeden z mężczyzn podwinął rękaw koszuli Jonesa. Indy próbował walczyć i uwolnić się, ale dwaj inni mężczyźni szybko powalili go na deski.

Hasan rzucił mu chytre spojrzenie, wstrzykując narkotyk.

— Powinno podziałać na ciebie. To mieszanina morfiny i pewnego zieleń, które nazywamy „piękną damą”.

— Belladonna — pomyślał Indy, walcząc z falą strachu. To był halucynogeny środek i jeśli dostał go za dużo, to umrze albo straci zmysły.

— Mógłbyś to polubić, profesorku, jeżeli to cię nie wykończy.

Hasan już obiecał, że go zabije, ale Indy nigdy nie podejrzewał, że zrobi to przez przedawkowanie narkotyku.

— Ty sadystyczna świnió — wysapał.

Hasan wbił igłę w ramię.

— To za naszych dawnych sułtanów.

Indy próbował walczyć z narkotykiem, starał się mówić.

— Pieprzę sułtanów i pieprzę ciebie.

— Jesteś bardzo wulgarny, profesorze Jones — powie dział Hasan.

Przyjemne, ciepłe uczucie zaczęło ogarniać Indy'ego. Czuł się potężny, na szczycie świata i jednocześnie senny.

— Będę tym, kim chcę być. Dzięki ci. — Jego głos załamał się. Zachichotał. Nie mógł nic na to poradzić. — Gdzie jedziemy?

— Oczywiście do mojego haremu. Będziesz tam już wkrótce.

Głos Hasana był przepojony słodyczą. Indy uśmiechnął się i zamknął oczy. Jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze, tak zrelaksowany. Chciał śmiać się z tej absurdalnej sytuacji, ale nie mógł przypomnieć sobie, o jaką sytuację chodzi. To nieważne. Wydawało mu się, jakby był naraz w milionach miejsc i wszędzie czuł się wspaniale.

Shannon usiadł na brzegu łóżka i otworzył Biblię w miejscu, które założył nie rozpięczętowanym telegramem. Był do Indy'ego. Chciałby wiedzieć, czy kiedykolwiek doręczy go.

Kolejny raz przeczytał krótki urywek z drugiego *Listu do Koryntian*. Były tam słowa, które ratowały go od rozpaczony przez ostatnie parę tygodni w Chicago. Zapamiętał je, ale wydawały się silniejsze, gdy czytał.

„Dosyć masz na łasce mojej; albowiem moc moja wykonywa się w słabości... bo gdy jestem słaby, wtedy jestem mocny”\*.

Czuł się słaby i bezradny. Indy i Katrina zaginęli i nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. Mógł jedynie się modlić i mieć nadzieję, że Zobolotsky znajdzie jakieś rozwiązanie. Słowa zamazywały się. Pomyślał, że należy coś zrobić. Wiedział diablo dobrze, że gdyby on zniknął, to Indy nie czytałby Biblii czy jakiegokolwiek innej książki. Indy szukałby go.

Wstał. Biblia zsunęła się na podłogę. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Ktoś tam powinien wiedzieć, co się stało. Musi znaleźć właściwą osobę. Odwrócił się od okna z zamiarem wyjścia, ale zatrzymał się, zanim doszedł do drzwi. Kto go wysłucha? Razem z Zobolotskym spędzili dwa dni, przeszukując rynek. Nie mówił po turecku, ale gdyby nawet mówił, szansa na znalezienie choć jednej osoby, która potrafiłaby pomóc, była niczym szukanie igły w stogu siana. Istambuł był nie najmniejszym stogiem do przekopania.

Spojrzał na podłogę. Biblia upadła, otwierając się na fragmencie z *Dziejów Apostokkich*. Podniósł ją i zaczął czytać wers rozdziału ósmego, w którym boski anioł przemawiał do Filipa:

„Wstań, a idź ku południowi na drogę, która od Jeruzalem idzie ku Gazie, która jest pusta. A on wstawszy, szedł”\*\*.

\* Według: *Biblia to jest całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*. Brytyjskie i zagraniczne Towarzystwo Biblijne. Warszawa 1972. \*\* *Tamie*.

Czy była to wskazówka dla niego? Czy miał iść na południe? Przecież był w Turcji, a nie w Palestynie — rozmyślał Shannon. Zaczął czytać.

W czasie drogi Filip napotkał etiopskiego eunucha, który czytał księgę proroka Izajasza. Kiedy Filip zapytał, czy rozumie to, co czyta, eunuch poprosił o pomoc w interpretacji następującego akapitu:

„Jako owca ku zabiciu wiedziony jest,  
a jako baranek niemy przed tym, który go strzyże,  
tak nie otworzy ust swoich;  
W uniżeniu jego, sąd jego zniesiony jest,  
a rodzaj jego, któż wypowie?  
albowiem zniesiony był z ziemi żywot jego”\*.

Shannon zatrzasnął Biblię. Jeśli to była wskazówka dla niego, to znaczy, że Indy nie żyje. Nie było powodu, aby jechać gdziekolwiek. Ale Biblia zawsze dawała mu nadzieję, a nie rozpacz. Musiało tam być coś, czego nie mógł pojąć. Palec miał ciągle w tym samym miejscu, więc otworzył Biblię z powrotem. Koniec ustępu ujawniał, jak Filip powiedział eunuchowi o Bogu i jak ochrzcił go, gdy przyszli nad wodę.

To jest wskazówka. Indy mógł być ocalony. Shannon nie znajdował się w Jerozolimie, a Indy nie przebywał w Gazie, ale nie miało to znaczenia. Musiał iść szukać Indy'ego, a Bóg będzie go prowadził. Jeśli Filip mógł ocalić eunucha, to może Jack Shannon ocali Indy'ego.

Schował Biblię do torby i zaczął się pakować. To będzie test dla wiary, ale był na to przygotowany. Jeśli znajdzie Indy'ego, uwierzy, że Bóg czyni cuda i że Jego wszechmoc jest drogowskazem. Może właśnie to przy-

\* *Tamże.*



wiodło go do Turcji. Może dlatego miał kłopoty w Chicago. Może wyznaczono mu rolę tego, który przekazuje słowa Boga.

W tym czasie jego kłopoty w Chicago stale rosły. Gdy odebrał telegram Indy'ego, znalazł także jeden adresowany do siebie. Od matki, która była uszczęśliwiona wiadomością, że żyje. Ale pozostałe wieści były niedobre. Ich klub nie podobał się miastu i jeśli właściciele nie odpowiedzą na skargę w ciągu trzydziestu dni, zostanie przejęty przez miasto i sprzedany na aukcji. Shannon nie miał wątpliwości, że to wszystko było grą i że stał za tym Capone. Ale to nie była już jego sprawa.

Miał prawie spakowaną torbę, gdy usłyszał pukanie do drzwi. To był Zobolotsky. Wyglądał ponuro.

— Co się stało? — spytał Shannon.

Rosjanin przejechał ręką po piaskowych włosach. Był wyczerpany i roztargniony.

— Policja nic nie wie. Ni» mam pojęcia, co robić. Powinienem być lepszym ojcem i nie brać ze sobą Katriny. To wszystko przez to, iż myślałem, że powinna być tu ze mną.

Shannon nie zapytał, o co chodziło w ostatnim zdaniu.

— Jadę szukać Indy'ego i Katriny. Wybieram się na południe.

Zobolotsky był zaskoczony.

— Czy masz coś dla mnie? Czy coś wiesz?

— Wiem tylko, że Bóg przemówił do mnie i mam opuścić miasto. Nie wiem, gdzie mam iść, ale on mnie poprowadzi.

Zobolotsky przyglądał mu się przez chwilę. Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał zdecydowanie.

— Słyszę diabła przemawiającego do ciebie, nie Boga. Naśmiewasz się ze mnie.

Shannon był zaskoczony ostrym tonem Rosjanina. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— O co panu chodzi? Dlaczego mam się naśmiewać?

— Bóg przemawia przez Katrinę, a nie przez ciebie. Ona to udowodniła wielokrotnie. A co ty udowodniłeś?

— Jedyne to, iż jestem słaby, ale wierzę, że Bóg uczyni mnie mocnym i mam zamiar wyjechać stąd i szukać Indy'ego i pańskiej córki bez względu na to, czy pan ze mną pojedzie, czy też nie,

Shannon zamknął torbę i już chciał wyjść, gdy ponownie ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — warknął.

Drzwi powoli się otworzyły i dziewczyna z domu obok weszła do środka. Spojrzała na obydwu mężczyzn.

— Przepraszam. Czy mogę z wami porozmawiać?

— Kim pani jest? — zapytał Zobolotsky.

— Cześć, Sekiz — powiedział Shannon. — Jesteśmy teraz trochę zajęci, bo przygotowuję się do wyjazdu.

— Ale to jest ważne. Chodzi o pańskiego przyjaciela i tę piękną kobietę.

— Wiesz, co się stało z Katriną? — zapytał Zobolotsky.

— Słyszałam różne rzeczy na ulicy. Mówią, że zostali wywiezieni gdzieś daleko, ale ciągle żyją.

— Co jeszcze wiesz? — spytał Shannon.

Potrząsnęła głową.

— To wszystko. Z wyjątkiem...

— Z wyjątkiem czego? — przerwał jej Shannon.

— Znam jednego ślepego człowieka. Jest bardzo stary i był ślepy przez całe swoje życie. Ale potrafi widzieć innymi sposobami. Myślę, że mógłby zobaczyć, gdzie ich zabrano.

— Następna pogańska rozmowa — zakpił Zobolotsky i odprawił ją kiwnięciem ręki.

Shannon odwrócił się i ich oczy się spotkały.

— Tak pan myśli, doktorze Zobolotsky? Czy jest pan aż tak diabelnie pewny, że ma pan zamiar zignorować szansę, która może okazać się prawdziwa, a starzec może po prostu wiedzieć, gdzie są Katrina i Indy?

Zobolotsky obejrzał się. Gdy przemówił, jego głos był trochę głośniejszy od szeptu:

— W porządku. Chodźmy spotkać się z nim. Zrobię wszystko, aby Katrina wróciła. Boże, wybac mi.

# 14

## KAPADOCJA

Myśli Indy'ego krążyły wokół jego życia. Wszystko, co realnie istniało, było myślą. Wszystko było wrażeniem, uczuciem, bólem i przyjemnością. Indy też był myślą...

W ciemności nie mógł zobaczyć nawet swojej ręki. Zglądał więc w głąb swego umysłu — to mu jedynie pozostało. Starzy przyjaciele przechadzali się przed nim i każdy z nich był źródłem potoku emocji; od litości do oburzenia, od złości do radości. Zobaczył Dorian Belecamus, wykładowcę archeologii i wielbicielek, która chciała go połknąć. Jego stary profesor historii mówił, że to było godne uwagi, ale nie głębokie. Madelaine z jego przeszłości zawołała go po imieniu i zaśmiała się natrętnie, a dziewczyna o imieniu Marion powiedziała, że ma zamiar uderzyć go w twarz... Teraz pojawiła się Deirdre i jednym spojrzeniem ścisnęła mu serce, pozostawiając je w smutku i żalu. Później popatrzyła w drugą stronę i odeszła.

Indy odwrócił się, aby zobaczyć, na co patrzyła, i ujrzał pułkownika Fawcetta. Coś mówił do niego. Jego usta nie poruszały się, ale Indy mógł słyszeć dudniący głos: „Nie zapomniałeś niczego. To wszystko tu jest... ukryte”.

To jedno słowo przypomniało Indy'emu doświadczenia, które prowadził z Deirdre i Fawcettem w Zaginionym Mieście, nazwanym D. Ludzie mogli skryć się tam. Było

w tym wszystkim coś sennego. Oni kierowali nim poprzez sny i gdy nadeszły ciężkie czasy dla niego, opowiadali, kiedy śni i kiedy budzi się. Ale teraz widział, że Fawcett zginął razem z Deirdre w katastrofie lotniczej. Choć Indy przeżył, jego wspomnienia były zawoalowane.

Myśli i obrazy płynęły razem, przepływając przez niego. Wyczuwał niejasną istotę otoczenia i mijającego czasu. Było ciemno i zimno i już nie był w wagonie. Nie wiedział, w jaki sposób się tu dostał, gdzie jest i od jak dawna tu przebywa. Ale było coś, co powinien wiedzieć o tym miejscu. Czy to był harem, o którym mówił Hasan?

Harem. Indy ujrzał siebie. Był dzieckiem, przyjechał do Turcji ze swoim ojcem. Zwiedzali wielki pałac Topkapi Saray, gdzie rezydowali sułtanowie. Ich władza chyliła się ku upadkowi i ojciec miał nadzieję znaleźć interesujący go rękopis, zanim pałacowe akta zostaną zniszczone albo wywiezione. Szli przez długi dziedziniec. Ojciec zagłębił się w rozmowie z jednym z urzędników sułtana, gdy Indy zobaczył wysokich ludzi z szablami, w zabawnych kapeluszach. Przechodzili oni przez zamkowe podwórze,

— Tatusiu, widzisz ich? Kim oni są?

Ojciec pogroził mu palcem. Ale urzędnik, korpulentny mężczyzna z przystrzyżoną brodą, zatrzymał się i położył rękę na ramieniu Indy'ego.

— Ci mężczyźni są ze słynnego Korpusu Janczarów. To wielcy wojownicy i wielcy smakosze zup. To taki ich rytuał. Teraz właśnie idą do kuchni na zupę.

Urzędnik odwrócił się do ojca Indy'ego.

— Och, o czym mówiłem?

Poszli dalej, a Indy pozostał z tyłu. Gdy zobaczył, że ojciec nie zwraca na niego uwagi, pobiegł w kierunku, w którym poszli janczarzy. Wszedł do pierwszej z licznych kuchni. Tutaj nie było ani janczarów, ani zupy.

*Zauważył* natomiast mnóstwo słodczy. Spozrzegł go kucharz, gdy przyglądał się rzędowi cukierków i ciast i dał mu ciasteczko z miodu i migdałów. Spalaszował je z przyjemnością.

Skorzastał z nieuwagi kucharza i wkradł się do następnej kuchni, gdzie znalazł janczarów. Było ich sześciu lub siedmiu i stali kołem wokół tak dużego garnka, jakiego Indy jeszcze nie widział. Każdy trzymał miskę i łyżkę i podnosili łyżki jednocześnie w powolny, rytualny sposób.

Gdy Indy wrócił na drugi dziedziniec, ojca nigdzie nie było. Przeszedł przez podwórkę niedaleko miejsca, w którym po raz ostatni widział ojca. Wszedł do pustego pomieszczenia, zamknął drzwi i przeszedł wzdłuż ściany, na której znalazł następne drzwi. Te wydawały się bardzo interesujące. Nie mógł odszukać ojca, ale za to znalazł coś ciekawego.

Na dziedzińcu na ławce siedziało dwanaście dziewcząt i jakaś starsza kobieta mówiła do nich. To był harem sułtana, i Indy wiedział, że nie powinien tu się znaleźć.

Zawrócił, ale dwóch pucułowatych Murzynów, eunuchów, pośpieszyło w jego stronę. Nieśli koszyki wypełnione świeżo upraną bielizną. Chłopiec wiedział, że to byli eunu-chowie, ojciec opowiedział mu o mężczyznach pilnujących sułtańskich konkubin. Powiedział także, że to jest ściśle zabronione, a teraz on się tutaj znalazł.

Prześlizgnął się z powrotem na podwórkę, klucząc między budynkami i czekając na eunuchów, którzy gonili go. Murzyni jednak, gdy dobiegli do podwórka, usiedli na koszykach i jeden z nich klasnął w ręce dwa razy. Zjawiły się dwie kobiety, zabrały pranie i przeszły w odległości trzech stóp od Indy'ego, natomiast eunuchowie czekali niedaleko wejścia do korytarza.

Indy musiał znaleźć inną drogę. Kobiety postawiły koszyki z praniem na rogu, co podsunęło mu pewien pomysł.

Pobiegł w stronę alkowy i wyciągnął z koszyka marszczoną suknię. Szybko przełożył ją przez głowę. Była za duża, ale koniec mógł przytrzymać ręką.

Ze swymi krótkimi włosami nie był bardzo podobny do dziewczynki, więc gdy się upewnił, że nikt nie patrzy, wymknął się z alkowy i zaczął przeszukiwać jeden z koszyków, aż znalazł szarfę. Gdy ją zawiązał, spostrzegł, że jest to bielizna jakiejś potężnej kobiety. Zaklął i chciał ją zdjąć, niestety kobiety właśnie wracały. Wymknął się poza zasięg ich wzroku i patrzył, jak wynoszą koszyki. Musiał się zadowolić tym, co znalazł,

Nie podobał mu się pomysł dziewczynskiego ubrania, ale pocieszał się myślą, że Richard Francis Burton, nieżyjący podróżnik, poszukiwacz przygód, na pewno skorzystałby z niego, a skoro takie okrycie byłoby dobre dla Burtona, musi być dobre także dla Indy'ego. Burton był mistrzem przebieranek, nieustraszoną wojownikiem, jeźdźcem i atletą, który mówił dwudziestoma dziewięcioma językami i dialektami.

Przebył zimne góry Afganistanu, był w spalonym słońcem zachodnim Karaczi, wędrował nie znaną Afryką centralną i odwiedził zakazane miasta islamu. Był uczonym, który założył pierwsze towarzystwo archeologiczne w Anglii, przetłumaczył *Arabian Nights* i studiował mistycyzm. Znano go także z tego, że przebierał się w stroje tubylców i musiał to robić przy wielu okazjach, aby uniknąć śmierci. Indy doszedł do wniosku, że jeśli miałby się upodobnić do kogoś, gdy dorośnie, to chciał być podobny do Burtona. I oto nadarzyła się okazja.

Nie mógł czekać dłużej. Wyszedł z alkowy i przeszedł przez podwórko, kierując się ku odległej bramie. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale gdy doszedł do bramy, okazało się, że znalazł się na jeszcze większym dziedzińcu, gdzie

siedziało znacznie więcej kobiet pilnowanych przez liczniejszych eunuchów. Indy pomyślał, że życie w haremie nie jest dla niego i im szybciej znajdzie drogę powrotną, tym lepiej.

Przeszedł pod murem dziedzińca, z daleka od eunuchów, trzymając schyloną głowę. W pewnej chwili spostrzegł starą kobietę. Wygląd jej twarzy świadczył, że była raczej zaniepokojona jego obecnością. Indy pomyślał więc, że mogą pojawić się kłopoty i postanowił uciekać. Otworzył pierwsze z brzegu drzwi i wszedł do środka.

Jedno spojrzenie wystarczyło, aby się zorientować, że jest w łaźni. Znajdowało się tam około tuzina rozbierających się kobiet. W chwili gdy chciał się wycofać, zderzył się ze starą kobietą. Położyła rękę na jego ramieniu.

— Czy chcesz się wykąpać młoda damo? — zapytała.

Indy w niewielkim stopniu znał turecki, lecz nie było trudno odgadnąć, co powiedziała. Potrząsnął głową i spróbował precyzyjnie się za nią, ale chwyciła go za ramię i ściągnęła przybranie z jego głowy.

— Kim jesteś? — zawołała.

— Zgubiłem się — powiedział Indy po angielsku. — Byłem z moim ojcem, ale on zapomniał poczekać na mnie.

Stara kobieta wypchnęła go z łaźni i pomaszzerowali przez podwórkę. Dała sygnał jednemu z eunuchów. Podprowadziła Indy'ego do ogromnych drzwi, otworzyła je i wprowadziła do wielkiego pomieszczenia.

W środku była fontanna, a wzdłuż ścian ustawiono krzesła i kanapy. Wskazała mu krzesło i Indy usiadł. Mógł zaglądać przez częściowo uchylone drzwi do drugiego pokoju, w którym znajdowało się łóżko z baldachimem i ozdobny kominek.

— To są pokoje mojego syna — powiedziała stara kobieta w czystej angielszczyźnie. — Jest sułtanem, a ja jestem znana jako urzędujący sułtan.



— Czy sułtan mieszka właśnie tu, w haremie? — spytał zdziwiony Indy.

Urzędujący sułtan zaśmiał się.

— Wyjaśnię ci. W każdym tradycyjnym muzułmańskim domu są dwie części: jedna przeznaczona jest do powitań, jak właśnie pomieszczenie, w którym się znajdujemy, a druga to harem albo część prywatna, w której żyje rodzina. W pałacu, oczywiście, mamy bardzo duży harem, ponieważ sułtan ma wielkie otoczenie, z czterema żonami i wieloma konkubinami.

Indy skinął głową. Słyszał gdzieś, że niektórzy sułtanowie mieli również chłopców jako konkubinów, i wolał mieć pewność, że nigdy nie zostanie jednym z nich.

— Może lepiej pójdę — powiedział i gdy wstał, ściągnął sukienkę. — Mój ojciec będzie się denerwował.

— Usiądź — rozkazała kobieta. — Znajdziemy twego zaginionego ojca. Nie każdy ma sposobność rozmawiać z urzędującym sułtanem. Powinieneś czuć się szczęściarzem.

Katrina była przerażona. Byli w czarnym, głębokim dole. Przywiązali ją do Indy'ego, który od dłuższego czasu nie dawał znaku życia. Obawiała się, że był w śpiączce.

W końcu jednak zamruczał coś i poruszył się.

— Co mówisz. Indy? Słyszysz mnie?

— Powiedziałem, że czuję się szczęściarzem, że mogę tu być, ale wydaje mi się, że ojciec martwi się o mnie.

— Wszystko w porządku — uspokajała go Katrina. — Wszystko będzie w porządku. — Majaczył. Miała nadzieję, że to minie. — Czy wiesz, gdzie jesteś?

To było głupie pytanie. Ona także nie wiedziała. Ale musiała uświadomić Indy'emu okoliczności, w których się znajdowali. Teraz nawet nie była pewna, czy on wie, że są razem związani.

Indy czuł się zakłopotany. Był dzieckiem i mężczyzną jednocześnie i coś było naprawdę niedobrze. Stara kobieta opowiadała mu o dziwnych miejscach w Turcji, a Katrina mówiła mu coś do ucha.

— Wiesz, gdzie jesteś? — spytała po raz drugi Katrina.

— Któregoś dnia pojedziesz tam — powiedziała stara kobieta — urzędujący sultan. — Dziwne kształty są tworem lawy ze starożytnych wulkanów po tysiącach lat erozji. Ludzie z doliny wyrzeźbili bardzo dziwne domy z kamienia, a zamiast drzew są tam wysokie skalne iglice.

— Jak się ten kraj nazywa?

— Kapadocja. Zapamiętaj tę nazwę młody człowieku.

— Indy, słyszysz mnie? — pytała Katrina.

Otworzył oczy, pałac sultana powoli się rozplynął... już nie był dzieckiem. Teraz przebywał w jakiejś wilgotnej i zimnej ciemnicy. Usiadł i poczuł opór czegoś, co się ruszało wraz z nim. Ręce miał związane z tyłu.

— Katrina?

— Jestem tu. Czy wiesz, gdzie się znajdujemy? Jej głos był tak blisko jego ucha, że zorientował się, iż byli związani razem, plecami do siebie.

— Kapadocja — powiedział bez namysłu.

— Co?

Czuł się zażenowany, niepewny tego, co było rzeczywiste, a co tylko halucynacją. Ale wydawało mu się, że narkotyki tracą swą władzę nad nim.

— Myślę, że jesteśmy w Kapadocji, a ci mężczyźni są z Korpusu Janczarów.

— Nie wiem, co to jest.

— Wydaje mi się, że to oznacza, iż znaleźliśmy się w większych kłopotach, niż przypuszczałam.

Gruby warkocz Sekiz huśtał się z boku na bok niczym czarne wahadło, gdy szła wąskimi ulicami Istanbułu. Poruszała się zadziwiająco szybko i Shannon obawiał się, że albo dotrzyma kroku huśtającemu się warkoczowi, albo zgubi Zobolotsky'ego. W końcu weszli na wiszący most spinający obie strony Bosforu i Shannon już nie musiał się martwić, że zgubi kogoś z nich.

Gdy doszli do środka mostu, Sekiz przystanąła i zaczęła na nich.

— Mówią, że tu się kończy Azja i zaczyna Europa — powiedziała dziewczyna.

Shannon popatrzył na nić krętych ulic na wzgórzu wyrastającym zza zachodniego brzegu.

— Czy ślepiec jest Europejczykiem? — spytał.

Sekiz zaśmiała się.

— Nie wiesz, że teraz w Turcji wszyscy są Europejczykami. To jest nowa droga. Stare czasy minęły.

— Jak daleko jeszcze? — włączył się Zobolotsky.

— Czy widzi pan Wieżę Galaty, o tam? Idziemy w jej pobliże.

— Tylko nie mów mi, że tam jest specjalna ulica dla niewidomych proroków — powiedział Shannon, przypominając sobie, charakter ulic na Wielkim Bazarze.

— Nie. To bardzo szczególny człowiek. Nie jest cygańskim wróżbitą. Zobaczycie.

Po dojściu do końca mostu w dalszym ciągu szli drogą, dopóki nie doszli do placu. Przeszli go i zagłębili się w wąską, brukowaną uliczkę o nazwie Galip Dede Caddesi. Sekiz zatrzymała się przy drzwiach, na których widniał napis w alfabecie arabskim i łańskim: *Galata Mevlevi Tekkesi*. Otworzyła drzwi i weszli do dobrze utrzymanego ogrodu.

Po obydwu stronach alei, prowadzącej do skromnego, drewnianego domku, kwitły różnokolorowe kwiaty.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Shannon, ale Sekiz położyła palec na ustach.

— Poczekaj.

Zapukała do drzwi i wkrótce wyjrzała starsza kobieta. Sekiz przedstawiła się, po czym kobieta poszła do domku.

— Tędy — powiedziała Sekiz i pokazała drogę przez drugi trawnik. Zbliżyli się do cieniściego zakątka zasłoniętego wysokimi krzewami i drzewami. Brodaty mężczyzna siedział na ławce. Głowa opadła mu na pierś i wydawało się, że śpi.

— Kto tam? — zapytał gromkim głosem, nie podnosząc głowy.

— Dziadku, to ja, Sekiz.

Starzec uniósł głowę i uśmiechnął się. Promień słoneczny oświetlił mu twarz. Jego oczy były białe i zamglone, broda szara, ale włosy miał tak samo rude jak Shannon.

— A kto jest z tobą, malutka? — zapytał, gdy usiadła przy nim i wzięła go za rękę.

— Przyprowadziłam dwóch przyjaciół, którzy przyjechali z daleka. Potrzebują pomocy.

Staruszek wskazał miejsca obok siebie.

— Siadajcie, proszę.

Sekiz tłumaczyła słowa dziadka.

Staruszek trzy razy uderzył w rękę.

— Będziemy rozmawiać przy herbacie. Teraz powiedz cię, jak się nazywacie i skąd jesteście.

Shannon nie miał pojęcia, co wyniknie z tej przygody, ale był spokojny i słuchał uważnie tłumaczenia Sekiz. Razem z Zobolotyskim usiedli i przedstawili się.

— Możecie mówić do mnie Alfin — powiedział starzec. Wyciągnął rękę i Shannon ucisnął ją. Staruszek przytrzymał jego dłoń.

— Wiesz, że pochodzimy od tych samych przodków?

— Nie sądzę — powiedział Shannon. — Moi dziadkowie przybyli do Stanów Zjednoczonych z Irlandii.

— Moi odlegli przodkowie przybyli na Wyspy Brytyjskie z tych stron, zwanych Anatolią. Nazywano ich Galatami, ale znamy ich jako Celtów.

— Nie wiedziałem tego — Shannon natychmiast pomyślał, że musi zapytać Indy'ego, czy rzeczywiście Celtowie pochodzili z Turcji.

Alfin puścił dłoń Shannona i sięgnął po rękę Zobolots-ky'ego. Rosjanin zawahał się, po czym wyciągnął dłoń.

— Proszę, pomóż odnaleźć moją córkę.

— Twój Bóg i twoja córka, a teraz twoja córka i twój Bóg — powiedział Alfin. Zobolotsky cofnął rękę.

Staruszka, która otworzyła im drzwi, pojawiła się teraz z herbatą na tacy i postawiła ją na ławce. Sekiz podała filiżanki Shannonowi i Zabolotsky'emu. Chciała następną wręczyć staruszkowi, ale jego głowa znów opadła na pierś. Shannon popatrzył na Zobolotsky'ego, który zmarszczył brwi i potrząsał głową.

— Ty, doktorze Zobolotsky, nie wiesz, kim jestem — powiedział Alfin. To było stwierdzenie, a nie pytanie. — Nie powinieneś osądzać tego, czego nie znasz.

— Uważałam, że lepiej nie mówić zbyt wiele o tobie — wyjaśniła Sekiz.

Alfin pomachał ręką i ponownie podniósł głowę.

— Pochodzę z dawnej tradycji, którą nasz nowy rząd chce znieść, ale mu się to nie uda. Dom naprzeciwko was to *tekke*, gdzie kultywujemy nasze ceremonie. Jesteśmy znani jako mewlewici, członkowie zakonu mewlewi, z bra terstwa sufi. Szukamy mistycznych związków z Bogiem poprzez *setna* — pieśni kościelne, modlitwy, muzykę i wi rujący taniec.

— Ale rząd zabronił wirującego tańca — dodała Sekiz, gdy przetłumaczyła słowa dziadka.

— Taniec derwiszów — powiedział Shannon, popijając herbatę. — Słyszałem o tym. Gdy mieszkałem w Paryżu, moja przyjaciółka puszczała mi płyty z muzyką lutni i powiedziała, że to grają derwisze.

— Czy ci się podobała? — spytała Sekiz, gdy przysunęła filiżankę herbaty Alfinowi.

— Była trudna, ale ja słuchałem już bardzo różnej muzyki.

Sekiz uśmiechnęła się.

— Może musiałbyś być derwiszem, aby ocenić to. Pewnie bardziej by ci się podobała nasza muzyka ludowa.

— Słuchaj — przerwał Zobolotsky. — Moja córka zginęła i nie mogę siedzieć tu, spokojnie pijąc herbatę. Muszę ją znaleźć. Czy możesz nam pomóc, czy nie?

Alfin nie czekał na przetłumaczenie.

— Siedź cicho, doktorze. Bądź cierpliwy. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Przyszedłeś do odpowiedniej osoby, jeśli nawet w to nie wierzysz.

Po paru sekundach ciszy Alfin postawił filiżankę z herbatą. Zwiesił głowę na pierś tak głęboko, że Shannon pomyślał, iż się przewróci. Wtedy zakołysał się do przodu i do tyłu i zaczął kręcić głową, aż Shannonowi zawirowało w oczach.

Gdy skończył, odezwał się głosem głębszym od normalnego.

— Ci, którzy porwali twoją córkę są znani jako janczarzy.

— Kim oni są? — zapytał Shannon.

— Żołnierze, źli żołnierze — odpowiedział Zobolotsky. — To najgorsze ze wszystkiego.

— Gdy Imperium Osmańskie stanowiło potęgę, janczarzy byli najlepszymi żołnierzami na świecie — powiedział Alfin. — Znakomicie posługiwali się szablami, potrafili ściąć głowę jednym cięciem.

— To wstrząsające — przerwał mu Shannon i dotknął swej szyi.

— Ale stali się potężni i podatni na manipulacje. Mogliby odsunąć sułtana od władzy. Wyznawali sufizm, ale związani byli z sektą znaną jako bektaszija. To właśnie z ich powodu rząd zabronił działalności sufi w 1925 roku.

— Ale dlaczego porwali mego przyjaciela i córkę tego człowieka? — zapytał Shannon.

Alfin umilkł na moment.

— Dlaczego jesteście tutaj w Turcji? To pytanie jest twoją odpowiedzią.

— Nie rozumiem — powiedział Zobolotsky. — Przyjechaliśmy, aby wspiąć się na górę Ararat w poszukiwaniu Arki Noego.

— To właśnie stanowi przyczynę — powiedziała Sekiz bez namysłu.

— Ale dlaczego nie chcą, abyśmy szukali Arki? — spytał Shannon.

— Nauki islamu głoszą, że Arka może być ujawniona jedynie przez Boga w dniu ostatecznym — wyjaśnił Alfin. — Janczarzy wierzą, że są powołani do ochrony Arki przed tymi, którzy chcą ją odkryć, zanim nadejdzie czas wyznaczony przez Boga.

— Biblia nic o tym nie mówi — powiedział Zobolotsky. — Bóg chce, abyśmy odnaleźli Arkę, by wzmocnić naszą wiarę — wyjaśnił.

Alfin milczał.

Gdy Zobolotsky odezwał się ponownie, jego ton był dużo łagodniejszy.

— Czy możesz nam powiedzieć, gdzie jest moja córka?

— Kapadocja to kraj sekty bektaszija — powiedział Alfin. — Tam ją można odnaleźć,

— Czy to jakieś miasto? — spytał Shannon.

— Nie, to część Turcji, która kiedyś była królestwem — wyjaśniła Sekiz.

— Gdzie znajdziemy ich w tej Kapadocji? — zapytał Zobolotsky.

— W podziemnym mieście — odpowiedział Alfin. — Jest ich bardzo dużo w Kapadocji, ale janczarzy żyją tylko w jednym z nich.

— Jak je odszukać? — spytał Shannon.

Alfin pochylił się do przodu i do tyłu, a jego puste oczy były skierowane na wprost.

— Znajdźcie dom z trzema *peribacas*. Tam spotkacie mężczyznę, który wie, gdzie są wasi przyjaciele i jak ich znaleźć.

— Co to jest *per-i-baca*? — zapytał Shannon. Sekiz poprosiła dziadka o wyjaśnienie.

— Powiada, że zrozumiecie to, gdy tylko je zobaczycie. Alfin odwrócił głowę i wydawało się, że wpatruje się w Shannona swymi białymi oczami.

— Między wami będzie jeden, który kłamie i któremu nie można wierzyć. On spowoduje smutek, zanim podróż dobiegnie końca.

— Jak on wygląda? — zapytał Shannon. Alfin wyciągnął rękę, przecinając dyskusję.

— Przekonasz się sam.

Podziękowali Alfinowi i poszli z Sekiz do furtki.

— Zostanę jeszcze z dziadkiem — powiedziała dziewczynka i życzyła im dobrej podróży.

— Dziękujemy ci, że przyprowadziłaś nas do niego — powiedział Shannon. — Myślę, że widzi znacznie lepiej niż ja. — Zamierzali wyjść, ale Shannon zatrzymał się. — A przy okazji, gdzie leży Kapadocja?

— Na południu — odpowiedziała Sekiz. — Południowa Ankara.



— Na południe — powtórzył i uśmiechnął się do Zobolotsky'ego. Wydawało się, że Rosjanin był trochę bardziej pokorny niż w dniu przyjazdu.

Borys zaczekał, aż Shannon i Zobolotsky zniknęli z pola widzenia, a następnie stwierdził:

— Nie przyniesie nam nic dobrego kręcenie się w kółko za tymi idiotami. Musimy dowiedzieć się, o co naprawdę im chodzi.

Bliźniacy przybyli do Istambułu parę dni temu, obawiając się, że może być za późno. Wkrótce jednak dowiedzieli się, dzięki swoim kontaktom w Istambule, że Zobolotsky uczestniczył w tajnej naradzie w Atenach i nie zdradzał pośpiechu. Tak więc czekali.

Zgodnie z planem mieli zabić Zobolotsky'ego w Istambule. Opierali się na założeniu, że jeśli doktor będzie martwy, pozostali uczestnicy przyszłej wyprawy poddadzą się. Okazało się jednak, że Jones i dziewczyna gdzieś przepadli. To zmieniło sytuację. Borys uważał, że to nagłe zniknięcie dwóch uczestników ekspedycji mogło być częścią planu, którego celem było zmylenie śledzących.

Bracia uznali, że w nowych okolicznościach będą zmuszeni zatować na nich na górze. Zabicie ich byłoby łatwe. Zniknięcie ekspedycji nikogo by nie dziwiło. Wojownicy kurdyjscy opanowali tę krainę, a w górach czyhało wiele niebezpieczeństw: sfory dzikich psów, wilki, węże i niedźwiedzie; lawiny, spadające skały, szczeliny w lodowcach, częste trzęsienia ziemi i wiele, wiele innych. Przede wszystkim jednak musieli się dowiedzieć, co obecnie planuje Zobolotsky.

— Co robimy? — Aleksander spytał Borysa, gdy szli ku bramie.

— Naszą powinność, bracie.

— Chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną sprawę między nami — powiedział Zobolotsky do Shannona, gdy wrócili do hotelu. — Musimy o sobie wiedzieć jak najwięcej, więc mów do mnie Vladimir.

Shannon doszedł do wniosku, że pozyskał szacunek w oczach doktora.

— Doktorze Zobolotsky — zawołał recepcjonista. — Telegram do pana.

Shannon obserwował, jak Zobolotsky otwierał kopertę.

— To od porywaczy. — Przeczytał i podał Shannonowi.

„Musicie opuścić kraj jak najszybciej, w przeciwnym razie twoja córka i jej przyjaciel zginą. Bądźcie na promie do Aten jutro rano. Zakładnicy też tam będą. Jedźcie do domu. Jeśli wrócicie do Turcji, umrzecie. To jest ostatnie ostrzeżenie”.

Shannon podniósł głowę.

— Co o tym myślisz?

— Powinniśmy spełnić ich rozkazy. Nie możemy ryzykować życia mojej córki.

Shannon przez moment myślał o wskazówce zaczerpniętej z Biblii i o tym, co powiedział Alfin. Jeszcze minutę temu był pewien, że powinien udać się do Kapadocji. Ale teraz nie wiedział, co robić. Tak się składało, że Ateny również leżały na południe od Istambułu.

— Masz rację, Vladimirze. Musimy postąpić zgodnie z instrukcją.

Teraz, gdy uwolnienie Katriny i Indy'ego stało się realne, Shannon zaczął rozmyślać nad tym, czy on będzie wybrańcem Katriny. Nagle pozazdrościł Indy'emu sytuacji, w której się znalazł. Miał nadzieję, że Katrina nie zakochała się w nim.

Godzinę później Borys i Aleksander opuścili Galata Mevlevi Tekkesi. Staruszek był bardzo pomocny. Szczególnie po tym, jak Borys zagroził, że zabije jego wnuczkę, całkiem chętnie odpowiadał na ich pytania.

Gdy już wiedzieli wszystko, Borys zdecydował, że najlepiej będzie nie dawać im żadnej szansy. Nie chciał, aby dziewczyna pobiegła do Zobolotsky'ego i ostrzegła go. Tak więc w sadzie leżały trzy martwe ciała. Staruszek i staruszka umarli szybko od strzałów w tył głowy. Ale dziewczyna pobiegła krzycząc ku furcie i musieli strzelać trzy razy, aby ją zabić.

Przykra sprawa — pomyślał Borys. — Taka młoda i piękna. — Ale oni muszą bronić rewolucji i to było ważniejsze od życia jednostki, bez względu na to, czy mieli do czynienia z dzieckiem, staruszką, czy staruszką. Wiedzieli już, co mają robić. Ślepiec opowiedział im o łagodnych zakonnikach, którzy mieszkali w podziemnych tunelach. Wiedzieli wszystko o Arce Noego i mieli poprowadzić ekspedycję w góry. Jones z dziewczyną pojechali wcześniej, aby przygotować wszystko, podczas gdy dwaj pozostali kończyli załatwiać formalności.

Borys i Aleksander postanowili wyjechać do Kapadocji tego dnia wieczorem i kompletowali ekwipunek. Nie wiedzieli o janczarach nic więcej ponad to, co powiedział im staruszek. Ale wystarczyła im wiadomość, że była to gromada zwariowanych mużłmańskich pustelników. Borys roześmiał się, wyobrażając sobie ich dwóch miotających się po świętym schronieniu. Janczarzy prawdopodobnie ukryją głowy w książkach tak, jak ukryli się pod ziemią, i posprzątają cały nieporządek, gdy już będzie po wszystkim.

## JANCZARZY

Dźwięk brzmiał jak oddychanie i pochodził z bliska.

— Słyszysz to? — spytał Indy. Widział jedynie ścianę, parę stóp przed sobą, i zarys drzwi wyjściowych, ale nic więcej.

Katrina zmieniła pozycję i bat Indy'ego, którym byli związani, zacieśnił się.

— Co to jest?

— Nie jestem pewien.

Spojrzał w głąb pomieszczenia, w stronę, z której dochodził hałas. Stopniowo, gdy halucynacje ustępowały i narkotyk przestawał działać, wracała mu zdolność widzenia. Mógł rozróżnić kształty: postać opierająca się plecami o ścianę gwałtownie pochyliła się i głowa siedzącego opadła do przodu, a karabin trzymał przyciśnięty do brzucha. Rozległo się chrapanie.

— Towarzystwo — syknął Indy. — Straż. Wygląda na to, że śpi.

— Musi tu gdzieś być. Nie wiem, jak wygląda. Nic nie mogę zobaczyć.

— Sprawdzimy, czy uda się to trochę rozluźnić. Indy wyciągnął nogi przed siebie i odepchnął od ściany, opierając się o plecy Katriny. Nic nie mówili, gdy wili się w górę i w dół, i na boki. Bat wpił się mu w klatkę piersiową

i ramiona. Indy miał wrażenie, że więzy stały się jeszcze mocniejsze.

— Och — szepnął ostro — co robisz?

— Próbuje... od... odwrócić się — odpowiedziała. — Wciągnij brzuch.

— Nie wiem, czy to się uda. — Wykręcał się do niej, dopóki ich biodra były złączone jak u bliźniąt syjamskich. Katrina odwróciła się twarzą do jego pleców, brodą dotykała jego ramion. Ale więzy nie rozluźniły się.

— Myślę, że mogę również zrobić coś takiego. — Indy ściągnął ramiona i obrócił się, ale utknął w połowie.

— Co robisz? — zasyzczała Katina. — Nie mogę się ruszyć.

— Nie tak głośno.

Indy spojrział przez ramię. Strażnik spał w dalszym ciągu. Ścisnął pośladki, zręcznie obracając biodra, i nagle on i Katrina znaleźli się twarzą w twarz. Ich brody i biodra zetknęły się. To było zupełnie inne uczucie... i niekoniecznie nieprzyjemne.

— Nie przypuszczam, żeby to się na coś zdało — powiedziała Katrina, gdy doprowadziła do porządku ramiona.

— To jest trudna sytuacja — zgodził się Indy... ma jednak swoje dobre strony.

— Co robisz tam na dole?

— Gdzie na dole? — Stali nos w nos.

— Wiesz przecież. Poruszył znów biodrami.

— Tam.

— Próbuje złapać bat.

— Ale czy musisz to robić?

— Co?

Dotknął kciukiem bata, ale nie mógł złapać go. Wysunął biodra do przodu i zgiał plecy, aby spróbować ponownie.

— Ach, znowu to robisz.

— Prawie... — Przesunął nogę do przodu i potknął się o stopy Katriny. Chwiali się przez moment, po czym przewrócili się na posłanie ze słomy. W porządku?

Oddech dziewczyny stał się szybszy,

— Leżysz na mnie, wiesz?

— Tak. Poczekaj. Myślę, że poradzę sobie. — Gdy dłubał przy bacie, musiał wcisnąć twarz w szyję Katriny. Jej bliskość pobudziła go. I nagle ich usta się spotkały...

Miękkość jej ciała pochłaniała go całkowicie. Przytulił się do niej tak mocno, że bat obluźował się i owinał wokół jego kciuka.

— Katrina, ja...

— Nie, nie... To ja chciałabym ci coś powiedzieć.

Słowa Katriny były ciepłe niczym gruby, wygodny koc. Mógłby jej słuchać i słuchać... Ciągłe poruszał biodrami, na wysokości jej bioder, usiłując poradzić sobie z batem,

— Pamiętasz ten kawałek drewna z Arki? — szepnęła.

Przestał się ruszać. To była ostatnia rzecz, którą spodziewał się usłyszeć od niej. Zapewne chce mu powiedzieć jakieś kłamstwo.

— O co chodzi?

— Gdy trzymałam to drewno w rękach, czasami działały się dziwne rzeczy. Widziałam to, co się jeszcze nie zdarzyło. Wiedziałam, że pojedziesz z nami do Turcji...

— To ciekawe, co mówisz.

— Ale to nie wszystko.

Strażnik głośno odetchnął, zakaszał. Zmienił pozycję i Indy zobaczył, że jest wielkim mężczyzną, ważącym dobrze ponad trzysta funtów. Gdy usłyszał powracający spokojny, regularny oddech śpiącego, zaszeptał do ucha Katriny.

— Nie opowiadaj, że widziałas, jak nas porywają i więżą w jakiejś dziurze lub czymś takim.

— Niedokładnie. Ale widziałam nas w tej pozycji. Wiesz, razem.

— Związanych?

— Nie. Tylko razem. Lecz... może to jedynie wyobraźnia. Poza tym to nie byłeś ty. To był Jack.

— Powiedziałas przecież, że to byłem ja?

— Tak, to było... później.

— Później? Może powinniśmy wrócić do tej rozmowy później.

Udało mu się rozluźnić więzy...

— Co zrobimy z rękami? — spytała Katrina,

— Pracuję nad tym. — Indy próbował prawą stopą zsunąć lewy but. Gdy już to zrobił, wziął but do ręki. Kręcił obcasem, dopóki nie usłyszał puknięcia. Pochwycił nóż i zmienił pozycję. Teraz już mógł ciąć płócienne więzy.

— Ostrożnie — szepnęła Katrina. — To moja ręka.

Ręce Katriny zostały oswobodzone. Dziewczyna po chwyciła ostrze i jak najszybciej uwolniła Indy'ego.

Indy natychmiast podczołgał się do strażnika i pogłaskał go po policzkach.

— Hej, nie można spać w czasie pracy. Strażnik obudził się, a Indy uderzył jego głową o mur. Mężczyzna osunął się na podłogę.

— Jeśli jesteś wojownikiem janczarskim, to rozumiem już, dlaczego imperium upadło — skomentował Indy i zabrał karabin.

— Indy, tu nie ma drzwi. To wyjście prowadzi na schody, a światło dochodzi z góry.

— Zobaczmy, może uda się coś znaleźć.

Gdy Indy zrobił krok w kierunku schodów, strażnik schwycił go za kostki i przewrócił na podłogę. Karabin Wypadł Indy'emu z ręki. Chciał go złapać, ale strażnik odciągnął go daleko... Indy próbował kopnąć, lecz strażnik

unieruchomił mu nogi. Facet mógł być niezgrabny, ale był silny.

Indy zamachnął się i uderzył go w szczękę. Dostał mocno, ale ręka tylko odskoczyła, nie robiąc żadnej szkody. Uderzył go jeszcze raz, również bez efektu.

Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozłożył palce i chciał złapać go za gardło. Indy rąbnął go z całej siły głową w nos. To go ogłuszyło, lecz tylko na chwilę. Ramię strażnika wylądowało na jego szczęce i Indy poczuł, że ręce mężczyzny zaciskają się wokół gardła, a kciuk wciska się mocno w jabłko Adama. Jego twarz robiła się czerwona, później niebieska i był już na krawędzi śmierci, gdy nagle uścisk strażnika rozluźnił się, a on sam padł jak kłoda. Indy złapał oddech i popatrzył na Kabinę, która stała za strażnikiem, trzymając w rękach karabin,

— Myśle, że mogłam go zabić — powiedziała.

Indy turlał się i szarpał stopami. Krew spływała z głębokiej rany na skroni strażnika.

Każdy człowiek musi czasami gdzieś pójść... — Indy otarł krwawiącą posiniaczoną szyję. — A on nas opuścił w stosownym czasie, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Wyszedł z pomieszczenia i udał się w głąb korytarza.

— Indy, zaczekaj.

— O co chodzi?

— Nie mogę zostawić drewna z Arki.

— Oczywiście, że możesz.

— Ale to jest bardzo cenna relikwia. Ojciec chyba oszaleje, jeśli ją zostawię. Właściwie jest bezcenna. A nawet więcej. To jest...

— Tak, jestem pewien, że jest. Ale nasze życie jest jeszcze cenniejsze i wydaje mi się, że twój ojciec zgodzi się ze mną. — Gdy ujrzał rozczarowanie na jej twarzy dodał: — Ale powiedzmy to po cichu.



\*

Najszybciej mogli dotrzeć do Aten pociągiem. Tak więc rankiem następnego dnia Shannon i Zobolotsky opuścili hotel i wsiadli do taksówki, aby pojechać na dworzec. Kiedy już byli blisko miejsca przeznaczenia, droga zapełniła się samochodami, końmi i wozami, a także pieszymi.

— Co się dzieje? — zapytał Zobolotsky. — Nasz pociąg odjeżdża za dwadzieścia minut.

— Chodźmy lepiej na piechotę — zaproponował Shannon. Nagle zauważyli policjantów blokujących wejście na dworzec. Zatrzymywali wszystkich, którzy podchodzili. — Zobaczę, co się stało.

Gdy zbliżył się do tłumu, jego wzrok przyciągnął mężczyzna w meloniku, przypominający wyglądem Anglika. Człowiek ów podszedł do starannie ubranej kobiety, otoczonej bagażami i bagażowymi. Shannon przysunął się bliżej, aby usłyszeć, o czym rozmawiają.

— Co się stało, kochanie? — spytała kobieta.

— Wydaje się, że szukają dwóch morderców. Cudzoziemców, mówią, że z Ameryki.

— Nieprawdopodobne.

— Zabili dziewczynkę, starego, niewidomego człowieka i jego opiekunkę, wyobraź sobie.

— Jakie to okropne. Jak długo będziemy czekać. Nasz pociąg odjeżdża za godzinę.

— O cholera! — zaklął Shannon.

Szedł ulicą do taksówki. Zastanawiał się nad sytuacją nie dlatego, że czuł się podejrzany o potrójne morderstwo, ale dlatego, że miał rewolwer pod pachą.

— Myślę, że lepiej popłynąć statkiem. Policja szuka mordercy — poinformował Zobolotsky'ego.

— Kogo zabito? — zapytał doktor.

Shannon powtórzył to, co usłyszał, ale bez komentarzy, gdyż zauważył, że kierowca, który trochę mówił po angielsku, przysłuchuje się im uważnie.

Zobolotsky spojrział na kierowcę, później na Shannona.

— To straszne. Myślę, że masz rację. Statek może dziś być lepszym środkiem lokomocji.

Gdy taksówka przeciskała się przez ruch pomiędzy wyjątkimi klaksonami i krzyczącymi przechodniami, Shannon i Zobolotsky po cichu omawiali sytuację.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział Zobolotsky. — Kto mógł zrobić tak potworną rzecz?

— Nie wiem. Ale ta biedna, niewinna dziewczyna... Mam już dość tego kraju. Tu jest tak samo jak w Chicago.

— Nie rozumiem — odparł Zobolotsky.

— Może janczarzy towarzyszą nam *od* hotelu — zasugerował Shannon.

— Ale dlaczego? Przecież wyjeżdżamy z Turcji tak, jak tego chcieli.

— Mogli pozostawić informację, zanim opuściliśmy hotel — powiedział Shannon. — Nie zatrzymywaliśmy się w recepcji. Być może szli za nami do domku derwisza, myśląc, że znamy jej treść. Na pewno doszli do wniosku, że ślepiec pokrzyżował im plany.

— To prawdopodobne — powiedział Zobolotsky. — Ale co to oznacza dla nas i dla mojej córki?

— Spójrzcie, coraz więcej policji — zauważył taksówkarz, gdy podjechali pod doki. Tłum zbierał się koło wejścia na statek, a policja sprawdzała każdego pasażera.

Nagle Shannon zrozumiał sens słów Zobolotsky'ego.

— Jeśli tak łatwo zabijają, nie możemy wierzyć, że uwolnią Indy'ego i Katrinę, jeśli nawet pojedziemy do Aten.

— Ale musimy zrobić, co nam każą — nalegał Zobolotsky.

Nie zwracali uwagi na taksówkarza, który znów przyglądał się im, gdy przystanęli przy krawężniku. Był to muskularny mężczyzna o szpakowatych włosach.

— Wiecie, mieszkałem przez dziesięć lat w Stanach Zjednoczonych, ale wróciłem, gdy ostatni sułtan w końcu odszedł. Powiem wam coś o tych janczarach, o których rozmawiacie. Są skończeni, ale niektórzy z nich jeszcze tego nie pojęli.

Shannon był zaskoczony zainteresowaniem i wiedzą taksówkarza o tym, co się działo. Zapewne słyszał ich rozmowę.

— Co jeszcze wiesz o nich?

— W dalszym ciągu czują się wojownikami i są znani z powodu swego upodobania do ryzykownych czynów.

— Nie rozumiem — powiedział Shannon.

— Powiem to tak: jeśli janczarzy zabili tamtych troje, to na pewno zrobili to tak, że policja zamknie was w więzieniu. Tak właśnie działają...

— Łatwiej byłoby po prostu zabić nas — powiedział Shannon.

— Ci janczarzy muszą być sprytni — orzekł Zobolots-ky. — Zapewne wiedzą, że jeśli zginą uczestnicy ekspedycji, zrobi się międzynarodowy szum i rząd Stanów Zjednoczonych wyśle tu armię, aby szukała nas i Arki.

Shannon pomyślał, że Zobolotsky jest marzycielem, ale nie skomentował jego słów. Za to przyjrzał się policjantom, którzy kontrolowali tłum w doku. Nie było wątpliwości, że szukają dwóch mężczyzn odpowiadających ich opisowi.

— Więc co według ciebie powinniśmy zrobić? Oni są coraz bliżej.

Zobolotsky zastanawiał się przez moment.

— Jako odpowiedzialny za wyprawę zdecydowałem, że powinniśmy jechać do Ankary i stamtąd do Kapadocji w poszukiwaniu zaginionych uczestników naszej ekspedycji.

— Zawiozę was do Ankary — zaproponował taksówkarz. — Mam tam kuzyna, a nie widziałem go od lat.

— Ile? — konkretnie zareagował Shannon.

Kierowca kiwnął ręką.

— Proszę się nie obawiać. Jestem uczciwy i policzymy się uczciwie, albo nie nazywam się Ahmet.

— Załatwione — zdecydował Zobolotsky.

Shannon ucieszył się, że w końcu udaje się na południe i nie mógł się pozbyć uczucia zadowolenia z siebie.

Hasan usiadł po turecku na poduszce w rogu pokoju i obracał kawałek drewna, przyglądając mu się bacznie. Wiedział, *co* to jest, odkąd znalazł *go* wśród *rzeczy* Katriny. Jeden z jego braci w Ameryce przysłał mu artykuł z gazety o Zobolotsky'm i jego planach dotyczących poszukiwania Arki. Artykuł zaalarmował go. Wspomniano w nim również o kawałku drewna, które, zdaniem tego podróżnika, pochodzi z Arki.

Muzyka lutni sączyła się do pokoju ze *Spring House*. Ceremonia miała się właśnie rozpocząć. Postanowił wziąć drewno ze sobą i wirować wraz z nim, dopóki nie pozna jego sekretów.

Nadzieja na to, że korytarz z celi prowadzi na zewnątrz ich podziemnego więzienia, szybko zgasła. Światło sączyło się z kaganka w korytarzu; za schodami było inne pomieszczenie przecięte porowatą skałą.

Katrina szukała wyjścia, korzystając z drzwi po drugiej stronie celi.

— Spójrz, teraz schody prowadzą w dół.

— Chyba nie jestem zaskoczony.

Nie było wyboru. Musieli zejść i zobaczyć, gdzie się kończą. Z tego wszystkiego Indy doszedł do wniosku, że

najprawdopodobniej dotrą do środka ziemi. Ostatecznie zeszli do hallu oświetlonego kagankami, z licznymi wejściami i oknami po obydwu stronach. Zaglądali do wszystkich po kolei i w końcu weszli do pomieszczenia z dwoma wejściami, z których każde prowadziło do innego korytarza.

— Co teraz? — zamruczał.

Wszedł do korytarza po prawej stronie, ale pomieszczenie było bez wyjścia. Zawrócił i próbował inną odnogą wejść do korytarza po drugiej stronie. Z początku wyglądało to beznadziejnie. Nie było tam żadnych schodów, ale hall wznosił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, stale zakręcając. Mur sięgał mu do pasa i w słabym świetle mógł zobaczyć pokoje i inne przejścia. Miejsce to kojarzyło się ze skrzyżowaniem średniowiecznego więzienia z domem rozrywki. Był to ul szaleństwa.

Zawrócił dwa razy i gdy zobaczył, że przejście biegnie ku górze, zdecydował się wrócić i odnaleźć Katrinę. Liczył zakręty, gdy szedł poprzednio, ale zamiast trafić do ślepego pokoju, znalazł się w sali z trzema wyjściami. Zamknął drzwi i wycofał się do innej izby. Zobaczył, że drzwi po drugiej stronie prowadziły na schody.

Rozejrzał się wokół, zagubiony. Uderzył pięścią w kamienny mur. Dom rozrywki przemienił się w jakiś koszmar.

— Niedobrze. I co dalej?

Nagle usłyszał kroki. Katrina prawdopodobnie zgubiła się w tej samej szaleńczej sieci. Nie mógł określić, skąd dochodził odgłos kroków i którądy ktoś idzie. Już chciał krzyknąć, ale przyszło mu do głowy, że to może nie być Katrina. Janczarzy mogli przecież przeszukiwać korytarze.

Czołgał się po cichu. Teraz już nie słyszał nic. Być może ten ktoś zatrzymał się lub odszedł. Nagle znów rozległ się odgłos kroków. Gdzieś blisko, tuż nad głową. Obrócił się i zobaczył stopy na wysokości swoich oczu.

Musiał wyteńczyć swój umysł. Widział buty. Złapał Katrinę za stopę, a ona krzyknęła.

— Szsz! To ja! — wysyczał Indy.

— Indy? — uknęła, aby go zobaczyć. — O Boże! Ale mnie przestraszyłeś. Nie wiedziałam, co się z tobą stało. To miejsce jest szalone.

— Wiem. Czy wszystko w porządku?

— Chyba tak. Pomóż mi zejść do ciebie. — Przesadziła nogi, by ześlizgnąć się prosto w jego ramiona.

— Tęskniłam za tobą — szepnęła.

Dotknął jej policzka i przez chwilę wydawało mu się, że jest znowu z Deirdre. Wtedy pomyślał, że obejmuje kobietę, w której jest zakochany jego najlepszy przyjaciel. Odsunął się od niej.

— Musimy iść dalej. Wydaje mi się, że znalazłem przejście, prowadzące do góry, ale nie jestem pewien, które to jest.

— Mamy zbyt duży wybór. To bardzo denerwujące.

— Chodź. Szukajmy razem.

— Nie zostawiaj mnie znów samej — poprosiła.

Pomyślał, że chodziło jej o coś zupełnie innego. Tak to przynajmniej zabrzmiało. Szli teraz korytarzem, który prowadził w dół. Uszli zaledwie kilka kroków, gdy korytarz zmienił się w pomieszczenie z wysokim sufitem. Indy zatrzymał się i spojrzał na ścianę po prawej stronie, oświetloną kagankiem. Był na niej namalowany mężczyzna z krzyżem w jednej i mieczem w drugiej dłoni. Wyglądał w tym momencie jak uskrzydłona bestia.

— To jest święty Jerzy ze smokiem — powiedział młody archeolog. Oglądanie chrześcijańskich ikon pozostawiło jakiś ślad w jego pamięci. — Cokolwiek to jest, wydaje mi się, że wiem, gdzie jesteśmy.

— Wiesz?

— Gdy byłem dzieckiem, przyjechałem z ojcem do Istambułu i przypadkowo spotkałem matkę sultana. Opowiadła mi, że w średniowieczu tysiące chrześcijan żyło w podziemnych miastach w odludnych częściach Turcji. Uważała, że powinienem je zwiedzić.

— I myślisz, że właśnie w takim miejscu jesteśmy? Indy skinął głową.

— Tak myślę.

— Dlaczego wykopali te tunele? — spytała.

— To nie oni. Te tunele są dziełem jakichś starożytnych ludów.

— Czy ojciec przywiózł cię tu?

— Nie, nie lubił zwiedzać takich miejsc. Miał klaustrofobię. Indy spostrzegł następne inskrypcje parę stóp dalej. — Hej, popatrz tu.

— O mój Boże! Czy to jest to, o czym myślałem?

Był tam niewyraźny zarys ryby, a obok niego łódź.

— Ryba i Arka były symbolami chrześcijaństwa jeszcze przed Krzyżem. Ryba reprezentowała Syna Bożego, a w Arce widział nadzieję na zbawienie w Chrystusie, stanowiła symbol wszechobecności Boga.

— Więc ty także jesteś chrześcijaninem. Tak jak Jack.

Indy przełknął ślinę.

— Nie, nie tak jak Jack. Mówiąc prawdę, bardziej interesuje mnie historia i świadectwa tamtych czasów.

— Ale czy nie wierzysz w świat...

— Słuchaj — przerwał jej Indy. — Słyszysz to?

— Brzmi jak muzyka.

Przeszli przez jaskinię i weszli w korytarz prowadzący gdzieś daleko. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Nagle korytarz kończył się. Indy otworzył drzwi znajdujące się po lewej stronie. Słabe światło sączyło się przez wąskie okno, a dźwięk lutni wypełniał cały pokój.

— Spójrz na to! — szepnął, gdy wyrzwał przez okno. Pod nimi znajdowała się ogromna pieczara, wiele razy większa niż te, które widzieli. Tuziny kaganków paliły się na ścianach, a spokojne lustro wody w środku jaskini odbijało płomień. Ale to nie woda zwróciła uwagę Indy'ego. Przy dłuższym brzegu basenu mężczyźni wirowali z rękami wyprostowanymi wzdłuż ciała. Byli ubrani tak samo jak ten, który ich uwięził. Ich strój uzupełniały wysokie kapelusze, ale Indy teraz już wiedział, kim byli.

— Derwisze — szepnął oniemiały. — Janczarzy muszą być sufi.

— Nie rozumiem. Co oni robią?

— Nazywa się to wirującym tańcem derwiszów.

— Dlaczego wirują?

— Aby naśladować ruch kosmosu. To jest ich sposób osiągnięcia jedności z Bogiem.

— Indy, popatrz na tego w środku — szepnęła pod-ekscytowana. — Widzisz? Mają drewno z Arki.

Indy zauważył, że jeden z mężczyzn trzyma coś w ręku. Przyznał rację Katrinie. Mężczyzna kręcił się coraz szybciej i szybciej, ale Indy rozpoznał go po wąsach.

— To Hasan.

— Słowa zamarły mu na ustach, gdy poczuł lufę na swej szyi.

— Co za zbieg okoliczności. Dwie zagubione dusze. Rzuć karabin.

Indy zrobił to, co mu kazano, i powoli odwrócił głowę. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Byli to bliźniacy z Chicago.

— Tylko nie opowiadaj, że w dalszym ciągu jesteś kolekcjonerem trenczy.

— Przygotuj się na śmierć, Jones.

— Jak nas tutaj znaleźliście?



— Straciliśmy parę głów, a jeden z wieśniaków opowie dział nam. Wiedzieli wszystko o tych tańczących molach książkowych.

Indy nie bardzo rozumiał, o co mu chodziło, ale nie było czasu na pogawędki. Musiał działać i to szybko. Szarpnął Katrinę do przodu i wyciągnął bat.

— Czy chcecie zranić niewinną kobietę? — zapytał.

Jeden z bliźniaków zaśmiał się,

— Cóż z ciebie za mężczyzna, który ukrywa się za kobietą?

— Masz rację. To nie jest miłe.

Odepchnął Katrinę na bok, trzasnął dłonią, rozwijając bicz. Rosjanie stali wystarczająco blisko siebie, co pozwoliło mu owinać pejcz wokół szyi obydwu mężczyzn. W tym momencie wystrzeliła broń i kula trafiła w ścianę obok głowy Indy'ego. Indy szarpnął mocno i bliźniacy przewrócili się.

Wziął Katrinę za rękę i skierowali się do przejścia prowadzącego w dół.

Ale nie przeszli więcej niż parę kroków, gdy janczar uzbrojony w szablę zastąpił im drogę. Za nim stał drugi z szablą uniesioną nad głową, a dalej wielu innych, którzy przyszli po nich. Rosjanie po uwolnieniu się wyszli z izby i wpadli w tę samą pułapkę.

— Nie nazywałbym tych facetów molami książkowy mi — powiedział Indy.

## PODZIEMNE MIASTA

Podczas podróży do Ankary Ahmet zdecydował się dołączyć do ekspedycji Zabolotsky'ego. Nie tylko zawiózł Shannona i doktora do Kapadocji, ale także służył im jako tłumacz w czasie poszukiwań Indy'ego i Katriny. Okazało się, że Ahmet umie grać na lutni i w czasie gdy Zabolotsky spał na tylnym siedzeniu, Shannon poznawał tajniki gry na instrumentach strunowych. Spędzili kilka godzin w Ankarze, zatrzymując się w domu kuzyna kierowcy, po czym kontynuowali swą podróż na południe.

— Nie ma na świecie takiego miejsca jak Kapadocja. Zobaczysz rzeczy, w które nie będziesz mógł uwierzyć.

— Byłeś już tam? — zapytał Shannon.

— Oczywiście. Mam tu innego kuzyna. Znajdziemy go i zobaczymy, jak może nam pomóc. W mojej rodzinie wszyscy sobie pomagają.

— Słyszałem tę nazwę Kapadocja, ale nie pamiętam gdzie — powiedział Zabolotsky.

Późnym popołudniem wjechali do doliny niedaleko miasta Gereme i zatrzymali się, by podziwiać niesamowity krajobraz. Jak okiem sięgnąć, wszędzie wystawały kopce gładkich, białych skał, we wszelkich możliwych do wyobrażenia kształtach, i prawie we wszystkich z nich były okna.

— To są domy troglotydów zrobione z tufu, skały

wulknicznej. — powiedział Ahmet, — Mówią, że jeśli zamieszka się na Księżycu, to będzie się tam żyło jak w domu w Kapadocji.

— Wierzę w to — odrzekł Shannon.

— Tuf jest miękki i łatwy do kształtowania. Robi się z niego dobre domy, a jeśli chce się powiększyć mieszkanie o dodatkowy pokój, na przykład dla nowo narodzonego dziecka, po prostu wycina się go sobie.

— Ci ludzie pewnie żyją jak zwierzęta — odrzekł Zobolotsky.

— Nie, jak chrześcijanie — odpowiedział Ahmet. — Wielu chrześcijańskich mnichów żyje w Kapadocji w klasztorach wydrążonych w skałach.

Zobolotsky ucichł na moment.

— Wiem teraz, dlaczego ta nazwa wydawała mi się znajoma. Kapadocja jest wymieniona w Biblii.

— Nie wydaje mi się, abym o tym czytał — odrzekł Shannon.

Kuzyn Ahmeta, Omar, nie mieszkał w domu troglodydów, ale w prostokątnym budynku ozdobionym sztukaterią. Shannon porównał go do płaskorzeźby — po obejrzeniu domów z balonastymi ścianami, stożkowatymi dachami, o kształtach nie do opisanía. Nie opodal domu Omara były trzy wąskie kolumny z tufu w kształcie trójkąta, a na szczycie dwóch z nich znajdowały się okrągłe kamienie.

— To są czarodziejskie maszty wyrzeźbione przez wiatr — wyjaśnił Ahmet.

— Czarodziejskie kolumny? — zapytał Shannon.

— Tak, *peribacas*.

Shannon popatrzył na Zobolotsky'ego, gdy wchodzili za Ahmetem do domu. Doktor był chyba jeszcze bardziej zdziwiony przepowiednią niewidomego starca. Wydawało się, że znaleźli się dokładnie tam, gdzie powinni byli przybyć.

Shannon nie miał pojęcia, w jaki sposób Alfin mógł wiedzieć cokolwiek o tym domu, ale był coraz bardziej przekonany, że to Bóg ich prowadzi.

Omar wyglądał jak młodsza wersja muskularnego Ah-meta. Miał grube kręcone włosy i wąsy. Powitał ich, jak gdyby byli członkami rodziny. Po wyjaśnieniu mu sytuacji Omar pokiwał głową, patrząc w zamyśleniu przez okno.

— Wiem co nieco o tych wyjętych spod prawa janczarach. Tak samo mocno wierzą w nauki mahometańskie, jak wy wierzycie w tradycję chrześcijańską. Potrafią zabijać w imię wiary.

— Ale nie są prawdziwie religijnymi ludźmi.

— Może nie — odrzekł Omar. — Ale są podobni do chrześcijańskich krzyżowców, którzy zabili tysiące muzułmanów, głosząc swoją religię.

Zobolotsky chciał coś powiedzieć, ale Shannon położył mu rękę na ramieniu. Rosjanin zamilkł rozgoryczony.

— Czy mógłby pan nam pomóc? — zapytał Shannon. Omar podszedł do okna.

— Nie wiem, czego chcecie.

— Czy wie pan, gdzie ukrywają się janczarzy? To właśnie chcemy wiedzieć.

— Oni się nie ukrywają. Wielu z nas zna miejsce ich pobytu. Ale niewielu odważy się wejść do ich miasta.

— Miasta? — zdziwił się Shannon.

— Tak. Podziemnego miasta. Bardzo starego. To niedaleko od Derinkuyu.

— Czy mógłbyś nas tam zaprowadzić, kuzynie? — zapytał Ahmet.

— Proszę nam tylko pokazać, gdzie to jest — poprosił Zobolotsky. — Musi pan zrozumieć, że życie mojej córki jest w niebezpieczeństwie.

Omar rozważał to, co usłyszał.

— Dla mnie rodzina jest najważniejsza. Jesteście przyjaciółmi mojego kuzyna i jeśli on wam wierzy, również ja wam wierzę. Zaprowadzę was tam.

— Wspaniale — ucieszył się Shannon.

— Znam jedynie położenie tego miasta, ale wiem, gdzie jest do niego wejście z innego podziemnego miasta.

— Więc takich miast jest tu więcej? — spytał Zo-bolotsky.

— Och, wiele. Może sześć albo siedem i wszystkie są ze sobą połączone. Gdy byłem chłopcem, spędziłem lato z kuzynem, który mieszka niedaleko jednego z miast i zwiedziliśmy je. Mogę pokazać wam drogę.

Shannon pomyślał, że jednak mają szczęście. Ale gdzieś w zakamarkach pamięci pozostały mu słowa Alfina, że między nimi jest ktoś, kto ich oszukuje.

Gdy janczarzy przebywali w podziemnym mieście, zawsze nosili tuniki i pantalony, takie jak Hasan. Ponieważ decyzją nowego rządu byli skazani na wygnanie i wyjęci spod prawa, nie mogli przywdziewać swego stroju w Istambule. Ale Hasan uczynił wyjątek, gdy mieli wprowadzić archeologa i pannę Zobolotsky. Chcieli ich przestraszyć. I chociaż Jones o mało nie uciekł, osiągnęli cel.

Teraz pojмали dwóch innych mężczyzn i tym razem to Hasan miał niespodziankę. Nie wiedzieli, kim byli ci dwaj łąsi bliźniacy i co tu robili. Postanowił jednak poznać prawdę. Z muskularnej pary zdjęto koszule. Obu mężczyzn zawieszono u sufitu. Czubkami palców ledwie dotykali posadzki,

— Dlaczego przyjechaliście tutaj? — pytał Hasan po raz piąty lub szósty i również tym razem żaden z mężczyzn nie odpowiedział.

Skinął na swego porucznika. Ten sam człowiek, który

zabrał bat Jonesowi, zaczął wymierzać ciosy w plecy bliźniaków. Inny janczar rozwinął drut kolczasty, przywiązany do krótkiego pręta, i uderzał raz po raz, chłostając ich ramiona i szyje. Po chwili ciała bliźniaków pokryte były pręgami i spływały krwią.

Hasan skinął ręką i mężczyźni przestali bić.

— Odpowiadajcie!

Znów ani słowa.

— Posolić rany! — rozkazał Hasan.

Dwóch janczarów wysypało torbę soli na ich rany. Bliźniacy wyli z bólu.

— Mówcie! — powtórzył Hasan. Głowy Rosjan opadły, ich twarze wykrzywiały ból, ale żaden nie powiedział ani słowa. — A więc sami się o to dopraszacie.

Przywódca janczarów wyjął szablę i przesunął ją powoli przed oczami mężczyzn. Jej ostrze było zakrzywione i pomysłowo ozdobione skomplikowanym wzorem.

— To, moi przyjaciele, jest ostrze zrobione ze stali damasceńskiej. Jest bardzo ostre i wytrzymałe. Można nim rozciąć frunące piórko, ale można też obciąć głowę jednym pociągnięciem. — Przyłożył czubek szabli do gardła jednego z Rosjan. — I to właśnie mam zamiar zrobić.

— Czego chcesz od nas? — odezwał się jeden z nich.

— Aleksander... *niet* — ostrzegł drugi.

— Ach, więc jesteście Rosjanami. — Hasan był zaskoczony bardziej niż kiedykolwiek. Podszedł do pierwszego mężczyzny. — Aleksander, chciałbym tylko się dowiedzieć, dlaczego tu jesteście.

— Śledzimy tę dwójką, mężczyznę i kobietę.

— Dlaczego?

— Nie mów nic więcej — ostrzegł go brat.

— Powiem, co będę chciał, Borys.

— W porządku. Ja będę mówił — zdecydował Borys

i odwrócił głowę ku Hasanowi. — To jest sprawa osobista. Nasz interes.

— Sprawa osobista. Powiedz mi, gdzie zaczęliście ich śledzić.

— W Chicago. Tam mieszkamy. Nie w Rosji.

— Więc objecharliście pół świata w osobistej sprawie. Bardzo interesujące. A teraz powiedz prawdę. Czego chcecie od nich?

— Nie twój interes!

Hasan mocniej ścisnął szablę i podniósł ją do góry. Pozbędzie się tego, a wtedy drugi brat wszystko wyśpiewa.

— Zabijemy ich, zanim dotrą do góry Ararat — powie dzia! Aleksander... i uratował życia bratu.

Hasan opuścił szablę i zastanawiał się nad tym, co powiedział Aleksander.

— Dlaczego?

— Nie chcemy, aby odnaleźli Arkę, nie chcemy, by szukali jej.

— Rozumiem. Chcecie sami ją znaleźć. Teraz rozumiem.

— To kłamstwo. Nie chcemy, aby ktokolwiek ją odkrył — odezwał się Borys.

Hasan spojrział podejrzliwie na mężczyznę. Nie była to odpowiedź, której oczekiwał.

— Dlaczego?

— Ponieważ... — zaczął Borys — biskupi zaczną nawracać ludzi w naszej ojczyźnie.

W końcu Hasan zrozumiał. Byli bolszewickimi szpiegami.

— Hasan — zawołał człowiek przy drzwiach. — Mamy wiadomości z Istambułu.

Przez chwilę przyglądał się bliźniakom i podszedł do wyjścia.

— Co jest?

— Zobołotsky i ten drugi nie pojechali do Aten ani

pociągiem, ani statkiem — powiedział mężczyzna cicho. — Policja ich szuka, a oni zniknęli.

— Dlaczego policja ich szuka? — spytał ostro Hasan, gdy zrozumiał, że jego plany upadły.

— Mówią, że zabili starego derwisza, dziewczynę i staruszkę.

Hasan nie wiedział, czy w to wierzyć. Upewnił się jednak, że Jones i kobieta muszą umrzeć, tak samo jak Rosjanie. Był najwyższy czas na ostateczną rozgrywkę. Uśmiechnął się, podniecony tymi perspektywami. Miał nadzieję, że Jones i kobieta stoczą intresującą walkę.

Odwrócił się do człowieka, który pilnował bliźniaków.

— Odciąć ich. Zaczyna się gra.

Chodzenie po skałach nie było ulubioną rozrywką Shan-nona. On i trzej pozostali — Zobolotsky, Ahmet i Omar — wspinali się po skalistej krawędzi, szukając wejścia do jaskini, z której mogliby dotrzeć do podziemnego miasta. Shannon potknął się dwa razy, zranił sobie przedramię i kolano. Czuł się zmęczony, bez energii.

— To musi być tutaj. Pamiętam to miejsce bardzo do brze — powiedział Omar.

Shannon rozejrzał się wokół, chcąc się zorientować, w jaki sposób te skały różnią się od tych, po których wspinali się przez godzinę. Być może Omar kłamał, gdy mówił, że wie, gdzie jest wejście do podziemnego miasta janczarów. Być może nie ma podziemnego miasta, a wszystkie opowieści Omara są nieprawdziwe — myślał Shannon.

Nagle Omar wydał okrzyk radości.

— Jest tutaj! Wiedziałem, że jesteśmy blisko!

Kłęczał nad głęboką dziurą. Shannon podczołgał się bliżej i zobaczył ciemną jamę osłoniętą gałęziami krzewów, przytrzymywanymi teraz przez Turka.



— Mamy tu schodzić? Do tej nory węża? Chyba żartujesz?  
— Zabraliśmy latarkę — powiedział Ahmet. — Nie będzie tak źle.

Shannon posłał Zobolotsky'emu kwaśne spojrzenie.

— Myśl o Katrinie — powiedział mu Zobolotsky.

Gdyby Zobolotsky wiedział, jak często Shannon o niej myślał, nie odezwałby się w ten sposób. Katrina stała się przyczyną głębokiego, ciągłego bólu w jego piersiach, tym bardziej że była z Indym. A jednak wahał się, czy iść za nimi. Być może znajdzie się jakaś inna droga. Ale jeśli Indy i Katrina byli pod ziemią, jak inaczej mógł im pomóc? Wiedział, że Indy pomógłby mu, nie wahałby się ani chwili. A co z jego uczuciem do Katriny, jeśli nigdy już jej nie zobaczy? To była sprawa lojalności, przyjaźni, miłości... i wiary. Tak właśnie było. Musiał pamiętać, że ktoś ich prowadzi i że nie ma podstaw do obaw.

Postawili latarki i wpełzli do jamy. Omar prowadził, za nim szli: Shannon, Zobolotsky i Ahmet. Shannon trzymał latarkę w jednej ręce, a drugą dotykał ściany. Było bardzo ciasno, a on cierpiał na klaustrofobię. Przesunął się zaledwie pięć stóp, gdy natrafił ręką na zwierzęce odchody. Wytarł dłoń o nogawkę, po czym przeczołgał się jeszcze kilkanaście stóp. W końcu mógł kucnąć. Podłoże jaskini stopniowo obniżało się i wkrótce przejście stało się szerokie na tyle, że można było wyciągnąć obydwie ręce, a sklepienie znajdowało się na wysokości siedmiu stóp.

— Jak daleko jeszcze musimy iść, Omar? — zapytał Shannon.

— Miasto jest pod nami. Miejsce, do którego mamy dojść, jest oddalone o jakieś dwie mile.

— Dwie mile? Czy na pewno pamiętasz drogę?

— To bardzo łatwe. Popatrz. Widzisz różne odgałęzienia.

Te po lewej prowadzą w dół, a po prawej wiodą do innego miasta.

— Wierzę ci na słowo — powiedział Shannon, gdy ruszyli.

Parę minut później doszli do schodów,

— Czy zapamiętałeś schody? — spytał Zobolotsky.

— Myślę, że tak. To musi być gdzieś tutaj — głos Omara zabrzmiał niepewnie.

— Kiedy byłeś tu ostatnio? — zapytał Shannon.

— Gdy miałem dziesięć albo jedenaście lat.

— To bardzo dawno temu.

— Mam tylko dwadzieścia siedem lat.

— Ja też, ale nie pamiętam wiele rzeczy, które robiłem, gdy miałem dziesięć lat — powiedział Shannon.

— Gdybyś przeszukiwał te miasta, na pewno pamiętałbyś to bardzo dobrze — wtrącił Ahmet.

Shannon rzucił ukradkowe spojrzenie w ciemność.

— Mam nadzieję.

Wkrótce potem, gdy doszli do końca schodów, korytarz rozdzielał się znowu. Tym razem Omar zatrzymał się.

— Nie pamiętam już żadnych rozgałęzień, ale wydaje mi się, że powinniśmy pójść na prawo.

Wspaniale. Po prostu wspaniale. W tej sytuacji nie tylko nie ujrzę już więcej Indy'ego, ale także nie zobaczę słońca ani nie odetchnę więcej świeżym powietrzem — myślał Shannon.

— Oddaję me życie w Twe ręce, Panie — zamruczał, ale słowa zabrzmiały głośniejsz, niż zamierzał

— Bóg jest dobry — powiedział Ahmet.

Po lewej stronie pojawiły się drzwi, a gdy podnieśli latarnie, zobaczyli następny korytarz, który biegł równolegle. Omar potrząsnął głową i poszli dalej. Nikt nie powiedział ani słowa, ale wszyscy myśleli o tym samym.

Coś było nie tak. Przed nimi wiły się inne schody, skręcały w lewo i ginęły z oczu.

— Nie, to nie może być w prawo — uznał Omar. — Przypatrzmy się innym korytarzom, które minęliśmy i zacydujemy, któredy pójść dalej.

Shannon był zdenerwowany, ale nic nie powiedział. Przeszli do sąsiedniego korytarza i po chwili ujrzeni całą serię połączonych ze sobą pomieszczeń. Niektóre z nich miały okna wychodzące na przyległe pokoje lub pasażę, a gdzieś tam były dziury w ścianach, odsłaniające schody prowadzące albo na inne poziomy, albo do równoległych korytarzy.

— To jakieś szaleństwo — powiedział Zobolotsky, gdy postawili latarnię i snop światła oświetlił sufit, który wyglądał jak odrotna strona schodów. — Wydaje mi się, że powinniśmy wrócić do pierwszego rozwidlenia i pójść drugim korytarzem.

— Zgadzam się — odparł Omar. — Chyba trafiliśmy nie do tego miasta. Wracajmy.

Próbowali przypomnieć sobie drogę, którą szli. Napotkali korytarz, który rozdzielał się na trzy.

— Myślę, że już tu byliśmy — powiedział Zobolotsky.

— Nie — odrzekł Shannon. — Jestem pewien, że byliśmy w środkowym. — Shannon na kolanach próbował odnaleźć ślady ich stóp, ale na kamiennej posadzce było to niemożliwe. — Mam takie uczucie, jakby za chwilę coś się miało zdarzyć.

— Uwierz — odpowiedział Zobolotsky. — Słabi sercem zawsze giną pierwsi.

Shannon wierzył, ale nie tak, jak sobie tego życzył Zobolotsky.

— Nie widziałem tych wszystkich dróg, gdy przechodzi-  
liśmy tędy — powiedział Ahmet, potrząsając głową.

— Te miasta są zwodnicze — stwierdził Omar. — Droga Jacka jest dobra, ale kierunek zły.

— Dobry Boże — westchnął Shannon.

— Bóg jest dobry — zakończył Ahmet.

— Być może to był błąd, że postanowiliśmy wybrać się na tę wyprawę — Katrina usiadła obok Indy'ego w celi; obaj strażnicy stali przy drzwiach. — Hasan powiedział, że nas wypuści, jeśli tata wyjedzie z kraju.

— Prawdopodobnie to zrobi — głos Indy'ego był bardziej optymistyczny niż jego samopoczucie.

— Ale zabiłam strażnika.

Indy usłyszał kroki na korytarzu.

— Wydaje mi się, że zaraz wszystkiego się dowiemy.

Hasan pojawił się w drzwiach i powiedział coś do strażników, którzy chwycili ich za ramiona i wyprowadzili z celi. Prawa noga Indy'ego była przywiązana do lewej nogi Katriny i Indy ciągle się potykał, kiedy wędrowali korytarzem

— Gdzie nas prowadzicie? — spytał.

— Do większej celi — odpowiedział Hasan. — Dużo większej.

Bez dalszych wyjaśnień szedł razem z nimi korytarzem i schodami. Przechodzili przez liczne przejścia i pokoje, schodami w dół, i w końcu znaleźli się w ogromnej jaskini z sadzawką pośrodku.

Katrina zbladła.

— Indy, ja nie umiem pływać. Nie pozwól im wrzucić nas tu. Utonę.

Hasan wydał rozkaz. Strażnicy wyjęli noże i ostrza zabłyśły w światłach kaganków. Indy i Katrina cofnęły się, ale strażnicy złapali ich, okrążyli i przecięli więzy na rękach i nogach.

Hasan gwałtownie zamachał rękami.

— Możecie iść, jesteście wolni i sami znajdziecie wyjście. Indy rozejrzał się niespokojnie wokół.

— Co się dzieje?

— Sześć par drzwi wychodzi z tego pokoju. Wolno wam wybrać jedno z nich. Znajdziecie wyjście albo nie znajdziecie. Tutaj jest wiele ukrytych przejść, niektóre z nich nie były nigdy używane. Kto wie, dokąd prowadzą?

— Hasan, dlaczego to robisz? — spytała Katrina.

— Aby dać wam uczciwą szansę. Jest taka gra, w którą bawimy się z dziećmi. Tylko najsprytniejsze może znaleźć wyjście z labiryntu.

— Ach, to tylko gra — Indy zaśmiał się nerwowo. — Możemy nie chcemy się bawić.

— Nie macie wyboru. Nasza gra jest śmiertelna...

Indy i Katrina nie czekali dłużej. Szli pośpiesznie wzdłuż brzegu sadzawki. Hasan i jego strażnicy stali nieporuszeni.

— Jak myślisz, o co im chodzi? — spytał Indy.

— Chciałam ciebie o to samo zapytać.

Nagle Indy znalazł odpowiedź na swoje pytanie.

— Spójrz tam.

Rosjanie przyglądali im się jak jastrzębie gotowe skoczyć na swoją ofiarę.

— To jest właśnie przejście, jestem tego pewien — powiedział Omar triumfalnie.

Shannon jedynie kiwnął ręką; ani Zobolotsky, ani Ahmet nie powiedzieli słowa. Wypróbowali już wiele dróg i Shannon czuł się całkowicie zagubiony. Nie widział sensu w tym, co robili. Całe dni mogli chodzić w kółko i nigdy nie znaleźć wyjścia ani drogi do podziemnego miasta. Ale gdy trafili na korytarz, w którym nie było żadnych rozgałęzień, schodów, ani pokojów, zaczął mieć nadzieję.

Nagle Omar zatrzymał się i spojrzał na coś.

— Co zobaczyłeś? — spytał zmęczony Zobolotsky.

— Jestem pewien. To jest ta droga — Omar pokazał na ścianę.

— Widzicie te trzy połączone koła? Oznaczają Trójkę Świętą. Pamiętam to bardzo wyraźnie.

— Trudno uwierzyć, że chrześcijanie żyli w takim miejscu — rzekł Zobolotsky.

— Byli tutaj bezpieczni i mogli oddawać cześć Bogu i nikt im w tym nie przeszkadzał — powiedział Ahmet.

— Jak w klasztorze — odrzekł Shannon.

— O właśnie — przytaknął mu Omar.

— Kuzynie, znalazłeś drogę, ale musimy pośpieszyć się teraz — powiedział Ahmet.

Szli szybko długim chodnikiem, pokonując milę w piętnaście minut. Po następnych dziesięciu minutach szybkiego marszu zatrzymali się, aby odpocząć.

— W tym miejscu czuję lęk, ledwo mogę ustać — powiedział Shannon. — Musiało tu być cholernie niebezpiecznie, że ci ludzie wybrali taką drogę, zamiast chodzić w świetle słonecznym i na świeżym powietrzu.

— Może używali jej tylko w razie niebezpieczeństwa — zasugerował Ahmet,

— Jak my teraz — odrzekł Shannon. — Lepiej już chodźmy.

— Poczekaj chwilę — Zobolotsky podniósł rękę. — Omar, co się stanie, gdy dojdziemy do innego miasta? Czy wiesz, gdzie są janczarzy?

— Myślę, że przypomnę sobie, jak odnaleźć jezioro. Są prawdopodobnie tam.

— W podziemnym mieście jest jezioro? — zapytał zaskoczony Ahmet,

— Z niego czerpią wodę.

— Więc chodźmy — przyzwał Shannon.

Rosjanie nie byli atrakcyjnymi mężczyznami, ale teraz, z krwią na torsach, wyglądali monstrualnie. Lecz — o ironio — w takiej chwili Indy pomyślał jedynie o tym, że ta para nigdy nie będzie wpuszczona w progi hotelu Blackstone w Chicago.

— Dlaczego nie pomówimy o tym? — zapytał Indy, gdy się cofnęli. Oczami wskazywał najbliższe drzwi. — Wszyscy chcemy się stąd wydostać, jeśli nawiążemy współpracę, może nam się udać.

Nagle w drzwiach, które wskazywał Indy, ukazał się Hasan.

— To nie w porządku Jones. W ogóle nie w porządku i musielibyśmy skończyć tę grę bardzo szybko.

— Czego chcesz od nas? — głos Katriny drżał.

— Cieszę się, że zapytałaś o to. Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? — Hasan wyszedł z mroku, niosąc kawałek drewna.

— To należy do mojego ojca.

— Tak, mówił, że to pochodzi z Arki.

— Bo to jest z Arki.

— A oto moje pytanie: Dlaczego nikt nie wierzy, że odnalazł Arkę?

— Niektórzy wierzą. Ale wielu ludzi chce więcej dowodów. Dlatego przyjechaliśmy do Turcji.

Hasan podniósł drewno z Arki.

— Wiem, że Arka jest na górze Ararat, ale ten kawałek drewna nie pochodzi z Arki. Tańczyłem z tym i wiem, że to jest zwykłe drewno.

— Świetnie. Więc oddaj je nam i pokaż drogę do wyjścia — powiedziała Katrina.

Hasan zaśmiał się.

— Obawiam się, *Miss Zabolotsky*, że to jest niemożliwe. Dzień ostateczny jeszcze nie nadszedł, a Bóg przykazał mi chronić Arkę przed ujawnieniem aż do dnia sądu.

— Arka jest życiem i początkiem, a nie końcem wszystkiego. Odnalezienie jej nie przyniesie sądu ostatecznego — powiedziała Katrina.

— Nie znasz słów Boga — Hasan zrobił parę kroków w ich kierunku. — Nie wejdziecie na górę i nie będziecie patrzeć na ten kawałek drewna. — Rzucił go do wody.

— Nie! — Katrina rzuciła się do przodu i skoczyła tam, gdzie drewno upadło na lustrzaną taflę.

— Hej, przecież nie umiesz pływać! — zawołał Indy, gdy Katrina zniknęła pod wodą.

Wypłynęła na powierzchnię, złapała powietrze i uderzyła wodę.

— Nie żartowałaś. — Indy skoczył za Katrina, a szok spowodowany zimną wodą niemal wypchnął mu powietrze z ust. Podpłynął do niej i objął ramieniem za szyję. Trząśł się z zimna, ale wystarczyło tylko parę ruchów, aby dopłynąć do brzegu.

Katrina walczyła z nim jak szalona.

— Drewno — wysapała. — Miałam je.

— Nie obawiaj się — Indy usiłował dopłynąć do brzegu.

Obydwoje byli na czworakach w płytkiej wodzie, gdy Indy spojrzął do góry i zobaczył bliźniaków stojących na wprost. Chwycili go za ramiona.

Zanim zdążył złapać oddech, obydwaj zamierzyli się i równolegle uderzyli go pięściami w twarz z obydwu stron. Wstrząs po podwójnym ciosie zwałił go z nóg. Rosjanie złapali go za ręce i nogi i wrzucili do jeziora. Tonął w lodowatej, źródlanej wodzie, sznur bąbelków wydobywał się z jego ust i unosił się ku powierzchni.

Pęcherzyki pękały i znikały.



## ŚMIERTELNA GRA

Pierwsza rzecz, którą Shannon zobaczył, gdy doszli do jaskini, była ostatnią, którą spodziewał się zobaczyć. Rosjanie z Chicago wyciągali kogoś z jeziora. Z początku nie mógł dostrzec, kto to był, ale później wszystko stało się jasne.

— To Katrina — powiedział Zobolotsky. — Zatrzymaj ich. Shannon wyciągnął broń z kabury i wystrzelił trzy serie nad głowami. Nie był najlepszym strzelcem, a nie chciał trafić Katriny. Rosjanie spojrzeli ku górze, później szybko wyciągnęli dziewczynę z wody,

— Chybiłeś — jęczał Zobolotsky. — Zastrzel ich. Do diabła z nimi!

Shannon celował ponownie, ale Rosjanie trzymali Katrinę w taki sposób, że jej ciało osłaniało ich. Nie mógł strzelać. Później wyslizgnęli się do drzwi i uciekli.

— Pozwoliłeś im uciec — sapał Zobolotsky.

— Mógłbym trafić Katrinę.

— Za nimi — krzyknął Zobolotsky i czterech mężczyzn przebiegło przez izbę.

Shannon pocieszał się, że ona na pewno żyje. Musi żyć, Ale prześladowała go myśl, że Rosjanie mogli osłaniać się martwym ciałem.

Wysoko ponad posadzką *Spring Hause* Hasan obserwował, jak intruzy zniknęli z pola widzenia w pogoni za Rosjanami. Przyjrzał się uważnie sadzawce, aby się upewnić, że Jones nie wypłynął. Podeszedł do okna.

— Bóg pomaga nam spełniać jego życzenia — powiedział do dwóch poruczników. — Przybyli pozostali uczestnicy wyprawy. Nie mogliśmy spodziewać się niczego lepszego. Wszyscy gracze są z nami.

— A co z tym? — spytał jeden z mężczyzn.

— Z kim? Jonesem?— Hasan skierował się ku drzwiom i później w głąb korytarza. — Możesz wyłowić jego ciało z jeziora, lepiej zajmijmy się żywymi.

W chwili gdy Indy znalazł się w lodowatej wodzie, odzyskał przytomność, ale jego ręce i nogi nie mogły pracować. Odczuwał to tak, jakby połączenie między mózgiem i mięśniami zostało zerwane. Mógł poruszać nogą, ale nie mógł kopnąć. Nabrał powietrze i płynął z prądem.

Ku swemu zaskoczeniu zaczął nabierać prędkości. Ale woda niosła go jakoś na boki. Nagle poczuł skalistą powierzchnię nad sobą. Uderzył w nią głową i ramionami. Obijał się po wypełnionej wodą jaskini i miał wrażenie, że za chwilę pękną mu płuca. Nie mógł już dłużej wytrzymać.

Uderzenie okazało się pomyślne dla niego — odzyskał kontrolę nad kończynami. Ale nie miał powietrza i był w rozpaczliwej sytuacji. Zaczepił się w skaliste sklepienie. Płynąć, płynąć. Zbliżał się koniec. Wtedy trafił ramieniem w dziurę, a łokciem zawadził o podwodną rafę.

Resztkami sił wsadził głowę w dziurę, ale ciągle był pod wodą. Natrafił ręką na coś miękkiego i gąbczastego.

Nad Indym kucharz janczarów, sześćdziesięcioletni męż-

czynna, korzystał z drewnianej toalety. Był tak przerażony widokiem ręki, która nagle chwyciła go, że gwałtownie odskoczył. Stał na chwiejnych nogach, cofnął się i uderzył głową o brzeg toalety.

Indy przebił się nad powierzchnię wody. Zaczepił powietrza, zakaszał. Był w wodzie, ale oddychał. Mógł to robić. Głowę miał w drewnianym pudle z owalną dziurą. Kopał nogami i podnosił się. Zmrużył oczy w jasnym świetle, a po chwili zobaczył, że jest w niewielkim pomieszczeniu, a jakiś mężczyzna leży obok niego z opuszczonymi spodniami. Nieboszczyk. Zaświtało mu, że przypłynął do toalety i że ten gąbczasty przedmiot, który chwycił, to było ludzkie ciało. Zrzucił pudło z ramion, odrzucił na bok i wyszedł przez dziurę.

— Jestem szczęśliwy, że nie przytwierdzenie toalet do podłóg — powiedział, gdy przechodził obok nieboszczyka. Wszedł do następnego pomieszczenia i znalazł się w kuchni. W środku był gigantyczny, czarny, żelazny kocioł. Podeszedł do niego spróbować zupy. — Ci faceci rzeczywiście umieją je gotować — zamruczał.

Usłyszał, że ktoś nadchodzi... Jakiś janczar z ozdobną szablą rozglądał się wokół.

— Mustafa! — zawołał — Mustafa!

Indy przeczołgał się na czworakach wokół garnka i zobaczył, jak mężczyzna bierze warząchew i nabiera zupy. Złapał janczara za kolana i podniósł do góry. Wrzask Turka był krótki, ponieważ Indy wrzucił go do żelaznego kotła.

— Mam nadzieję, że zupa jest dobra.

Zabrał szablę i wybiegł z kuchni korytarzem w dół. Nie miał pojęcia, gdzie jest, ale musiał odnaleźć Kartinę. Usłyszał kroki przed sobą, więc wślizgnął się do najbliższego pomieszczenia. Na stole w rogu pokoju leżał jego bicz. Wziął go i przywiązał do paska.

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Usłyszał głosy mówiące po turecku. Pomyślał, że nadchodzących może być dwóch lub więcej... Gdy przeszli, Indy przyczołgał się do drzwi. Był już przy wejściu do korytarza, gdy znowu usłyszał kroki i czyjeś oddechy. Przyszło mu do głowy, że ktoś ucieka, a inni gonią go. Dostrzegł w tym szansę dla siebie. Zmusi tego mężczyznę do pokazania miejsca, w którym przetrzymują Katrinę. Czekał przy drzwiach. Gdy mężczyzna znalazł się parę stóp od niego, wtedy wyciągnął rękę, złapał go za gardło, wyciągnął szablę i przyłożył mu do gardła.

I wtedy zobaczył, kto to jest.

— Chryste, Jack! Co, do diabła, robisz tutaj?!

— Mam atak serca.

— Mogłem cię zabić!

— Ja tak samo — Shannon chował rewolwer. — Jeszcze pół sekundy i strzeliłbym ci w brzuch.

Borys i Aleksander złożyli bezwładne ciało Katriny w pokoju. Byli gotowi pozostawić ją w jeziorze razem z Jonesem, gdy usłyszeli strzały. Borys instynktownie podniósł ciało i zasłonił się, po czym pobiegł ku najbliższym drzwiom. Tylko wtedy, gdy już byli bezpieczni, mogli sprawdzić, kto biegnie za nimi. Nie mieli wątpliwości, że dziewczynę trafiła kula.

Wciąż jeszcze żyła, ale o to się nie martwili. Mieli do załatwienia sprawę z Zobolotskym i jego kompanią i to nie był jedyny ich kłopot. Stary, ślepy dziad nakłamał im na temat janczarów. Oczywiście było, że mieli do czynienia z wojownikami, a nie uczonymi. Poza tym było ich zbyt wielu. Prawdopodobnie ukrywali się w tym labiryncie...

Najpierw jednak musieli rozprawić się z grupą Zobolotsky'ego. Położyli Katrinę w rogu izby, przykucnęli po drugiej stronie drzwi i czekali. Borys wiedział, że niedobrze się stało,

iż nie mieli broni. To nie miało żadnego znaczenia, kiedy chodziło o kobietę i Jonesa. Teraz mieli do czynienia z ludźmi uzbrojonymi i musieli być przygotowani.

— Złapię najpierw jakiegoś z rewolwerem, a ty złap Zobolotsky'ego. Wtedy rozejrzemy się za następnymi.

— Słyszę ich — powiedział Aleksander.

Odgłosy kroków w korytarzu stawały się coraz głośniejsze. Dochodziły z odległości około stu stóp, ale Borys nie ośmielił się wyjrzeć. Czekał w napięciu, przygotowując się do skoku, gdy tylko człowiek znajdzie się w zasięgu jego wzroku.

— Ojczce, uważaj! — krzyknęła Katrina.

Borys zaklął po rosyjsku, odwracając się ku siedzącej dziewczynie. Wtedy Aleksander wyszedł na zewnątrz. Głupiec — pomyślał Borys i złapał go za ramię, wciągając z powrotem do pokoju

— Tędy.

Okna po przeciwnej stronie prowadziły do innego przejścia. Borys skoczył, turlając się.

— Szybko! — warknął

— A co z nią?

— Zostaw ją.

Aleksander przeskoczył przez okno, a Borys gwałtownie go przytrzymał.

— Do diabła, mam zranione plecy! — warknął Aleksander.

— Zapomnij o plecach. Myśl o swoim życiu.

Teraz musieli wymyślić inny sposób, aby złapać tamtych.

— Jack, musimy znaleźć Katrinę — powiedział Indy.

— A myślisz, że co my tu robimy? A propos, gdzie byłeś?

— W toalecie.

— Co?

— Gdzie jest Zobolotsky?  
— Nie widziałaś go? Był przed nami,  
— Słyszałem kogoś mówiącego po turecku.  
— To był Ahmet i jego kuzyn. Są z nami — wyjaśnił Shannon.

— Opowiesz mi później. Teraz chodźmy.

Ruszyli w dół korytarza. Ale nie uszli daleko, gdy usłyszeli głos dobiegający z jakiegoś pomieszczenia. Zatrzymali się, przywarli do muru.

— Tatusiu, jesteś tu. Jesteś tu.

— To Katrina — powiedział Shannon i skierował się do pokoju.

Zobolotsky ścisnął ją, a gdy zobaczyła Indy'ego i Shan-nona, wyglądała, jakby miała zemdleć.

— Indy, nie mogę uwierzyć. Żyjesz!

— Jestem jak kot. Mam dodatkowo jeszcze *pięć* istnień.

— Tak i możesz potrzebować następnego za minutę — zrzędził Shannon.

— Jack. Ty też tu jesteś — powiedziała Katrina i uściskała go.  
— Tak się cieszę, że cię widzę.

— Naprawdę? Czy...

— Nie ma czasu na stanie tu — warknął Zobolotsky. — Musimy się stąd wynosić.

— Tatusiu, zabrali drewno z Arki i wrzucili je do jeziora.

— Nie, nit; zrobili tego — powiedział Zobolotsky. — Ukryłem je, dałem ci fałszywe do niesienia, na wszelki wypadek.

Katrina patrzyła zaskoczona.

— To cudownie, tatusiu.

— Tak, o mało się nie zabiła, skacząc za nim do wody — powiedział Indy. Skierował się do drzwi, ale zatrzymał się i zwrócił do Shannona. — Czy wiesz, jak stąd wyjść?

— Nie wiem. Przyszliśmy z innego podziemnego mia-

sta — wyjaśnił Shannon. — Omar, czy możesz nas wyprowadzić tą samą drogą? Turek skinął głową.

— Tak, ale tylko wtedy, gdy znajdziemy drogę do jeziora. Teraz nie wiem, jak stąd wyjść.

— Problem z powrotem nad jezioro polega na tym, że tam są właśnie janczarzy — powiedział Indy.

— Nie zapominaj o naszych rosyjskich przyjaciółach — dodał Shannon. — Gdzieś tutaj krążą.

— Więc widzieliście ich? — zdziwił się Indy.

Zobolotsky wyszedł na korytarz.

— Musimy mieć się na baczności — powiedział.

— Indy ma dobrą orientację kierunkową — odrzekł Shannon.

— Pójdziemy za nim do jeziora.

— Moja dobra orientacja podpowiada mi, że musimy się stąd wydostać choćby do piekła. Jeśli znajdziemy jezioro i drogę do innego miasta, wyjdziemy stąd.

Zobolotsky wziął córkę za rękę.

— Chodźmy.

Hasan znał labirynt, tak jak nikt inny, i potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób Zobolotsky dostał się tu. Rozkazał jednemu ze swoich ludzi, aby sprawdził, czy wszystkie korytarze łączące podziemne miasto są strzeżone. Nikt nie może się wydostać.

Labirynt składał się z korytarzy w większości nie prowadzących donikąd. Kiedy przybyli tu dwa lata temu, Hasana złościł i irytował brak porządku. Ale w miarę jak poznawał drogi, spostrzegł, że zbudowano labirynt z myślą o tym, by udaremnić intruzom wejście do miasta. Znajomość dróg dawała ogromną przewagę, którą członkowie wyprawy Zobolotsky'ego i dwaj bolszewicy wkrótce właściwie ocenili. Hasan wszedł do wąskiego pokoju z długim, prostokątnym

oknem na wysokości głowy. W różnych częściach miasta było najwyżej dwanaście pomieszczeń, takich jak ten pokój. Dopiero po miesiącu pobytu tutaj Hasan i jego ludzie zorientowali się w ich przeznaczeniu. Były wybudowane specjalnie do obserwacji. Przez to właśnie okno mógł widzieć pięć albo sześć poziomów nad nim i dwanaście przejść.

Rozejrzał się po okolicy i po paru sekundach spostrzegł grupę Zobolotsky'ego. Nieśli pochodnie, dzięki którym łatwiej było ich zauważyć. Ale gdy przyjrzał się im przez lornetkę, doliczył się jeszcze dwóch członków. Była z nimi córka Zobolotsky'ego i, ku jego zaskoczeniu, zobaczył także Jonesa. Bez względu na to, jak archeologowi udało się przeżyć i uciec, dziewczynę musieli uwolnić rosyjscy bliźniacy.

Rozczarowali go Rosjanie, ale mile zaskoczyli pozostali osobnicy. Nie mieli nic wspólnego z rządem, który zakazywał działalności braciom sufi, a szczególnie powiązanim z porządkiem bektaszija i Korpusem Janczarów. Ta gra nie była zabawna, jeśli nawet była jednostronna.

Widział, jak grupa próbowała dojść na powierzchnię labiryntu, ale utknęła w ślepym chodniku. Gdy zostali zmuszeni do wycofania się, próbowali znów i znów. Za każdym razem jednak znajdowali się przed ślepą ścianą albo kręcili się w kółko chodnikiem, przez który niedawno przeszli.

Spojrzał w inną stronę w poszukiwaniu Rosjan. Zlokalizowanie ich trwało trochę dłużej. Nie nieśli pochodni, które ich parzyły, ale przez to ich marsz był trudniejszy, ponieważ wiele przejść nie było oświetlonych. Spostrzegł, że bliźniacy idą tym samym pasażem, co ekspedycja. Byli kilka poziomów wyżej i bliżej celu wędrówki. Nie szukali Zobolotsky'ego ani innych. Szukali jedynie wyjścia.

Wkrótce jednak zawrócą i za parę minut obydwie grupy



spotkają się. Kolejna przegrana sprawa uczestników wyprawy. Ich szanse przeżycia i zobaczenia następnego dnia praktycznie nie istniały; dotarcie na górę Ararat w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Schodzili w dół schodami po napotkaniu ślepej ściany, gdy zaskoczyli Rosjan. Okazało się, że była to podwójna niespodzianka.

— Słyszę ich — zasyczał Borys. — Chodź tu, szybko.

Przykucnęli w ciemnej alkwie niedaleko przejścia, którym szła ekspedycja. Nie byli gotowi do ataku, mogli jedynie się bronić, gdyby zostali odkryci. Obydwaj zgodzili się, że ich najważniejszym celem jest znalezienie wyjścia i jeśli spotkają grupę Zobolotsky'ego, to zrobią właśnie tak: ukryją się, a później będą znów szukać wyjścia.

Gdy tu przybyli, znalezienie tego miejsca okazało się łatwe. Wieśniak był chętny do pomocy, kiedy zrozumiał, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Wprowadził ich do miasta, a gdy doszli do pierwszej pochodni, Aleksander zmiażdżył mu czaszkę na skalnej ścianie. To bardzo zdenerwowało Borysa, nie z jakiś moralnych względów, ale dlatego, że ciało mogłoby zwrócić uwagę. Teraz to nie miało znaczenia, natomiast znalezienie odpowiedniego chodnika stanowiło problem.

Zobolotsky i pozostali przeszli obok, ponownie ich zaskakując. Prowadzącym był Jones. Ten s... syn żył i miał swój bicz. Ten cholerny bicz. Warto by udusić nim Jonesa, może się to uda.

Za archeologiem szedł rudowłosy gangster z karabinem, a za nim kroczyli: Zobolotsky i Katrina, którzy nieśli pochodnie, i dwaj inni, wyglądający na Turków. Wszyscy skupiali swą uwagę na schodach i nikt nie dostrzegł Rosjan przykucniętych zaledwie parę stóp dalej:

— Teraz jest ich sześćcioro, Borysie. Możemy przypuszczać, że dostaniemy najwyżej dwoje. Nie powinniśmy byli tu przychodzić.

Borys nie wiedział, czy Aleksandrowi chodzi o podziemne miasto, czy o Turcję. Ale znając brata przypuszczał, że miał na myśli i jedno, i drugie.

— Słuchaj. Nie tylko my jesteśmy zaskoczeni. Turcy także nie spodziewali się tych facetów.

— A jakie to ma dla nas znaczenie?

— Zabijemy ich wszystkich. Turcy pozwolą nam wyjść, aby zrobić za nich brudną robotę. — Borys zauważył dziurę w murze nad ich głowami.

— Podsadź mnie, to zobaczę, co jest za tą dziurą.

Aleksander schylił się.

— Ale oni wkrótce wrócą, gdy tylko zobaczą, że ten korytarz prowadzi donikąd.

— Na to właśnie liczę. — Borys stanął na ramionach brata, a Aleksander wyprostował się. Było zbyt ciemno, aby Borys mógł określić, czy widzi pokój, czy inny korytarz, ale to nie miało znaczenia.

Wpadł na nowy pomysł.

— W porządku, zostaniesz na schodach, a gdy wrócą, skoczę na tego z karabinem. Ty weźmiesz Jonesa. Z pozostałymi damy sobie radę, tym bardziej że będziemy mieli karabin. Tylko nie pozwól nikomu przejść za sobą.

Indy przesunął rękami po murze, szukając dźwigni albo jakiegoś występu w ścianie, który by wskazywał, że są tam drzwi. Ale im dłużej szukał, tym bardziej przekonywał się, że ściana była po prostu ścianą — nie otwierała się w cudowny sposób, ani nie prowadziła do wyjścia.

— Nie, ten cholerny korytarz po prostu się skończył — powiedział. — Musimy wracać.

— Och nie — jęknęła Katrina. — Jak długo będziemy jeszcze schodzić?

— Pięć poziomów, jeśli chcemy dotrzeć do głównego korytarza — powiedział Omar. — Ale są też inne chodniki, którymi możemy szukać wyjścia.

— Może powinniśmy podzielić się na grupy, po dwie osoby — sugerował Ahmet.

Indy potrząsnęła głową.

— To byłoby zbyt niebezpieczne ze względu na Rosjan. Od razu by się na nas rzucili. Nie sądzę, żeby byli tak głupi i zaatakowali, gdy stanowimy jedną grupę.

— Założę się, że Hasan siedzi i czeka, aż się poddamy — powiedział Shannon i spojrzał tęsknie na Katrinę stojącą obok.

— Janczarzy tylko bawią się z nami — powiedział Zabolotsky. — Katrino dam ci drewno Arki. Chcę, abyś zapytała Boga o drogę.

— Amen — dodał Shannon. — Potrzebujemy wskazówki, ale co ma do tego ten kawałek drewna?

— Zobaczysz — rzekł Zabolotsky. Indy pomyślał, że wszystkiego można spróbować, szczególnie że pamiętał, co opowiedziała mu Katrina o drewnie Arki i jego oddziaływaniu na nią.

Usiadła na podłodze i ostrożnie zdejmowała materiał, w który był zawinięty kawałek drewna. Shannon rozglądał się niepewnie wokół.

— Jesteśmy zablokowani, jeśli ktoś tu przyjdzie za nami.

— Uwierz — powiedział Zabolotsky. — Widzę, że jesteś chrześcijaninem od niedawna. Shannon nachmurzył się. Wyglądał, jakby chciał rozpocząć dyskusję, ale Indy odciągnął go od reszty i zapytał po cichu, co się stało w Istambule. Shannon opowiedział mu o morderstwie i o ich podróży.

- Teraz już wiem, że to zrobili Rosjanie, a nie janczarzy.
- Biedna, mała dziewczynka — zasmucił się Indy.
- Szsz! — Zabolotsky wziął go za rękę. — Proszę.

Katrina miała zamknięte oczy i trzymała drewno Arki przy piersi.

Katrina ujrzała kobietę w świetlanej poświacie. Z początku nie widziała jej twarzy, ale zanim ją zobaczyła, wiedziała, że to jej matka. Od momentu gdy to dostrzegła, światło wydawało się coraz jaśniejsze. Matka uśmiechnęła się do niej, po czym światło zaczęło się obniżać, dopóki nie otoczyło Katriny. Pomyślała, że ją oślepi, ale poczuła się wypełniona spokojem i ciszą.

Ujrzała siebie unoszącą się w strumieniach światła, płynącą przez tunel, a nad nią było nocne niebo. Stała na ziemi w białej dolinie z dziwnymi domami, ale teraz wiedziała, gdzie jest. To już nie był obraz z jej wyobraźni, ale rzeczywisty widok, który istniał naprawdę nad podziemnym miastem. Słońce było nisko, lecz jasne światło księżyca zalewało dolinę.

Nagle dolina zniknęła. Wciąż widziała światło, a w nim, blokując drogę, stała postać jednego Rosjanina. Światło zgasło, a ona odzyskała świadomość, siedząc na podłodze w korytarzu. Spojrzała w górę i zobaczyła pozostałych, którzy przyglądali się jej.

— Czy zobaczyłaś drogę do wyjścia? — spytał ojciec. Gdy nie odpowiedziała natychmiast, zapytał znowu: — Czy Bóg wskazał ci drogę?

Nie chciała mówić mu, że widziała matkę. To było powodem zakłopotania i nieporozumień.

— Widziałam drogę, jak myślę, ale nie jestem pewna, gdzie to jest.

— Lepiej chodźmy — powiedział Indy. Wydawało się, że jest zniecierpliwiony; chciał czegoś więcej.

Zawinęła drewno Arki, czując się jednocześnie źle i głupio.

— Już wiem, gdzie jest wyjście!

Czekali, aż powie coś więcej, ale wyczekiwała odpowiedniego momentu. Może widziała swoją własną śmierć? Może to była jedyna droga wyjścia? Było jednak coś jeszcze.

— Tak?— zapytał jej ojciec.

— Znajdziemy wyjście, gdy odzujemy bliźniaków.

# 18

## OSTRZE

— Czy wiesz, że jest prawie druga nad ranem? — spytał Shannon, gdy szli chodnikiem. — Bez wątpienia, jestem wyczerpany.

Indy wiedział, że stracili tu poczucie czasu. Nie było dnia ani nocy. Jedynie ciemność, przyćmione światło pochodni i migoczące cienie.

— Tak chciałbym wypić filiżankę kawy, ale nie sądzę, abyśmy znaleźli bar przy tej drodze.

— Jak możecie żartować? — denerwował się Zobolots-ky, gdy wchodzili po schodach.

Indy stanął. Miał dość Zobolotsky'ego i jego gburowate-go zachowania i był bliski powiedzenia tego, co o nim myśli, gdy nagle Shannon wyciągnął broń.

— Co to było?

— Gdzie? — Indy obrócił się wokół. — Tam, w rogu. Coś usłyszałem.

— Nie strzalej — powiedział ktoś w ciemności. Indy nie usłyszał już nic więcej, a wielka postać spadła z góry i zwała Shannona z nóg. Broń wyleciała z rąk Jacka i zniknęła w ciemnościach.

Indy wyciągnął szablę, ale jakiś człowiek skoczył na niego jak zwierzę, chwytając za gardło i rzucając o ścianę. Ścisnął ramię Indy'ego, wykręcił i szabla zabrzczała, uderzając

o posadzkę. Krzyki, piski i jęki odbijały się wokół echem. Broń zniknęła. Jeden z mężczyzn złapał Omara i Ahmeta za gardło i dusił ich. Indy dostrzegł łysą głowę. Udało mu się przewrócić atakującego. Drugi Rosjanin przyłożył z ogromną siłą Shannonowi i Zobolotsky'emu, którzy wściekle skoczyli na niego. Indy próbował wyciągnąć bat, ale ten, którego przewrócił, upadł na niego. Wyrwał bicz z jego ręki i owinał wokół gardła Indy'ego. Szarpał tak mocno, że Indy zdał sobie sprawę, że jego kark może trzasnąć w każdej chwili. Był już bliski uduszenia, gdy Katrina przyłożyła pochodnię do twarzy Rosjanina. Bat rozluźnił się, a napastnik skoczył niczym ranny byk.

Indy odwrócił się akurat w chwili, gdy Katrina wsadzała pochodnię w spodnie drugiego bliźniaka. Przerażony pozwolił uciec Shannonowi i Zobolotsky'emu i ryczał z bólu, wyciągając pochodnię.

Kiedy Indy podnosił się, bliźniacy zniknęli w ciemności. Był poturbowany, ale pomógł wstać obydwu Turkom. Zobolotsky czołgał się, szukając drewna Arki, a Shannon trzymał w objęciach Katrinę.

— Uściśnij ją także ode mnie — powiedział Indy. — Uściskaj ją od nas wszystkich. Ta pochodnia uratowała nam życie.

Indy zauważył drewno Arki na podłodze, oświetlone słabym srebrzystym światłem, które się nagle pojawiło.

— Tam jest, Vladimirze — powiedział i odwrócił się, aby zobaczyć, gdzie jest źródło światła. Sączyło się przez otwór wysoko na ścianie.

— Światło. To światło księżycy — powiedziała podniecona Katrina. — Tu właśnie stał jeden z Rosjan, zasłaniając światło. Tu musi być nasza droga do wyjścia.

Shannon podsadził Indy'ego, który podczołgał się ku otworowi. Znalazł się w pomieszczeniu wielkości klozetu.

Parę stóp przed nim była ściana z takim samym okrągłym otworem. Nad nim znajdowało się coś, *co* wyglądało jak wąski szyb wywietrznika, a jeszcze wyżej świecił księżyc.

— To jest szyb powietrzny — powiedział Indy. Ma najwyżej około stu stóp.

— Może uda nam się wspiąć — odrzekła Katrina.

Indy przesunął ręką po gładkiej ścianie. Nie było uchwytyw. Nic, czego można się chwycić. Zsunął się w dół. Teraz Shannon i Katrina również weszli do ciasnego pomieszczenia.

Shannon znalazł szablę i robił nią dziury w ścianach.

— Chciałbym wiedzieć, jak długo potrwa wcinanie się w ten szyb.

To podsunęło Indy'emu pewien pomysł.

— Czy masz nóż, Jack?

— Tak, ale nie ma zbyt dużo czasu na użycie go. Rosjanie jeszcze są tu gdzieś.

Indy usiadł i odkręcił obcas w bucie, który przemókł w jeziorze i w czasie podróży przez system kanalizacyjny. Wyciągnął ostrze.

— Możesz użyć tego. Mamy dużo do zrobienia.

Hasan przyglądał się kuśtykaniu Rosjan przez następny ślepy chodnik. Wiedział, że odbyła się konfrontacja, a Rosjanie wyglądali na poszkodowanych. Minęło dwadzieścia minut, a pozostali ciągle się nie pojawiali. Co mogli tak długo robić? Tam był inny ślepy chodnik. Może Rosjanie wszystkich wykończyli?

— Myślisz, że nie żyją?

Hasan spojrzał na porucznika z pogardą.

— Skąd mógłbym wiedzieć?

— Chcesz, żebym poszedł i zobaczył?

Hasan nabrał głęboko powietrza i odetchnął. Miał na-



dzieje, że gra będzie trwała dłużej, że będzie szedł za nimi labiryntem i obserwował walkę. Lecz wyglądało na to, że wszystko się skończyło. Był rozczarowany.

Znowu zauważył bolszewików. Zbliżali się do Zielonej Drogi, pasażu, który mógł ich wyprowadzić na powierzchnię.

— Idź zobaczyć, co się im stało. Później wyjdź naprzeciw bolszewików, zanim dotrą do Zielonej Drogi. Nikt nie może się wydostać.

Wnętrze szybu było zrobione z tej samej wulkanicznej skały, która pokrywała dolinę i łatwo było w nim wyciąć uchwyty dla rąk i stopnie. Szli do przodu, wycinając stopień po stopniu, a nie zajmowało to więcej czasu niż trzydzieści sekund. Ale Indy nie wiedział, kiedy Hasan zacznie ich szukać. Był prawie pewien, że dowództwo janczarów wiedziało, gdzie są, a może nawet co robią, i jeśli będzie to trwało zbyt długo, wojownicy przyjdą zobaczyć, co się dzieje.

Indy owinął rękojeść kawałkiem materiału i pracował na wysokości pięćdziesięciu stóp, zmieniając się z Shannonem, podczas gdy Omar i Ahmet pracowali po drugiej stronie szybu, używając swoich noży.

— Indy, idę do góry! — krzyczał Ahmet. — Do taksówki!

Odwrócił się, aby zobaczyć, jak się wdrapuje, kłując nożem miękki tuf. Był zaskoczony, ale wiedział, że Ahmet działa prawidłowo. Muszą wydostać się stąd jak najszybciej. Patrzył na postępy Turka. Kilka pierwszych pociągnięć było szybkich i głębokich, ale powoli tracił siłę i każde następne nacięcie robił z coraz większym wysiłkiem. Potem, po przejściu jeszcze paru stóp, stanął, aby odpocząć.

Indy wiedział, że to błąd. Jedynym sposobem było

kontynuowanie wspinaczki. Nóż nie mógłby utrzymać jego wagi dłużej niż przez parę sekund. Zauważył, że ostrze powoli wysuwa się, a Ahmet zaczyna zjeżdżać. Gdyby spadł, zginęliby obydwaj. Ale w ostatnim momencie Turek wbił drugie ostrze w tuf, zatrzymując się na czas. Wydawało się, że ta wąska droga ocalenia dodawała mu siły i energii i szybko przebył pozostałą odległość. Wyskoczył na powierzchnię i jego nogi zniknęły z pola widzenia.

— Oto noże! — wrzasnął Ahmet. Indy zdążył pomyśleć, że jest niedobrze. Po prostu niedobrze.

Zobaczył srebrzysty błysk stali w świetle księżyca, gdy ostrze uderzyło o przeciwległą ścianę. Jedno spadało prosto na dół, ale drugie obilo się o wypukłość, zmieniając oczywiście kierunek. Spadało w stronę Indy'ego. Odwrócił głowę i zrobił unik. Rękojeść noża uderzyła go w palec, przelatując jedynie parę cali od głowy. Palec zapulsował od bólu, ale Indy się nie cofnął.

— Na dole wszystko w porządku, Indy! — zawołał Shannon. — Jesteś gotów na moje przyjście?

— Tak, schodzę w dół. — Zostawił Omara wchodzącego na przeciwległą ścianę i życzył mu powodzenia. Gdy doszedł na miejsce, poklepał Shannona po plecach. Wtedy zobaczył, że Zobolotsky i Katrina nie stali beczynnienie. Zbierali kawałki tufu i zastawiali nimi otwór.

— Dobry pomysł. Pomogę wam.

— Lepsze to niż stanie i czekanie na następny odłamek, który spadnie nam na głowy — powiedziała Katrina.

— Przepraszam — pogłaskał ją po włosach.

— To nic — odpowiedziała,

Zobolotsky rzucił mu groźne spojrzenie, gdy zobaczył, że dotyka Katriny.

— Jak mogłeś pozwolić na to, by ci brutalnie uprowadzili Katrinę w centrum miasta w środku dnia?

— Tatusiu, on nie mógł temu zaradzić.

— Nie mamy czasu na sprzeczki — stwierdził Indy, gdy odłamek tufu uderzył go w plecy. Potarł szyję, podniósł tuf i wcisnął w ścianę. Dziura nie była większa niż szeroka szczelina. Nagle usłyszeli janczarów.

— Idą — szepnął.

W tej sytuacji mogli jedynie wstrzymać oddechy i mieć nadzieję, że janczarzy niczego nie zauważą. Głosy stawały się coraz donośniejsze i Indy zorientował się, że było ich pół tuzina, a może i więcej. Zatrzymali się naprzeciwko ściany.

Grudka tufu upadła na nich. Indy zamknął powieki oczekując, że wyciągną szablę... Tymczasem oni praeszli obok i zaczęli wchodzić po schodach w stronę ślepego chodnika. Gdy uciuchł odgłos kroków, Indy, Katrina i jej ojciec padli na ziemię i zgarnęli tuf.

— Dzięki Bogu — westchnął Zobolotsky.

— Jeszcze nie jesteśmy na górze — ostrzegł Indy. Pomyślał, że zanim skończy się noc, Bóg może pokazać swoje drugie oblicze.

Ściana nie była ani okazała, ani mocna. Janczarzy mogli jej w ogóle nie zauważyć — myślał Indy, przyglądając się szybowi. Spojrzał w górę. Shannon miał jeszcze jakieś dwadzieścia stóp do wierzchołka, a Omar był jeszcze bliżej.

— Wchodźcie do góry — powiedział. — W tym czasie, gdy będziecie się wspinać, oni zrobią już wszystko.

— A ty? — spytała Katrina.

— Mam zamiar poczekać dopóty, dopóki nie usłyszę, że janczarzy wyszli stąd. Wtedy wejdę za wami.

Zobolotsky ruszył śladem Katriny, tą samą drogą.

— Nie rób tego — ostrzegł go Indy. — Jeśli ona spadnie, strąci ciebie. Wybierz inną drogę.

Zobolotsky odwrócił się i rzucił Indy'emu wściekle spojrzenie.

— Nie zatrzymuj nas, Jones. Jeśli Katrina zacznie spadać, mogę ją uratować. A jeśli spadnie, to również ze mną może stać się to samo.

Było w tym człowieku coś, co niepokoiło Indy'ego. Nie chodziło mu o jego zmienne humory i arogancję. Wyczuwał coś więcej. Teraz jednak nie miał czasu na zastanawianie się. Janczarzy wracali, a Indy obawiał się, że mogli coś usłyszeć.

— Idźcie, idźcie! — rozkazał im Indy w myślach.

— Hej, co robicie? — wrzasnął Shannon — Jeszcze nie skończyłem.

— Jack, zamknij się — wysyczał Indy.

Janczarzy umilkli na chwilę, po czym zaczęli trajkotać między sobą. Indy zaklął pod nosem i wycofał się przez dziurę właśnie wtedy, gdy szabla przebiła prowizoryczną ścianę, a za nią ukazała się ręka.

— O cholera.

Szybko wyciągnął bat zza paska. Pomieszczenie było ciasne, ale miał wolną przestrzeń nad sobą. Zamachnął się z taką siłą, że zaczepił o szablę napastnika i wyrwał mu ją z ręki. W tym momencie prowizoryczna ściana zaczęła się zapadać. Janczar, który stracił szablę, patrzył zdezorientowany.

— Szukasz tego — Indy trzymał szablę jak dzidę, mierząc w Turka. Janczar rzucił się do tyłu do swoich towarzyszy, którzy byli niżej. Indy wciąż ścisnął szablę w rękę. — Tylko żartowałem — powiedział.

Spojrzał w górę. Omar doszedł już do szczytu, ale Shannon ciągle był parę stóp od wyjścia, a Zobolotsky i Katrina zbliżali się do niego. Musi przytrzymać janczarów tak długo, jak długo będzie mógł — postanowił.

Jeden z nich właśnie ukazał się w otworze. Indy widział jego głowę i ramiona. Nagle pojawiła się ręka z pistoletem. W chwili gdy mężczyzna zauważył Indy'ego, ten machnął

szablą i odciął Turkowi rękę. Indy spojrzął na zakrzywione ostrze,  
— Weszło jak w masło, a działałem lewą ręką — mruknął pod nosem.

Janczar zniknął mu z oczu, ale inny wojownik szybko go zastąpił. Indy wyciągnął szablę, lecz Turek zablokował go i błyskawicznie zaatakował. To koniec — pomyślał Indy i w tym momencie zorientował się, że szabla napastnika przeszła mu pod pachą i utknęła w ścianie.

— Indy, pośpiesz się.

Rzucił okiem w górę i zobaczył, że Shannon i pozostali zakończyli wspinaczkę. Nie czekał już ani sekundy. Nawinał bat na ramię, chwycił szablę zębami i zaczął się wspinać najszybciej, jak tylko potrafił. Po pokonaniu kilkunastu stopni zorientował się, że janczarzy wspinają się jego śladem.

Niedobrze. Dużo ich.

Nie wiedział, czy uda mu się poruszać wystarczająco szybko, by zachować bezpieczną odległość od napastników. Zorientował się, że Omar i Ahmet wyłobili stopnie płytsze i bardziej oddalone od siebie niż te, które wycinał Shannon. Prawdopodobnie dlatego Omar pokonał je szybciej — zastanawiał się, nie wiedząc dlaczego posuwa się do przodu wolniej, niż przypuszczał.

Był już prawie w połowie drogi, gdy zsunęła mu się prawa stopa. Zawisł na moment, wierzgnął nogą i zobaczył, jak idący za nim janczar wyciąga rękę w kierunku jego kostki. Indy zdołał wesprzeć stopę, janczar zaś, nie mogąc pochwycić jego kostki, przytrzymał się innego wyłobienia w skale.

Indy przytrzymał mu rękę butem.

— Teraz moja kolej — warknął.

Janczar wrzasnął, wyszarpnął dłoń i zakolysał się na ścianie. Tego właśnie Indy potrzebował. Kopnął go, trafiając

w klatkę piersiową. Mężczyzna zsunął się na innego i razem zaczęli spadać, przewracając tych, którzy byli pod nimi. Runęli wszyscy.

— Nie było tak ile — gratulował sobie Indy.

Nagle coś go trafiło w głowę, poczuł krew na policzkach. Odwrócił się i zobaczył, że przeciwległą ścianą wspinają się uzbrojeni janczarzy.

— O cholera! — zaklął.

Przestał myśleć o głębokości stopni i wdrapywał się, jak mógł najszybciej. Teraz większe odległości między stopniami dawały mu przewagę. Ujrzał sylwetki Shannona i Omara rysujące się w świetle księżycy. Wyciągali ku niemu ręce...

Gdy tylko znalazł się na górze, pochwyił szablę i pchnął janczara wynurzającego się z szybu. Mężczyzna jednak zdołał się utrzymać i kiedy Indy nacierał na niego, ponownie padł strzał z pistoletu. Kula przeszła przez ostrze szabli poniżej rękojeści, a Indy poczuł ucisk między oczami.

— Chodź! — wrzasnął Shannon. Indy wrzucił szablę do szybu i wycofał się...

— Indy, szybko! — krzyknęła Katrina.

Odwrócił się i ujrzał ich oddalonych o pięćdziesiąt jardów. Biegli w kierunku światła samochodu. Popędził za nimi... Shannon przytrzymał otwarte tylne drzwi, gdy Indy wskakiwał do jadącego pojazdu. Odwrócił się i zobaczył z pół tuzina janczarów z wyciągniętymi szablami, stojących nad wylotem szybu.

— Nie ma wolnych miejsc, chłopaki — Indy wskoczył do środka i zatrasnął drzwi.

— To jest dużo bardziej zabawne niż jazda po Istambule! — zawołał Ahmet. — Gdzie jedziemy?

— Na górę Ararat, oczywiście — zdecydował Zobolot-sky.  
— Ponieważ dlatego jesteśmy tutaj.

— Więc zawiozę was tam.  
— Potrzebna ci będzie pomoc... — orzekł Omar. — Jadę z wami.

— Wyprawa jest gotowa — powiedział Zobolotsky głosem dowódcy.

Indy spojrzał na Shannona.

— Teraz zaczną się prawdziwe emocje.

— Nie wyglądasz na zdolnego do wspinaczki — odpowiedział Shannon.

Koszula Indy'ego była w strzępach. Twarz miał pobrudzoną zakrzepłą krwią.

— Mógłbym czuć się gorzej. Ale ciągle mam swój bicz.

— Za to twoja marynarka i kapelusz są w szybie — zauważył Shannon.

— Kiedy szedłem po ciebie — powiedział Ahmet — dostrzegłem dwóch ludzi. Widziałem ich tylko przez moment, ale jestem pewien, że to byli rosyjscy bliźniacy.

— Z tego wynika, że także znaleźli wyjście — stwierdziła Katrina

— I założę się, że także znajdą drogę na Ararat — dodał Indy.

## ARARAT

Południowe słońce świeciło jasno nad górą Ararat, niebo miało głęboki błękitny kolor. Dzień był niezwykle przyjemny. Wyszli z obozu jeszcze przed świtem i wspinali się przez ponad osiem godzin. Szóstka podzieliła się na trzy pary: Indy i Shannon byli o jakieś sto jardów przed Ahmedem i Omarem, a Zobołotsky z Katrinią zamykali pochód.

Indy napełnił płuca górskim powietrzem. Po tylu przejściach wreszcie dotarli na miejsce i zmierzali ku szczytowi słynnej góry. Męcząca wspinaczka nie osłabiła jego entuzjazmu, a otwarte przestrzenie i jasność dnia ostro kontrastowały z przytłaczającą ciemnością labiryntu podziemnego miasta, które opuścili tydzień temu.

Po ucieczce zatrzymali się na kilkugodzinny odpoczynek w kapadockim mieście Kayseri. Bali się jednak, że janczarzy będą ich szukać, więc opuścili je wczesnym popołudniem. Przez następne parę dni podróżowali wschodnią Anatolią; w tej części Turcji wciąż posługiwano się tym starożytnym mianem. Indy notował nazwy mijanych wiosek i miast, gdyż miał nadzieję, że któregoś dnia napisze coś o tych wędrownikach.

Przejeżdżali przez takie miejscowości, jak: Sivas, Malatya, Adiyaman. W Kahcie zatrzymali się przy świątyni na górze



zwanej kiedyś Nemrut dagi. Zanim wyjechali następnego ranka, Indy obejrzał kolekcję pozostawioną przez przed-romańskiego króla i jego krewnych. Każdego dnia był coraz bardziej pod wrażeniem starożytnych zabytków. Myślał także o tych, które wciąż jeszcze pozostawały ukryte.

Odwiedzili również Sanliurfę, Mardin i Diyarbakir, gdzie Indy obejrzał starożytny mur i ruiny meczetu wybudowanego więcej niż tysiąc lat temu. Następnego ranka pojechali na wschód przez Bitlis, później skierowali się ku południowemu brzegowi jeziora Wan i do miasta Agri i na wschód do Dogubeyazit, gdzie kupili rzeczy potrzebne do wspinania. Wreszcie przybyli do wioski o nazwie Eli, ostatniego przystanku przed wspinaczką. Leżała na wysokości sześciu tysięcy czterysta stóp nad Agridagi — turecka nazwa góry Ararat.

Ucieczka z podziemnego miasta przebiegała bez żadnych kłopotów, mimo że mieli podwójnych wrogów. Do tej pory nie odezwali się ani bliźnicy, ani janczarzy. Indy jednak nie tracił czujności... Najbardziej dokuczały mu pompatyczne opowieści Zobolotsky'ego. Zamięczał wszystkich rozważaniami o tym, jak prowadzi ich Bóg i jak będzie rozpowszechniać słowo Arki, kiedy wróci do cywilizowanego świata. Zachowywał się tak, jakby uznawał siebie za zwartychwstałego Chrystusa, a Katrinę za kogoś w rodzaju dziewiczej matki przepowiadającej przyszłość.

Chociaż Zobolotsky prawdopodobnie podejrzewał, że coś zaszło między Indym i Katriną, nie powiedział jednak na ten temat ani słowa. Trzymał natomiast Katrinę jak najbliżej siebie, nigdy nie pozostawiał jej samej. Za to Shannon wypytywał Indy'ego o szczegóły i było jasne, że jest zazdrosny.

Indy sam nie wiedział, co wydarzyło się między nim

i Katriną, jeśli cokolwiek w ogóle się wydarzyło. Prawdopodobnie pociągał ją, ale był Shannon. A poza tym to nie miało większego znaczenia, ponieważ nigdy nie mógł być z nią sam na sam. A ona rozważnie milczała.

Indy przerwał swoje refleksje i skierował uwagę ku dwom wierzchołkom góry, ciągle widocznym pomimo chmur, które rozsiadły się na niej. Ten po lewej to Buyuk Agri albo Wielki Ararat, ten drugi zaś nazywał się Kucuk Agri, czyli Mały Ararat. Arka była prawdopodobnie umiejscowiona na przełęczy między wierzchołkami na wysokości około czternastu tysięcy stóp.

Próbował sobie wyobrazić potop, który rzucił łódź na taką wysokość. Mógł to zrobić jedynie piekielny sztorm... Było tysiące argumentów przeciwko istnieniu Arki. Jeśli Zobolotsky rzeczywiście widział ją, Indy musiał tę sprawę omówić...

— Hej, zatrzymaj się! — zawołał Shannon, który był parę jardów za nim. Dyszał, gdy go dogonił.

— Co się stało? Jesteśmy prawie na miejscu.

— Wiem, ale czy nie sądzisz, że teraz Zobolotsky powinien objąć prowadzenie? Myślę, że to dobry pomysł.

Indy rzucił bagaż i oparł się o skalny blok.

— Wydaje mi się, że masz rację...

Kiedy wcześniej zatrzymali się na lunch, Zobolotsky zwrócił uwagę na osłonięty teren nieco nad nimi i zgodził się, że tam właśnie rozbiją obóz. Miejsce to leżało trochę poniżej linii śniegu i było osłonięte od wiatru. Dzieliło ich od niego mniej więcej pięćset stóp.

— Myślę, że on się obawia, iż chcesz ukraść jego namiot — powiedział Shannon — a ja się boję, że chcesz ukraść jego córkę.

— Do diabła, Jack, czy nie mógłbyś przestać mówić o Katrinie i o mnie? Twoja wyobraźnia płata ci figle.

— Przepraszam cię, to dlatego, że Katrina wydaje się pograżona w myślach przez cały czas, a ja sobie wyobrażam, że myśli o tobie. Nawet nie chce na mnie spojrzeć.

— Przypuszczam, że nie chodzi jej o żadnego z nas — Indy spojrzął na krajobraz pod nimi. Widział stąd liczne jeziora, które wyglądały jak małe bładoniebieskie tafle. Dachy domów w wiosce, w której rozbili obóz, były zwykłymi plamkami.

— Mam nadzieję, że pójdziemy dalej. Bardzo chciałbym dotrzeć do tej przełęczy jutro wczesnym popołudniem.

Shannon zaczął przetrząsać swój bagaż.

— Wydaje mi się, że jesteśmy prawie na miejscu. Mogę się założyć, że moglibyśmy spędzić dzisiejszą noc w Arce, gdybyśmy się pośpieszyli. A przynajmniej gdybyśmy szli tak szybko jak ty.

— Wątpię. To nie będzie takie łatwe. Pamiętaj o śniegu, wietrze i niskich temperaturach, że nie wspomnę o niewidocznych szczelinach.

Shannon wyjął Biblię.

— Jesteśmy w kraju Boga, Indy. Myślę, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że przeczytam parę linijek, zanim przyjdą inni.

Potrząsnął głową.

— Zamieniam się w słuch. — powiedział.

Indy dziękował Bogu, że w ciągu ostatnich dni Shannon ograniczył swoją działalność misyjną do minimum. Wydawało mu się, iż nie zniosłby aktywności dwóch wyznawców Biblii w zatłoczonej taksówce.

Shannon otworzył Biblię, z której wypadła koperta.

— O Boże! Tu jest telegram do ciebie. Odebrałem go w Istambule. Zupełnie o tym zapomniałem.

Indy spojrzął na kopertę; telegram był od Marcusa Brody'ego.

— Myślę, że długo nie otwierałeś Biblii, Jack — powiedział, rozrywając kopertę. — Chyba nie zapomniałeś o swoim powołaniu?

— Ani trochę, ale zauważyłem, że ty także dałeś się ponieść emocjom, przebywając tak blisko Vladimira.

— Amen — zakończył Indy. Wyjął kartkę papieru i przeczytał telegram:

„INDY. ON JEST OSZUSTEM. NIE BYŁO NIKOGO O NAZWISKU ZOBOLOTSKY W 19. PETROPAWŁOWSKIM REGIMENCIE. PRAWDOPODOBNIE NIGDY NIE BYŁ NA ARARACIE. MARCUS”.

— O Boże!

— O co chodzi? — spytał Shannon.

— Spójrz — podał Shannonowi kartkę papieru.

— Co to znaczy?

— To zaczy, że nas oszukał.

— Teraz dopiero uświadamiam sobie, że Zobolotsky nie wie o Turcji więcej niż ja — powiedział Shannon.

— I ograniczył się jedynie do paru ogólnych uwag na temat swej ostatniej wyprawy — dodał Indy,

— Więc co teraz zrobimy? — spytał Shannon.

Indy potrząsnął głową z odrazą.

— Zapewne da mi kilka wskazówek w sprawie tego, co powinienem uczynić, zanim zrobię następny krok, wspinając się razem z nim.

Katrina cieszyła się, że Indy i Jack w końcu doszli do miejsca obozowania. Była wyczerpana całodzienną wspinaczką, a przecież nie niosła żadnych rzeczy.

— Czy pamiętałeś, że to jest takie męczące, tatusiu? — spytała

— Staralem się o tym zapomnieć — odpowiedział. — Myślę tylko o Arce i właśnie ją ujrzymy niedługo.

Ledwo mogła uwierzyć w to, że następnego dnia dotrą do Arki. Obawiała się nie tylko widoku cudownej łodzi, ale nawet fotografowania jej. Zrobiło jej się lżej, gdy policja znalazła aparat skradziony w Hagia Sophia. Miała jednak wyrzuty sumienia, myśląc o tym, że Omar i Ahmet niosą jej rzeczy i resztę wyposażenia. Wolałaby iść w towarzystwie Indy'ego lub Jacka przynajmniej przez część dnia. Ale ojciec pragnął, by została przy nim. Od czasu ucieczki z podziemnego miasta chciał, aby miała jak najmniej do czynienia z innymi mężczyznami. Zrzucił odpowiedzialność za wszystkie kłopoty na Indy'ego, a jej było przykro z tego powodu.

Pomimo zażyłości, jaka łączyła ją z Indym, bardziej interesowała się Jackiem. Myślała o nim tak dużo, że nie mogła na niego spojrzeć i bała się, że może wyczytać to w jej oczach. Nie był tak przystojny jak Indy, nie dawał poczucia bezpieczeństwa. Ale walczył, by się odnaleźć i ona potrafiła to zrozumieć. Wiedziała o nim wszystko. Był muzykiem jazzowym, a ta drobna sprawa fascynowała ją. Nie słyszała nigdy jazzu, dopóki nie wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych i jeśli nawet ojciec był niezadowolony z tego, muzyka ta robiła na niej głębokie wrażenie.

Wiedziała, że nie ma sensu rozmowa z ojcem o jazzie, o Jacku, o tym, co ona czuje. To by tylko wszystko pogorszyło. Przynajmniej teraz. Poza tym niewiele miała do powiedzenia. Jack nigdy nie wyznał jej swych uczuć. Pamiętała, jak ją uściskał w podziemnym mieście, gdy udało jej się przepędzić bliźniaków. To była chwila emocji, chwila, w której pękły bariery.

Dwaj Turcy dochodzili Indy'ego i Jacka, a ona wraz z ojcem została jedynie parę jardów z tyłu. Wtedy usłyszeli

szczekanie. Kilka ogromnych psów — a może wilków — pędziło przez płaskowyż w ich stronę.

— Spójrz, tatusiu!

— *Dikkat! Dikkat!* — zawołał Omar. — Szybko, niebezpieczeństwo!

— Wchodźcie tu! — krzyczał Indy z miejsca, w którym odpoczywał.

— Tatusiu, biegiem!

Gdy biegli w kierunku skały, ujadanie stawało się coraz głośniejsze i mieszało się z wyciem. Indy podciągnął Jacka, po czym obydwaj pomogli Omarowi i Ahmetowi. Zobolots-ky i Katrina byli już blisko, gdy doktor poślizgnął się. Dziewczyna zatrzymała się, aby pomóc ojcu. W tej chwili psy zaatakowały. Wyszczерzyły kły, skacząc na nich. Zamarła. Stało się. Zakryła głowę rękami i zacisnęła powieki.

Zwierzęta jednak zatrzymały się koło niej. Słyszała ich warknięcia, czuła ich gorące oddechy na plecach i szyi. Po chwili podniosła głowę.

— Nie ruszaj się! — cicho powiedział Indy zza skały.

Psy warczały i grzebały łapami w ziemi. Było ich pięć lub sześć. Wyglądały jak wilki, ale miały obroże. Nagle dostrzegła mężczyzn. Przyglądali się zza skały.

— Czy to janczarzy? — spytał Jack.

— Nie — odpowiedział Omar. — To Kurdowie. Powoli mężczyźni wyszli zza skały. Mieli długie brody, turbany i proste ubiory utkane z surowej wełny. Gdy podeszli bliżej, Ahmet zawołał do nich.

— *Mehaba! Hello!* Mężczyźni nie odpowiedzieli.

— *Lutten kopegi tutun.* Przytrzymajcie psy.

Jeden z mężczyzn coś powiedział, a zwierzęta zakwiliły i wycofały się, machając ogonami i opuszczając głowy.

Mężczyźni podeszli bliżej, przyglądając się członkom wyprawy i rozmawiając między sobą.

— Czego chcą? — zapytał Zobolotsky.

Gdy Omar powiedział coś do mężczyzn, odrzekli mu.

— Chcą wiedzieć, co robimy tutaj — przetłumaczył.

— Powiedz im — ponagłała Katrina.

Omar wygłosił coś, co brzmiało jak długa mowa bez związku. Katrina nic z tego nie rozumiała. Ten, który wyglądał na przywódcę, najstarszy z grupy, odpowiedział w kilku lapidarnych zdaniach.

— Chce wiedzieć, czy jesteśmy Rosjanami — wyjaśnił Ahmet. — Oni nie lubią Rosjan w swoim kraju.

Katrina wiedziała, że są niedaleko rosyjskiej granicy i słyszała, jak Omar opowiadał, że między nimi i Rosjanami są wrogie stosunki.

— Powiedz mu, że jesteśmy Amerykanami — stwierdził Zobolotsky.

— Powiedziałem — odrzekł Omar.

— To zapytaj go, czy wie coś o Arce? — wtrącił Indy.

Stary Kurd wysłuchał pytania, pokiwał ręką w stronę szczytu i coś powiedział.

— Mówi, że nie wolno wspiąć się wyżej. To jest miejsce święte i chronione. — przetłumaczył Omar. Arka z pewnością tam jest, ale nigdy nie próbowali jej szukać. Powiada też, że jeśli spróbujemy iść dalej, spotkamy jedynie swoją śmierć.

— Optymista — mruknął Jack.

W tym momencie stary Kurd wyciągnął długi nóż zza pasa i rzucił w stronę Katriny. Ostrze wbiło się obok jej stopy, przebijając łeb węża.

Kurd podniósł nóż i podrzucił węża. Skierował parę słów

do Katriny, później powiedział coś do Omara. Skinął do swojej grupy, a ci odeszli bez słowa.

— Co on mówił? — spytała Katrina.

— Powiedział, że wąż był jadowity i chciał cię ukąsić — odpowiedział Omar. — Mówił też, żebyśmy lepiej nie zabijali ich owiec, ponieważ oni zabiją nas.

Indy zeskoczył ze skały.

— To brzmi uczciwie.

Katrina spojrzała na ziemię, gdzie leżał wąż, i potarła dłońmi ramiona. Gdy podniosła głowę, Jack wpatrywał się w nią. Wiedziała, że chce coś powiedzieć. Uśmiechnęła się nieśmiało do niego i spojrzała z daleka.

— Chodźmy na skalną półkę i rozbijmy tam obóz — powiedział Zobolotsky.

— Jeszcze nie teraz. Najpierw musimy coś wyjaśnić. Otóż nie wierzę, że byłeś tu kiedykolwiek, Vladimirze. Sądzę, że kłamiesz twierdząc, że widziałeś Arkę Noego.

— O czym ty mówisz? Widziałeś drewno na własne oczy i wiesz, że jest święte.

— Wiem, że nigdy nie byłeś w Dziewiętnastym Petropawłowskim Regimencie.

— Dlaczego mówisz to teraz, gdy jesteśmy prawie na szczycie góry?

— Bo dopiero ostatnio dotarła do mnie taka informacja, w porządku?

— Oszalałeś, Jones. Chodźmy, Katrino. Zabieramy nasze bagaże. Nie potrzebujemy tych szaleńców.

Katrina była zaskoczona tym, co powiedział Indy. Przez tę krótką chwilę zrozumiała, że to, co wydarzyło się pięć lat temu, nabrało sensu. Teraz już wiedziała, iż jej ojciec kłamał.

— On mówi prawdę, tatusiu?

— Ty także przeciwko mnie?



— Nie pamiętasz, tatusiu? Opowiadałam ci o człowieku, który przyszedł do naszego domu i był tak szczęśliwy słysząc, że żyjesz. Opowiadał, że był w armii razem z tobą, ale zniknąłeś w czasie bitwy z Niemcami w 1917 roku. Kiedy ci to opowiedziałam, odrzekłeś, że chodzi o jakiegoś innego Władimira Zobolotsky'ego. Ale to byłeś ty? Nigdy nie stacjonowałeś w Turcji, prawda?

Zobolotsky rozejrzał się.

— Nie miałyśmy od ciebie żadnych wiadomości, a później wróciłeś do domu z tą opowieścią. Dlaczego, tatusiu, dlaczego?

— Przestań — jego twarz wykrzywiła złość. Łagodniejszym głosem powiedział: — Masz rację. To prawda.

— Ale, tatusiu, co z relikwią? Czy to jest następne kłamstwo?

— Nie, ona jest prawdziwa.

— Ale właśnie powiedziałaś...

— Wiem, co powiedziałem. — Zakrył twarz rękami, zbierając myśli.

Katrina mogłaby powiedzieć, że przygotowuje się do wykładu, ale tym razem czuła, że będzie inny niż te, które wygłaszała do tej pory.

— Gdy byłem młodym lekarzem, zachorowałem śmiertelnie — rozpoczął. — Zostaliśmy wysłani na linię frontu i nie wiedziałem, że większość z tych ludzi zginie. Miliony umierały. Wioski były założone ciałami zmarłych. Uginałem się pod ciężarem krwi i śmierci. To było straszne. Więc uciekłem do Rosji, ale nie mogłem wrócić do domu, bo byłbym aresztowany za dezercję. Przyłączyłem się do bolszewików.

Katrina nie mogła umierzyć w to, co usłyszała. Wydawało jej się, że rozmawia z obcym człowiekiem. Nie chciała go znać.

— A w jaki sposób dostałeś drewno Arki? — spytał Indy.

— Przechodzę do tego. Nie powiedziałem bolszewikom, że jestem lekarzem, ponieważ byłbym zbyt cenny. W tym czasie sam nie wiedziałem, jakie mam poglądy polityczne. Bolszewicy zrobili mnie kurierem i wtedy właśnie dowiedziałem się o Arce.

Opowiedział, jak razem z innym człowiekiem schwyтали kuriera Białych, jadącego do cara. Odkryli, że wiezie fotografie i opis Arki oraz objaśnienia, jak ją znaleźć. Głęboko w jego rzeczach Zobolotsky znalazł drewno Arki.

— Widzicie, byłem człowiekiem religijnym i gdy to odkryłem, zrozumiałem, że mam wiadomość od Boga. Nie mogłem być w szeregach bezbożnych bolszewików. Chciałem wziąć teczkę z dokumentacją, ale drugi bolszewicki kurier nie pozwolił mi. Wiem teraz, że powinienem go zabić i pozwolić kurierowi Białych dotrzeć do cara, ale wszystko działo się tak szybko. Jedynie zdołałem zabrać relikwię.

— A co się stało z resztą? — spytał Indy.

— Kurier dostarczył to do dowództwa. Podejrzewam, że wpadły w ręce Trockiego. Co do mnie, uciekłem do domu i w zawierusze rewolucyjnej wyjechałem z Katriną do Ameryki. Nigdy nie zapomnę tego, co zobaczyłem w teczce kuriera i oczywiście wziąłem drewno ze sobą. Wiedziałem, że pewnego dnia dotrę tu.

— Dlaczego nie powiedziałeś prawdy?! — zawołała błagalnym głosem Katrina.

— Po pierwsze, bałem się przyznać, że przyłączyłem się do bolszewików. Obawiałem się, że nie pozwolą mi wjechać do Stanów Zjednoczonych. Po drugie, opowiadałem tę historię i ludzie słuchali jej. Nie mogłem tego zmienić. Nikt nie uwierzyłby w to, co mówię o Arce, gdyby odkryli, że nie byłem na górze.

— Masz cholerną rację — Indy wyjął telegram z kieszeni.  
— Nie byłoby mnie tutaj, gdybym otrzymał tę kartkę w Istambule.

Katrina wzięła kartkę i przeczytała, po czym wręczyła ją ojcu bez słowa. Pomimo wyjaśnień, nie rozumiała, jak mógł być tak religijny i jednocześnie żyć tak długo w kłamstwie.

Zobolotsky zmiął telegram i rzucił na ziemię.

— Ważne jest, Jones, że żołnierze Białych weszli na górę i znaleźli Arkę. A teraz robimy to my.

— Jeśli cała rzecz nie jest oszustwem — powiedział Indy.  
— Może nic z tego nie jest prawdziwe. Może to była sztuczka cara, aby utrzymać Rosjan po swojej stronie przeciw rewolucji.

— Nie wierzę w to — powiedziała Katrina. Teraz jednak wątpiła. Czy rzeczywiście trzymała prawdziwe drewno z Arki tamtej nocy, gdy wyjęła je z sejfów w hotelu w Chicago? Czy to ważne? Może to była siła wiary, może jej wizje nie miały nic wspólnego z relikwią?

— Wkrótce się dowiemy.

— Czy teraz możemy wejść na półkę skalną? — spytał Zobolotsky. Gdy mówił te słowa, odgłosy salwy karabinowej przeszły zimne górskie powietrze. Nastąpił moment ciszy. Po chwili rozległ się krzyk Katriny. Jej ojciec padał na ziemię. Rzuciła się na niego.

— Nie! Nie!

Omar i Ahmet krzyczeli po turecku, a Jack i Indy po angielsku. Dwóch z nich chwyciło doktora pod ramiona, a pozostali nieśli go, trzymając za stopy. To nie powinno się wydarzyć — myślała rozpaczliwie Katrina. Nie mogła w to uwierzyć.

Kula odbiła się rykoszetem od skały i przeleciała niedaleko głowy Katriny. Jack wyjął broń, padł na kolana i zaczął

strzelać. Po chwili położył rękę na ramieniu dziewczyny i pośpieszyli ku półce.

Oczami wyobraźni ujrzała ojca dochodzącego do miejsca, w którym założyli obóz.

A teraz on tam prawdopodobnie umrze.

Indy nie miał pojęcia, kto strzelał ani skąd strzelano. Wiedział jedynie, że Zobolotsky nie żyje.

Shannon i Katrina stali razem, gdy długie cienie położyły się na górze. Głowę oparła na piersi Shannona, a on objął ją ramieniem. Ciało Zobolotsky'ego było przykryte brezentem i leżało parę stóp dalej. Minęły dwie godziny od czasu, gdy padły pierwsze strzały. Od tej pory usłyszeli tylko jeden odgłos, odległy i przytłumiony, jakieś pół godziny temu.

Indy stał na straży, a jego karabin błyszczał w gasnącym świetle. Omar i Ahmet poszli zorientować się w sytuacji, ale od tej pory nie wrócili. Zsunął się z półki skalnej.

— Mam zamiar odgrzać zupe.

— Dobry pomysł — powiedział Shannon. — Daj mi karabin.

Indy pochylił głowę w stronę Katriny.

— Czy z nią wszystko w porządku? Katrina spojrzała na niego i kiwnęła.

— Tak, w porządku — powiedziała słabym głosem. Wtedy usłyszeli strzały. Indy odwrócił się, ale minęła chwila, zanim zorientował się, że wystrzelono zza skały.

— Co się tam, u licha, dzieje? — spytał Shannon.

— Nie wiem, ale się dowiem. Wrócę za moment.

— Indy, za chwilę będzie zupełnie ciemno.

— Dobrze. Nie zobaczą mnie. Poszedł w stronę, z której wystrzelono. Myślał o tym, czy Ahmet i Omar nie po potrzebują pomocy. Ale teraz nie mógł nic dla nich zrobić.

Nie odszedł daleko, gdy zobaczył długi cień na skałach, potem drugi. Potworne cienie. Szły jego śladami. Mógł również zobaczyć cienie karabinów. Zsunął się ze skały i zaczął celować.

— Hej, tam — zawołał Indy, gdy Ahmet był o dziesięć jardów od niego.

Obydwaj mężczyźni zsunęli się za skałę, po czym Omar krzyknął:

— Indy, czy to ty? Wstał i podbiegł do nich.

— Co to były za odgłosy?

Turcy zaczęli naraz opowiadać, mieszając angielski i turecki. Indy nic z tego nie zrozumiał. W końcu złapał Ahmeta za ramię.

— Od początku. Tym razem powoli.

— W porządku. Szliśmy w kierunku strzałów, które słyszeliśmy, a gdy podeszliśmy bliżej, Kurdowie wyskoczyli i złapali nas. Myśleliśmy, że nas zabiją.

— Ale to była owca, wiesz — powiedział Omar.

— Nie wiem. Jaka owca?

— Dwaj Rosjanie, bliźniacy. To oni zastrzelili Zobolotsky'ego — wyjaśnił Ahmet. — Później wpadli na pomysł, aby uczcić zwycięstwo. Zabili więc owcę na obiad, a Kurdowie widzieli wszystko.

— I zabili ich?

Potrząsnął głową.

— Nie, jedynie przestrelili im nogi. Prawdopodobnie uciekają powoli. Kurdowie chcieli nam pokazać, co zrobią każdemu, kto zabije ich owce.

Indy spojrział w kierunku, z którego przyszli Turcy. Wiedział, że zraniony człowiek może być tak samo niebezpieczny jak ranne zwierzę. Nie mógł dopuścić, aby Rosjanie szli za nim, nawet z okaleczonymi nogami.

— Chodźmy zobaczyć — powiedział.

— Tędy — wskazał Omar. Wspinali się na skały przez parę minut. Słońce już prawie całkowicie zgasło, gdy doszli do podnóża wzniesienia.

Ahmet wskazał na wierzchołek.

— Możemy rozejrzeć się stamtąd.

Przeszli parę kroków, gdy usłyszeli przeraźliwy zgiełk, jaki robią wyjące psy.

— Co to, u diabła, może być? — zastanawiał się Indy.

Borys nie był tak pokaleczony jak Aleksander, który ciężko krwawił od postrzału w udo. Borys był gotów do wyjęcia kuli z nogi swego brata. Uporał się z własną raną sam, ponieważ nie miał zaufania do Aleksandra.

— Co zrobimy? Nie możemy tak schodzić z góry? — skarżył się Aleksander. — Chyba tu umrzemy.

— Zamknij się i trzymaj mocniej bandaż. — Borys polał ranę wódką. — Napij się. To pomaga. — Podał mu butelkę. Aleksander pociągnął parę łyków.

— Już jesteś gotów?

— Tak.

Borys włożył nóż do rany, a Aleksander krzyknął. Jego krzyk zginął jednak wśród mrozącego krew wycia dobiegającego spoza nich. Borys puścił nóż. Odwrócił głowę i zobaczył dwa ogromne niedźwiedzie krążące wokół nich. Musiały mieć dziesięć stóp wysokości i potężne łapy. Jeden z nich wyszczerzył zęby i zaryczał ponownie.

Borys podniósł rękę, a niedźwiedź uderzył go swą wielką łapą, szarpiąc przedramię.

— Nie! Nie! — Borys umykał, jak mógł najszybciej.

— Borys, pomóż mi! — wrzeszczał Aleksander.

Druga masywna bestia złapała Aleksandra, objęła go łapami i ścisnęła. Potrząsnęła nim, jakby nic nie ważył.

Niedźwiedź zamruczał, potrząsnął nim znowu i rozerwał mu gardło.

Ale Borys tego nie widział. Zobaczył jedynie ostre jak brzytwa pazury sięgające jego głowy. Po chwili bestia rozrywała mu twarz.

Ze szczytu wzgórza Indy obserwował, jak Rosjanie stają się ofiarami traktowanymi tak, jak oni postępowali wobec innych. Para ogromnych niedźwiedzi ciągnęła ich na bok. Kilka kroków dalej leżała owca, której Rosjanie już nigdy nie spróbują.

Bardzo źle, chłopcy, bardzo źle.

## AKCENT KOŃCOWY

*Następnego dnia*

Katrinie wydawało się, że pole śniegu nie ma końca. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się biel. Szli powiązani z sobą, wbijając tyczki w śnieg. Jeśli Indy wpadnie — myślała — mogą go wyciągnąć. Tak samo można postąpić, jeśliby Jack wpadł za Indym. Gdyby jednak ona, Katrina, leciała za nimi w przepaść, wówczas dwaj Turcy wpadną razem z nią. I byłby to gwałtowny koniec wyprawy, która już straciła swego kierownika.

Jedynie słowa Jacka, który podtrzymywał ją na duchu, sprawiły, że Katrina zdobyła się na odwagę, - aby kontynuować wspinaczkę. Chociaż pomagało jej oddanie Jacka, ona była zimna jak lód i śnieg, które ich otaczały. Emocjonalne odretwienie nastąpiło samo, było jej potrzebne. Nie mogła się załamać, ponieważ wyprawa rozpadłaby się i marzenie jej ojca nigdy nie zostałyby urzeczywistnione. Nalegała więc, żeby iść dalej, wspinając się z taką determinacją, o której nawet siebie nie podejrzewała.

Chmury były tylko paręset stóp nad nimi i stale obniżały się. Katrina walczyła z ogarniającą ją rozpaczą. Arka mogła być pogrzebana pod śniegiem i lodem w każdej z dolin czy kanionów, przez które przeszli. Ale zgodnie z tym, co czytał



jej ojciec dziesięć lat temu, i co było prawdą, Arka powinna być widoczna.

Próbowała nie myśleć o tym, jak zwróciła się przeciw ojcu w ostatnich minutach jego życia. Nie chciała, aby te uczucia zawładnęły nią. Był dobrym człowiekiem. Wierzyła w to i miała zamiar wypełnić jego ostatnią wolę. Tuż przed śmiercią wyszeptał do jej ucha: „Tam. Arka. Widzisz ją?”

Natura nie była jedynym ich przeciwnikiem. Shannon nie zapomniał o janczarach. Gdy tylko mieli dobry widok na całą okolicę, zatrzymywał się i lustrował wszystko lornetką Zobolotsky'ego, którą dostał od Katriny. Przede wszystkim obserwował górę, szukając śladów Arki Nowego. Następnie przyglądał się płatom śniegu pod nimi. Za każdym razem bez słowa odkładał lornetkę i kontynuowali wspinaczkę, którą wszyscy chcieli ukończyć.

Indy opowiedział Katrinie o losie Rosjan. Zapytał także, kto chciałby rankiem wyruszyć w drogę powrotną. Chociaż Shannon był ciekaw tego, co kryją zbocza Araratu, gotów był zejść, jeśli tego zechcą inni. Ku jego zaskoczeniu Katrina była zdecydowanie przeciwna powrotowi. Powiedziała, że jest to wyprawa jej ojca, a on nie tylko chciał być pogrzebany na górze, ale pragnął tego, by doprowadzili do końca to, co on rozpoczął.

Po tej przemowie nikt już nie miał innego zdania. Jack był dumny z Katriny i coraz bardziej w niej rozkochany. Chociaż przyjmowała od niego słowa otuchy i zachęty, myślał jednak, że ona potrzebuje ciepła, a to pozwalało mu mieć nadzieję; być może czeka ich wspólna przyszłość, gdy wyjadą z Turcji.

Rano pogrzebali ciało Zobolotsky'ego na półce skalnej, na której spali. Katrina ucałowała ojca, po czym ułożyła relikwię na jego piersi i skrzyżowała na niej jego ręce.

— Czy jesteś pewna, że chcesz tego? — zapytał Indy.

— Drewno należało do niego.

Shannon domyślał się, co mógł czuć Indy. Jeśli to było drewno z Arki Noego, to ten kawałek stanowił skarb, który należał do ludzkości. Ponadto Zobolotsky ukradł go. Ale Indy nic nie powiedział. Razem z Jackiem zwinęli ciało w brezent i później, z pomocą Omara i Ahmeta, przykryli je kawałkami skał.

Zanim odeszli, Katrina poprosiła o przeczytanie czegoś z Biblii. Oczywiście zgodzili się, a ona wybrała cytat ze świętego Łukasza, rozdział ósmy, wersy od dwudziestego drugiego do dwudziestego szóstego, te, które jej ojciec czytał przez ostatnie parę dni

Shannon przyjrzał się tekstowi, zapoznał się z nim po cichu, a potem przeczytał go na głos wszystkim czekającym:

„I rzeki do uczniów: Przyjdą dni, że będziecie żądać, abyście wiedzieli jeden dzień ze dni Syna Człowieczego, ale nie oglądacie. I rzekę wam: Oto tu, albo oto tam jest; ale nie chodźcie ani się za nimi udawajcie. Albowiem jako błyskawica, błyskając się od jednej strony, która jest pod niebem, aż do drugiej, która jest pod niebem, świeci: tak będzie i Syn Człowieczy w dzień swój. Ale pierwej musi wiele ucierpieć, i być odrzuconym od narodu tego. A jako było za dni Noego, tak będzie i za dni Syna Człowieczego”\*

Shannon pomyślał, że wie, dlaczego Zobolotsky czytał te wersy ciągle od nowa. Można je było interpretować twierdząc, że odkrycie Arki będzie zwiastunem powrotu Syna Człowieczego. Zobolotsky musiał siebie widzieć jako kogoś na wzór Chrystusa, który cierpiał i był wyklęty. Poszukiwania doktora były źródłem żartów. Jego głównych sojusz-

\* Tamże.

ników stanowili ludzie, którzy byli bardziej przejęci efektami praktycznymi niż duchowymi. Ale Zobolotsky także kłamał i oszukiwał. Był człowiekiem, a nie Bogiem.

Shannon mógł także domyślać się, że janczarzy dostrzegają w tych słowach zapowiedź sądu ostatecznego w chwili odkrycia Arki. Może mieli rację, może mylili się. A może jeszcze nie nadszedł czas na odszukanie Arki. Kim był, aby przyjmować odpowiedzialność za rzeczywisty koniec świata?

Zatrzymał się.

— Poczekajcie chwilę.

Indy odwrócił się i zmarszczył brwi.

— Co tam?

Katrina popatrzyła uważnie.

— Czy wszystko w porządku?

Shannon schylił się, wziął garść śniegu i natarł twarz.

— Co robisz? — spytał Indy.

— Chcę po prostu rozjaśnić umysł. Wydaje mi się, że odczuwam skutki wysokości.

Kartina pochyliła się obok niego.

— Możesz to zrobić?

— Oczywiście. Ale czy wszyscy chcemy tego?

Katrina rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

— Co przez to rozumiesz?

— Zacząłem zastanawiać się i pomyślałem, że to może być błąd, że może nie powinniśmy tu przychodzić.

— Czy chcesz wrócić? — spytał Indy.

— A ty?

Indy spojrział na szczyt Wielkiego Araratu, który wyrastał przed nimi. Gruba warstwa chmur prawie całkowicie zasłaniała wierzchołek góry.

— Jeśli słowa janczarów były czymś więcej niż groźbą, należy zapomnieć o wszystkim. Niech Arka spoczywa tam.

Myślę jednak, że powinniśmy dokończyć to, czego się podjęliśmy.

— Ale co będzie, jeśli janczarzy mieli rację? — spytał Shannon.

Cisza zaległa na chwilę, po czym Omar kopnął zamrażający śnieg.

— Jeśli nie powinniśmy tu przychodzić, to nie idźmy dalej. Proste, prawda?

Shannon nie był pewien, czy decyzja jest taka prosta. Ich kierownik zmarł i może to było ostrzeżenie. Czuł, jakby na swoich plecach niósł ciężar przyszłości świata, a nie plecak. Kto dał janczarom prawo do twierdzenia o czasie nadejścia dnia ostatecznego i prawo do zabijania...

— Chodźmy zobaczyć, co nas tam czeka.

— Jack, nie bierz tego tak poważnie, dobrze? — rzekł Indy, gdy przygotowywali się do dalszej wędrówki. — Jest wielkie prawdopodobieństwo, że nie znajdziemy niczego.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że przebyłeś całą drogę, nie wierząc w istnienie Arki?

— Słuchaj, dla mnie to nie jest kwestia wiary. Może i była jakaś Arka; może było nawet bardzo wiele arek, które tu osiadły po jakiejś wielkiej powodzi w czasach starożytnych. Może któraś z nich jest na tej górze. Ale ta Arka jest legendą.

Po pewnym czasie żmudnej wspinaczki Shannon wytłumaczył sobie słowa Indy'ego. Jak pamiętał, Biblia nie mówiła o wielu arkach. Indy zawsze gmatwał sprawy tak, że trudno je było zrozumieć. Indy był mądry, ale nie czytał Biblii. Wiedział, że Indy nie wierzy, iż ziemia została stworzona parę tysięcy lat temu. Powiedział mu to. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był zakłopotany. A jeśli Indy miał rację, to wtedy Biblia myliła się? Ale jakże to możliwe?

Nie przeżywał takich dylematów, gdy był na scenie i grał swoją muzykę. Nie było takich problemów do rozwiązania,

takich dziwnych myśli... Prawda o Arce mogła być jak piękno *jazzu*. Były różne sposoby grania jazzu, a każdy grał to, co czuł. Ale żadna interpretacja nie była jedynym sposobem grania.

— Może właśnie tak — zamruczał do siebie. — Może z tym jest tak, jak z graniem jazzu.

Śnił, że dotarli *do* Arki i mieli do niej wejść przez *ziejącą* czarną dziurę, która prowadziła do środka. Może zwierzęta mieszkały w Arce? Ale jakie *zwierzę* może żyć na tej wysokości?

Indy zrobił krok, a wrzask stawał się coraz bardziej ogłuszający. Przewrócił się, a zwierzęta biegły po nim i po innych, miażdżąc i grzebiąc ich. Obudził się spocony, nie mógł złapać tchu.

To był niemądry sen, niewart nawet opowiedzenia innym. Ale ciągle myślał o nim, towarzyszył mu przez kilka godzin mozolnego przekopywania się przez pole śniegu.

Nagle jego kij zapadł się głębiej. Shannon nie zauważył, że Indy się zatrzymał i szedł prosto na niego. Indy chwiał się na brzegu przepaści, gdy Shannon zdołał pociągnąć za linę i odciągnąć go.

Indy odwrócił się, uśmiechnął, ale jego twarz była biała jak śnieg.

— To koniec. — Wbił kij w występ nad nimi. — Spróbujmy iść dalej tą drogą, skoro nie możemy wspinać się w tym kierunku.

Krajobraz wzdłuż ich trasy stał się bezśnieżny, skalisty. Teraz wspinali się pod dużo większym kątem i szli wolniej. Na tej wysokości zmęczenie następowało szybko, więc co parę minut przystawali na krótki odpoczynek. W końcu Indy wszedł na skalisty stok.

— Widzisz coś? — spytał Shannon.

Indy spojrział na następny kanion i z początku nie zauważył nic szczególnego. Po chwili jednak zobaczył ją.

— Podaj mi lornetkę. — Indy ustawił ostrość i obserwował, a pozostali zbliżyli się do niego. — Bardzo ciekawe.

— Jack, widzisz to? — szepnęła Katrina.

— Oczywiście.

Omar i Ahmet padli na kolana.

Trzysta jardów dalej, na dnie doliny, spoczywał wielki, czarny prostokątny przedmiot. Jeśli to, na co patrzyli, było Arką Noego, to przypominało statek w takim samym stopniu, jak dziwne kształty tworów z tufu w Kapadocji wyglądały na chaty — myślał Indy, patrząc przez lornetkę.

— Chciałabym jedynie, aby mój ojciec był z nami — powiedziała Katrina.

— Może jest — odrzekł Shannon.

— Co widzisz, Indy? — spytała dziewczyna.

Opuścił lornetkę.

— Zejdźmy na dół i przyjrzyjmy się z mniejszej odległości.

Shannon wyciągnął rękę.

— Daj mi popatrzeć.

Coś było nie w porządku. Shannon był tego pewien i gdy przeszli przez szczelinę, stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Wydawało się, że to, co zobaczyli, pasuje do Arki z Księgi Rodzaju, gdzie opisuje się ją jako bardziej podobną do barki. Ale powiększony przez lornetkę kontur zmienił się. W miarę jak się zbliżali, spostrzegli, że to, co widzieli, było tylko optyczną iluzją stworzoną przez cienie i odbicia.

Już dostrzegł, że wielki kłoc był zagrzebany z frontu i z boku. Zwęzał się w środku i przypominał kształtem bardziej literę K niż prostokąt. Nie wyglądał na zrobiony z drewna.

Indy pierwszy *go* dotknął.

— To jest skała.  
Shannon znalazł wytłumaczenie  
— Może to jest skamieniałe drewno?  
— Nie sądzę, Jack. Tu nie ma włókien drewna. To jest skała wulkaniczna.

W tym momencie słońce przedarło się przez chmury i zwrócili oczy ku niebu. Najpierw blask oślepił Indy'ego. Zamrugał, przysłonił oczy i wtedy zobaczył to. Nie więcej niż dwieście stóp nad nimi wielkie czarne pudło w kształcie trumny, rozmiarem zbliżone do oceanicznego statku pasażerskiego, sterczało z lodowca. Obraz był przytłaczający, wykraczał poza jego możliwości pojmowania, całkowicie nieoczekiwany.

Pomimo że myślał o tym cały czas, nie był przygotowany na ten widok. Nie miał wątpliwości, że patrzy na Arkę. Kolana mu się trzęsły, serce waliło. Spojrzał w bok.

— Mój Boże! — szepnął Shannon. Ukłąkł i schylił głowę.

Ręce Katriny złożyły się do modlitwy, a łzy pociekły jej po policzkach. Dwaj Turcy padli na ziemię.

Indy zmusił się, aby jeszcze raz popatrzeć. Widział, że to naprawdę tam jest.

— Arka — szepnął pod nosem. — W końcu Arka... — To zmieniało wszystko. To dowodziło, że potop z Księgi Rodzaju nie był legendą, że ziemia rzeczywiście przechodziła ogromne zmiany. To było odkrycie wszechczasów.

# 21

## HARK!

Jeśli nawet wydawało się, że będą mogli wkrótce dotknąć ogromnego szczytu, prawie cztery godziny zabrało im pokonywanie ostatniego etapu ich wędrówki. Dziura w chmurach była tymczasowa i zbita zasłona z mgły i śniegu sprawiła, że dalsza wspinaczka stała się bardzo niebezpieczna. Indy zaledwie widział swoje stopy i wielokrotnie kłuł kijkiem mocno ubity śnieg na swojej drodze, gdy szedł wzdłuż krawędzi.

— To trwa wieki — powiedział Shannon. — Mam nadzieję, że nie będziemy przez to przechodzić.

— Będzie bardzo trudno to ominąć, Jack, nawet w tej zupie. — Nagle zobaczyli w odległości piętnastu stóp ogromną czarną ścianę we mgle. — Spójrz!

Chociaż Indy lękał się jej dotknąć, szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy. Wiatr hulał wzdłuż ścian Arki. Lina, którą byli związani, wyglądała jak żelazny, oblodzony pręt.

W końcu Arka była w jego zasięgu. Odgarnął śnieg i zdrapał lód ze ściany. Ściągnął rękawicę i dotknął Arki. Pochylił się, gdy inni zebrali się wokół. Nie była z kamienia czy drewna. Powierzchnia wyglądała jak twarda, czarna żywica podobna do warstwy smoły, którą widział na relikwi.

— Znaleźliśmy ją, prawda?! — krzyknęła Katrina poprzez wyjący wiatr. — Naprawdę znaleźliśmy ją.



— Nie sądzę, żeby to była skała.

— Oczywiście, że nie — powiedział Shannon. — To Arka.

Wszyscy jej dotykali.

— To jest najświętsze ze wszystkich świętych miejsc — rzekła Katrina. — Jesteśmy błogosławieni, będąc tutaj.

Indy cofnął się trochę i odwrócił głowę. Oceniał z tej odległości, że Arka wystaje ze śniegu najwyżej na czterdzieści stóp, ale w tej chwili trudno to było określić. Próbował sprawdzić jej długość i szerokość, ale po kilku krokach łódź zniknęła we mgle i zadymce śnieżnej

— Co się stało, Indy? — krzyknął Shannon.

— Powinniśmy wracać. Nie możemy tu zostać na noc, a wygląda na to, że za parę godzin zrobi się ciemno.

Katrina potrząsnęła głową.

— Chcę tu zostać. Rano, gdy będzie jasno, zrobię zdjęcie.

— Poszukajmy drzwi — powiedział Shannon. — Możemy ukryć się w środku.

Pomyślał o drzwiach. Oczywiście. Brakuje tylko powitalnego transparentu udekorowanego parą żyraf.

Zwykle to on był tym, który chciał ryzykować. Ale nie w tym cholernym zimnie. Nienawidził każdej minuty, którą spędził w śniegu i lodzie i w tym przenikliwym wietrze. Może przebywać na pustyni albo w tropikalnej dżungli każdego dnia, ale nie w tych warunkach. A dłuższy pobyt w tym miejscu oznacza, że będą mieli mniej czasu na znalezienie odpowiedniej półki na rozbiecie obozu.

Ale nie dyskutował. Odwrócił się i szedł wzdłuż Arki aż do końca, którego nie mogli zobaczyć. Z wyjątkiem górnych paru cali śnieg był ściśle ubity i tworzył pochyłość. Statek prawdopodobnie spoczywał na lodowcu i pewnego dnia w innych warunkach mógłby spłynąć do doliny. To zajmie prawdopodobnie lata, a nawet wieki, A może spłynie jeszcze w tym roku? A może dzisiejszej nocy?

Końcowa część statku była zagrzebana w śniegu, a pochyłość sprawiła, że mogli dotrzeć do czubka. Indy wyszedł na płaską, pokrytą śniegiem powierzchnię i o mało co nie został zdmuchnięty. Wiatr wyl; pomyślał, że wieje co najmniej z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Przewrócił się, mógł spaść, ale inni już szli za nim. Niedobrze. Po prostu niedobrze. Czołgał się do przodu, dopóki nie znalazł się na drugiej stronie. Tutaj wiatr wydawał się słabszy, a w powietrzu było mniej śniegu. Ale skończyła się pochyłość. Jeśli zejda na śnieg piętnaście stóp niżej, prawdopodobnie nie będą mogli wspinać się znowu, a jemu nie chciało się szukać nowej drogi na dół. Nie teraz.

— Patrzcie! Tam! Widzicie to — Shannon przewieszał się przez krawędź, wskazując coś.

Indy przesunął się w przód i patrzył przez mgłę. Ściana była pokryta śniegiem i lodem, a Shannon wskazywał czarną dziurę.

— To droga do środka! — wrzasnął. — Chodźcie! Indy wahał się...

— Jack, zaczekaj!

Ale Shannon już wyslizgnął się z pętli liny, którą byli połączeni, zrzucił plecak i wskoczył do środka. Śnieg sięgał mu do ud. Pomachał im, aby przyłączyli się do niego.

Wtedy wszyscy odwiązali się od liny. Ahmet i Omar wzięli Katrinę za ręce i opuścili ją. Upadła koło Shannona, który uściśnął ją i coś pokazał.

Może coś tam było. Najwyżej półka na spędzenie nocy. Dwaj Turcy szybko przywiązali plecaki do liny i spuścili je w dół.

— Powiedzcie, chłopaki, czy to nie wy martwiliście się o to, co może się stać, gdy świat się dowie o Arce? — zapytał Indy. Jeśli nawet byli muzułmanami, nie mieli zastrzeżeń do wspinaczki.

— Jeżeli to jest dzień ostateczny, to my jesteśmy gotowi — powiedział Ahmet. Skoczył na dół, a Omar podążył za nim.

— Nie wiem, czy jestem gotów — powiedział Indy do siebie, po czym skoczył również. Uderzył w coś miękkiego, upadł do przodu i zakopał się w śnieg po szyję. Wstał i przyjrzał się ścianie.

Wstęgi mgły wisiały w powietrzu a wiatr zamienił się w szmer. Naprzeciwko niego otwierała się dziura w burcie statku i Indy mógł pomyśleć, że to scena z jego snu.

Shannon i Katrina podeszli do czarnej dziury i nagle zatrzymali się. Stali bez ruchu... Z ciemności wyłnił się Hasan, celując w pierś Shannona. Za nim szło dwóch innych janczarów.

— Jesteśmy zadowoleni, że ekspedycja w końcu tu dotarła — powiedział uśmiechając się. — Było łatwiejsze podejście z drugiej strony.

Indy wiedział, że zostali schwytani w pułapkę, ale wydawało mu się, że Hasan go nie zauważył. Szybko zarył się w śnieg...

— Gdzie są ci dwaj, Zobolotsky i Jones? — zapytał Hasan, gdy Shannon i Katrina, a także dwaj Turcy znaleźli się w środku.

— Nie dotarli tutaj — odpowiedział Shannon. — Mieliśmy pewne kłopoty z łysymi bliźniakami.

Hasan z dwoma mężczyznami rozglądali się uważni wokół.

— Gdzie są Rosjanie?

— Para niedźwiedzi i Kurdowie zajęli się nimi.

— Bardzo źle. Rozejrzymy się. Myślę, że to miejsce wyda się wam interesujące, ponieważ zostanieie tu dłuży czas.

— To jest Arka — powiedziała Katrina. — ' Nie możecie zaprzeczyć, że istnieje.

Uśmiechnął się.

— Nigdy nie przeczyłem, że Arka istnieje. To jest odkrycie, które mnie bardzo interesuje.

— Dlaczego po prostu nie zostaliście w swojej dziurze? — zapytał Shannon.

Grube wąsy Hasana zawinęły się w szerokim uśmiechu.

— Jesteście jedynymi, którzy pozostaną w ciemności do sądu ostatecznego, gdy wasze kości zostaną zmiażdżone przez tłumy wychwalających powrót Syna Bożego.

— A ty będziesz sądzony jako morderca — odpowiedział Shannon.

Szczęki Hasana zadrgały.

— Janczarzy byli sługami i wojownikami Boga. Jesteśmy jedynie z Jego woli.

— To dlaczego On pozwolił nam znaleźć Arkę? — spytał Shannon.

— Jack, nie rozmawiaj z nimi — wtrąciła Katrina.

— Jesteście głupcami, ale już nie stanowicie niebezpieczeństwa. Bóg doświadczył nas i pokazaliśmy Mu, że jesteśmy gotowi obronić Arkę przed wszystkimi niewiernymi, którzy chcieliby ujawnić ją światu.

— Na jakiej podstawie twierdzicie, że wiecie, kiedy nastąpi dzień ostateczny? — spytał Shannon.

— Tylko Bóg to wie. On to ujawni... Ostry dźwięk strzałów uciął wymianę zdań.

— Na ziemię i nie ruszać się!

Indy wiedział, że teraz każda minuta jest drogocenna. Hasan miał zamiar zabić jego przyjaciół, ale nie mógł pozwolić, aby to się odbyło bez walki. Powoli podniósł głowę, dopóki nie zobaczył ściany i czarnej dziury. Jeden

z janczarów grzebał w śniegu ręką karabinu w pobliżu miejsca, gdzie skoczył Shannon. Przesunął się do kolejnych śladów i dźgał śnieg.

Następnie podszedł bliżej i sprawdzał tuż obok stóp Indy'ego, omijając buty o cale.

— Chodź tu — myślał Indy. — Bliżej. Trochę bliżej.

Indy nie mógł wyskoczyć ze śniegu. Było za głęboko. W końcu mężczyzna przeszedł obok jego głowy i wbił karabin w śnieg. Indy natychmiast chwycił lufę; mężczyzna walczył i zwałił się na niego. Przewracali się, walczyli o broń.

Nagle usłyszeli odgłos strzału, ale to nie ich broń wypaliła. Uścisk janczara zelżał i Indy stwierdził, że przeciwnik został trafiony. Popchnął go, a powietrze rozdarł odgłos następnego strzału. Indy wygrzebał się ze śniegu do pozycji siedzącej, jednocześnie wyciągając karabin. Spozstrzegł kolejnego janczara i strzelił.

Mężczyzna zwałił się na ziemię; Hasan wyskoczył z dziury. Indy przekoziółkował, zakopując się znowu w śniegu. Hasan ostrzeliwał się szeroko, a odgłos strzałów odbijał się od szczytu i niośł się ku dolinom.

Indy podniósł się i strzelił, gdy przebrzmiał huk. Wycelował w Hasana, ale nie mógł utrzymać karabinu. Ziemia zadrżała; huk stawał się coraz głośniejszy. Wydawało się, jakby to góra odpowiadała i tak było naprawdę. Rozmowa i ruch. Huk przemienił się w ryk. Góra zatrzęsa się. Lawina!

Oczywiście ogień karabinowy.

Indy podczołgał się ku górze i zderzył z Hasanem. Janczar wyjął karabin, wycelował ku niemu, ale chybił. Indy wcisnął kolbę karabinu w brzuch Hasana i zepchnął go.

Spojrzał w górę i zobaczył ogromną falę śniegu, wysoką na pięćdziesiąt stóp, spadającą z rykiem; hałas był ogłuszający.

Potoczył się i zniknął w czarnej dziurze właśnie wtedy, gdy lawina porwała Arkę. Śnieg wybuchnął wokół niego. Statek zadrżał, a on przewrócił się na plecy.

Jechali! Arka sunęła naprzód brzegiem kanionu, wielki tobogan zjeżdżający do doliny po śniegu i lodzie.

Indy wyrócił się i przekoziółkował niczym cyrkowiec robiący salto na trapezie. Ale nie było partnera, który by go złapał, ani zabezpieczającej siatki. Nie wiedział nawet, czy jest na dole, czy na górze. Wydawało mu się, że ktoś okłada go pięściami. Nagle po strasliwym wstrząsie Arka zatrzymała się, a on został wystrzelony jak z katapulty — ludzka kula armatnia. Uderzył głową w coś bardzo twardego.

— *Hark!*

Indy zamrugał oczami na dźwięk głosu. Z początku widział jedynie ciemność. Stopniowo jego oczy przyzwyczyły się i zobaczył starego mężczyznę.

— Kim jesteś?

— Wiesz.

Indy próbował rozróżnić rysy jego twarzy. Miał gęstą brodę i białe włosy opadające na ramiona.

— Merlin. Starzec  
zaśmiał się.

— Pomyśl, gdzie jesteś.

Indy rozejrzał się wokół, próbując zorientować się w sytuacji. Zobaczył szczątki klatki.

— Noe... Tylko nie mów, że jesteś Noe.

— Ależ nie mówię.

— Czego chcesz? — zapytał Indy.

— Jesteś na mojej Arce. Jesteś moim gościem. Czego sobie życzysz?

— Wyjść stąd żywy.

— To wszystko?

— Czy to naprawdę się wydarzyło?

— A jak sądzisz?

— Nie wiem. Gdzie są inni? Nie chcę ich stracić. Chcę ich zobaczyć. Chcę, aby wszyscy uratowali się.

— Niech tak będzie.

— Indy! Myślę, że wraca do przytomności. Indy, jak się czujesz?

Głód Noego jeszcze brzmiał mu w głowie, gdy usłyszał Katrinę. Zamrugał oczami. Głowa mu pękała. Katrina, Shannon, Ahmet i Omar przykucnęli wokół niego.

— To cud — powiedział Shannon. — Myśleliśmy, że leżysz w śniegu.

Indy zobaczył słabe światełko w oddali i podniósł się na łokciach. Znajdował się obok ściany i sterty śniegu.

— Co się stało?

— Arka zsunęła się do doliny — powiedział Shannon — Ale to było wczoraj. Kopaliśmy w śniegu cały ranek i przedarliśmy się.

— Odgarniałam tutaj śnieg, gdy zobaczyłam ciebie — wyjaśniła Katrina.

Indy usiadł i otarł twarz. Czuł zimno i był odrętwiały.

— Słuchaj, Indy — powiedział Shannon — Czy możesz chodzić? Musimy stąd uciekać, zanim to wszystko runie. Na Arce jest mnóstwo śniegu.

Pomogli mu wstać. Na chwilę zakręciło mu się w głowie.

— Myślę, że wszystko w porządku.

Szli śnieżnym tunelem, gdy wróciło wspomnienie wizji.

— Hark?

— Co to było? — spytał Shannon.

— Nieważne. Opowiem ci później. Wracajmy do domu.

## EPILOG

### *Nowy Jork — miesiąc później*

— W ten sposób byliśmy gotowi do powrotu — powiedział Indy, siedząc na miękkim krześle w biurze Marcusa Brody'ego

— Musisz być wykończony — Brody wsparł się na rękach i słuchał zafascynowany.

— Wszyscy tak się czuli. To był ciężki dzień, ale dotarliśmy do chat pasterzy i ci sami Kurdowie, którzy zastrzelili Rosjan, dali nam pierwszy posiłek po dwóch dniach.

Indy zdmuchnął kłaczek kurzu z krawata, który nosił do brązowego tweedowego garnituru, czekając na odpowiedź Brody'ego.

— Indy, nie słyszałem tak intrygującej opowieści od kąd... — Wstał i zaczął chodzić wokół biurka, wybierając drogę między wyrobami garncarskimi, statuetkami i kamieniami nagrobnymi. — Nie chcę tego mówić, ale wydaje mi się, że w twoim interesie leży zatrzymanie tej historii dla siebie, a szczególnie tej części o rozmowie z Noem.

Indy zaśmiał się.

— Nie przejmuj się mną, Marcus. Przecież nie byłem jedyny, który widział Arkę. Wszyscy byliśmy w środku.

— Tak. Ty i muzyk jazzowy, który odkrył Boga, i taksówkarz z Istanbuhu, turecki wieśniak i młoda dama, której



ojciec miał obsesję na punkcie Arki. Ani oni, ani ty nie będziecie brani poważnie.

Indy poprawił swoje czarne, druciane okulary.

— Ach, o to chodzi.

Brody podniósł rękę.

— Nie zrozum mnie źle, Indy. Wierzę ci, ale próbuję być praktyczny. Pomyśl tylko: jeśli nawet zbierzesz zespół naukowców, aby ci towarzyszyli, i otrzymasz odpowiednie fundusze, jaka jest szansa znalezienia jej?

Mógłby prawdopodobnie znaleźć dolinę, ale Arka została pogrzebana pod tonami śniegu.

— Rozumiem.

— Może to najlepszy sposób.

Indy uśmiechnął się i pochylił do przodu.

— Tylko nie mów, że wierzysz w ten kawałek o dniu ostatecznym.

Brody podszedł do okna i popatrzył w dal.

— Nie tak dawno to ty śmiałeś się z opowieści o arce i to Arce na górze Ararat.

— To prawda. — Indy wstał i uściśnął dłoń Brody'ego.

— Muszę już iść, Marcus. Jestem spóźniony.

— Mam nadzieję, że wywiad pójdzie dobrze. Myślę, że to ogromne odkrycie w archeologii.

— Dzięki. Poinformuję cię, co się stało, gdy tylko będę wiedział.

Indy wyszedł z biura i zszedł po schodach muzeum. Złapał taksówkę.

— Grand Central Station.

— Jesteś już — powiedział Shannon. — Myślałem, że nie zdążysz. Wszyscy czekamy na ciebie.

— Wiem.

Katrina podeszła i uściśnęła Indy'ego.

— Chciałabym, abyś pojechał z nami do Kalifornii.

— Niestety, nie mogę. Życzę wam szczęścia.

Ucałowała go w policzek.

— Dzięki. Mam coś dla ciebie.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła długi, niewielki przedmiot zawinięty w materiał.

— Co to jest?

— To drewno z Arki.

— Co? Przecież pogrzebałaś je z ojcem.

— Nie. To tylko ciasno zwinięty materiał. To był gest.

Nie chciał zostawiać tam relikwi, ale nie mówmy o tym.

Indy wziął podarunek.

— Znam dyrektora muzeum, który znajdzie godne miejsce na to.

Zwrócił się do Shannona:

— Występy jazzowe w San Francisco nigdy już nie będą takie same, gdy tam przyjedziesz, Jack.

Shannon uśmiechnął się i wziął Katrinę za rękę.

— Zobaczymy, Indy. Zobaczymy.

— Jesteś szczęściarzem, Jack. Cholernym szczęściarzem.

— Wiem.

— Dobrze, muszę złapać mój własny pociąg.

Indy zabierał się do odejścia, ale zatrzymał się i zwrócił się do Katriny:

— A propos, czy miałaś ostatnio w rękach drewno z Arki?

Uśmiechnęła się i rzuciła spojrzenie na Shannona.

— Rzeczywiście, miałam.

— Zobaczyłam małego chłopca. Dziwnie się nazywał: Noe Indiana Shannon.